Nr. 37. Poznań, dnia 16 Września 1906 r. Rok X

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

Treść nr. 37-go.

Nędza niewoli.

Doroczne zjazdy hakatystów budzą w społeczeństwie naszem żywe zainteresowanie.

I słusznie. Nam śledzić należy z baczną uwagą wroga, który narodowości naszej tyle ciosów zadał, nam wiedzieć należy, jakie wróg ten knuje plany na przyszłość, by naprzód gotować środki do obrony — nam jednem słowem *poznać* należy tego wroga, wroga, który nie ustaje ani na chwilę w podszczuwaniu rządu przeciwko nam, a domaganiu się nowych środków germanizacyjnych, nowych praw wyjątkowych i ciągłego ucisku.

Nam poznać go należy wszechstronnie, nie tylko siłę jego liczebną, ale wpływy jego, sposób myślenia i działania.

Ostatni zjazd*), który odbył się w niedzielę dnia 26-go sierpnia b. r. w Malborgu, znakomitą w tym celu daje nam sposobność.

Odbył on się w Malborgu — dawniejszym *Czartyrnie* nad odnogą Wisły, Nogatem zwaną.

Malborg, to stolica zakonu krzyżackiego, tego zakonu, który w drodze łaski od książąt mazowieckich otrzymał prawo osiedlenia się w ziemi dobrzyńskiej, na pograniczu Prus i Mazowsza, tego zakonu, który z wdzięczności za tę łaskę — mówiąc językiem Sienkiewiczowskim — szarpał trzewa Polski, t. zn. napadał, palił, grabił i rabował, zapuszczając najazdy swe w głąb kraju.

Słusznie więc piszą pisma niemieckie, że zjazd odbywał się „auf historischer Stätte‘‘ — na historycznem miejscu. Tylko — wspomnienia tej historyi dla Niemców i dla nas są przeróżne. Niemcy o Malborgu wspominają jako o pomnikowem, świetnem dziele swych przodków — my jako o kryjówce nikczemnych intryg i podłych planów knutych podstępnie na zniszczenie Polski.

I oni mają racyę — i my mamy racyę, ta atoli jest różnica między obu racyami, że nam w historyi zaskarbiła ona pomimo zwalczenia zakonu krzyżackiego miano szlachetnego narodu, na Niemcach natomiast dawne czyny zakonu tego pozostawiły piętno aż po dziś dzień. Niemca bez intrygi, bez podstępu, bez skłonności do gwałtu — świat cały nie umie sobie wystawić.

Tam więc, gdzie na pohybel Polsce pierwsze knuto plany złowrogie — tam odbywał się zjazd hakatystów. Historyczne miejsce!

Sądziłby, że w takiem miejscu uroczysty nastrój ogarnął uczestników zjazdu, że ten nastrój na pamięć przywiódł im czyny przodków, że w historycznem świetle musieli widzieć, co złego i co dobrego z tego miejsca na nich i na świat spłynęło, i że ten nastrój natchnął ich duchem skruchy za gwałty, mordy, rabunki tych przodków, że sumienie ruszyło ich uczuciem ludzkiej litości dla potomków tych mordowanych, gwałconych i rabowanych.

Nic z tego. Oto na „historycznem miejscu‘‘ zjechali się potomkowie krzyżackiego zakonu po to, aby dawny duch krzyżacki owionął ich tchnieniem srogiej przeszłości, żeby dusze ich uczynił twarde i serca nieczułe na cierpienia ludzkie, aby natchnął ich nowym zasobem okrucieństwa — sobie na hańbę, innym na krzywdę.

Tak się też stało......

Pod wpływem tego ducha krzyżackiego omawiano

sprawę wywłaszczenia Polaków.

Sprawa to dla czytelników naszych nie nowa. Zwracaliśmy na nią jeszcze na początku tego roku uwagę — a projektowi wywłaszczenia nas z odwiecznie polskiej ziemi nadaliśmy miano — projektu szatańskiego.

Upłynęło odtąd przeszło pół roku — sprawą tą zajął się zjazd hakatystów. Znać po rozprawach zjazdu — i przyznaje się do tego i zarząd Tow. dla kresów, że nie marnowali oni czasu na próżno. Przeciwnie, gadzinowa ta myśl była przedmiotem częstych i gruntownych narad. Zaciągano informacyi najzdolniejszych jurystów i urzędników ministra sprawiedliwości — a jaki wynik?...

Podczas narad rzucono plan, ażeby uchwalić prawo, mocą którego przeszkodzonoby przechodzeniu ziemi niemieckiej w ręce polskie.

Ten plan po długiej rozwadze okazał się zupełnie niemożliwy. Prakty-

*) O tym zjeździe nie pisaliśmy dotąd ze względu na mnóstwo spraw bieżących, a nie cierpiących zwłoki jak n. p. sprawa niemieckiej nauki religii....

cznie wystawiono sobie tę rzecz w ten sposób, że każda sprzedaż miałaby być doniesiona rządowi — a rząd decydowałby o tem, czy może być dokonaną lub nie.

Plan ten widocznie napotkał na wielkie trudności, szczególnie obawiano się, że żaden gospodarz z zachodnich prowincyi nie odważy się przyjść na wschód, jeżeli mu zostanie odebrane prawo dowolnego rozporządzania swym majątkiem.

Narady jednakże pokazały inną drogę — do osłabienia Polaków. Otóż istnieje od r. 1874 ustawa, która daje królowi prawo wywłaszczenia obywatela pruskiego — w imię dobra publicznego. Król prawo to może mocą osobnego rozporządzenia nadać — którejkolwiek władzy, a więc i komisyi kolonizacyjnej.

Król wydaje rozporządzenie swoje wtenczas, gdy plan wywłaszczenia zostanie przedłożony. Plany i wnioski takie przedkładać może każda władza — więc także komisya kolonizacyjna. — Tak daleko wyniki owych informacyi.

Zjazd hakatystów uchwala na podstawie tego rezolucyę, ażeby komisya kolonizacyjna z tego prawa korzystała.

Nie bardzo atoli muszą być hakatyści swego pewni, bo rezolucya zawiera i drugą uchwałę, na pierwszy rzut oka nie dość zrozumiałą — przy bliższem zbadaniu jednak bardzo ważną. Powiada ta rezolucya tak:

„Ponieważ jednakże komisya kolonizacyjna z prawa tego dotąd nie korzystała, Tow. dla kresów wsch. uważa za rzecz pożądaną, ażeby sejm przy uchwale nowych funduszów kolonizacyjnych wyraźnie orzekł, że prawo to przysługuje także komisyi kolonizacyjnej“.

Innemi słowy — komisya kolonizacyjna nie ma prawa do wywłaszczenia Polaków, ale pod płaszczykiem prawa z r. 1874 sądzą hakatyści, że uda im się — prawo to dla niej zdobyć.

Czy to się uda? — Konserwatyści, t. j. junkrzy i agraryusze pruscy wyraźnie oświadczyli się przeciwko prawu o wywłaszczeniu Polaków, zapewne zrozumieją i to, że myśl hakatystów ta sama — w innej tylko formie ukrywa się w powyższej rezolucyi.

Nie potrzebujemy zapewne dodawać, jak bardzo sprawa ta dla nas jest ważną. Daliśmy sobie — prawda — radę z wszystkiemi dotychczas prawami wyjątkowemi, tego atoli nie możemy o sobie powiedzieć, że prawa te żadnych nie zadały nam ran, że żadnej w sile naszej narodowej i majątku nie poczyniły szczerby.

Przeciwnie — rany są bolesne i szczerby znaczne, wszystko jednak maleje do nicości, do zera wobec tego nowego projektu hakatystów. Gdyby ten projekt doszedł do skutku, gdyby pozbawiono nas prawa do ziemi naszej, gdyby z ziemi tej i poniewoli naszej nas rugować poczęto powoli, lecz stale — niechybnie znalazłyby się w niedługim czasie odwieczne włości polskie w rękach niemieckich.

Byłby to — w dziejach świata — gwałt niesłychany. Niemcy jedynie do popełnienia go są zdolni.

Dla tego artykułowi naszemu daliśmy tytuł „nędza niewoli“ — a naprowadził nas na tę myśl znany pisarz hakatyzmu — profesor prawa publicznego w Kolonii, doktor prawa i filozofii — *H. Geffken.*

Ten filar hakatyzmu i mąż nauki wygłosił podczas uczty wydanej na cześć zjazdu znamienną mowę. Mówił o różnych kolejach Prus Zach. Szczególnie jednak w dziejach tej dzielnicy zasługuje jego zdaniem to na wzmiankę, że epoki najpiękniejsze padają na czas rządów niemieckich. W rozkwicie zakonu niemieckiego zostały skolonizowane i zniemczone — upadek zakonu oddał je *„na nędzę 300 letniego panowania polskiego“*, a od czasu pierwszego rozbioru Polski rozpoczęło się nowe odrodzenie.“

A jednak dziwna to rzecz, że te Prusy do tej „nędzy polskiej“ same wyciągały ręce, same prosiły o pomoc polskich królów, tem dziwniejsza, że z upadkiem Polski — nie prosiły Prus o opiekę.

Uwaga ta nasuwa nam pytanie, kto ma więcej racyi użalać się na nędzę niewoli — czy Prusy król. na te 300 lat, które przebyły pod rządem polskim — czy my na te sto i kilkadziesiąt, które jesteśmy pod rządem pruskim.

My mamy na to pytanie już dziś gotową odpowiedź, wolimy jednak sąd ten pozostawić historyi. Jaki on będzie zwłaszcza wobec podobnych projektów jak wywłaszczenie?

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

21) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Tymczasem Napoleon odnosił coraz świetniejsze zwycięstwa nad mocarstwami[1]); ku tej nowej gwiaździe, gorejącej już nad wszystkimi, zwróciły się usiłowania polskich patryotów pędzących tułacze a nędzne życie na obczyźnie[2]).

Teraz Dąbrowski, pozyskawszy dla sprawy Legionów ówczesny rząd francuski t. zw. Dyrektoryat, z tegoż polecenia podążył do Bonapartego i dnia 2-go grudnia 1796 roku stanął w głównej jego kwaterze, w stolicy Lombardyi, Medyolanie. Tu doręczył mu list pisany w imieniu piętnastu milionów Polaków przez księcia Ogińskiego, agenta polskiego z Turcyi, a Napoleon czytał takie napisane słowa listu tego.

— Ojcze uciśnionych! Jesteś jednym z tych, których stanowisko powinno otworzyć Polakom drogę do otrząśnięcia nienawistnego i upokarzającego jarzma. Spiesz się Obywatelu, Generale, objawić całemu światu, że Francya pokłada swą chwałę w opiekowaniu się słabymi i w zapewnieniu szczęścia ludom, które powołują się na jej pomoc!

Przeczytawszy list, zamyślił się Napoleon, a potem zwrócił się do młodego i zdolnego oficera Józefa Sułkowskiego, który należał do jego orszaku, a był gorącym patryotą polskim.[3])

— Cóż mam odpowiedzieć? cóż mogę obiecać? — za-

[1]) Napoleon rozbijał jedną armię cesarską po drugiej, pobił pod Castiglione Wurmsera, pod Arcole Alvinczyego, pod Rivoli Quosdanowitcha, zdobył Mantuę, z papieżem Piusem VI zawarł w Tolentino korzystny dla republiki traktat, do którego go zmusił, przeniósł wojnę w głąb południowych krajów austryackich i zmusił rząd wiedeński do rozejmu w Loeben dnia 18 kwietnia 1797 r. — Sokołowski IV, 1253.

[2]) Pozbawieni dochodów tułacze polscy żyli wtedy w Paryżu w największej nędzy. Jeden Wybicki znalazł poczciwego restauratora, który go żywił na kredyt. Bars, Wielhorski i Dąbrowski nie mając żadnych funduszów, cierpieli wielki niedostatek. Wtem przed Wybickim zjawił się niespodziany przybysz, mąż szlachetnego oblicza, a na jego widok wykrzyknął Wybicki z wielką radością:

— Majorze Zabłocki, szanowny, dawny przyjacielu, witaj nam, przybywasz z kraju z pociechą jaką?...

A Zabłocki, były adjutant Dąbrowskiego, obywatel zacny, który już wiele ran poniósł w szeregach i pewnie cały swój majątek złożył na ołtarzu ojczyzny, rzekł na to:

— Panie Józefie, od generała Dziewanowskiego przywożę ci 1000 czerwonych złotych! — I złożył pieniądze na stole.

— O prawdziwy dobroczyńco, w sam czas przybyłeś! — zawołał ucieszony Wybicki.

I zaraz zapłacił dług restauratorowi, a resztę pieniędzy rozdzielił między Dąbrowskiego, Wielhorskiego i Barsa. — Pamiętniki Wybickiego, Warsz. 1905, II, 133. — Sokołowski IV, 1253.

[3]) Za radą tegoż Sułkowskiego napisał Ogiński ów list.

Ze sprawozdania

o działalności Towarzystwa dla kresów wschodnich podajemy na koniec jeszcze następujące szczegóły:

Grup istnieje 405 — członków liczą 40,470. W r. 1905/06 przybyło grup 46 — i 2,233 członków. W ostatnim roku utworzono także grupy na zachodzie i południu Niemiec, wywołując tem samem zainteresowanie kwestyą polską w okolicach, które dotąd przyglądały się jej obojętnie. Także na kresach wschodnich szerzy się *świadomość polskiego niebezpieczeństwa* — i zarazem wzmocnienie ducha narodowego, które wyraża się nietylko w usposobieniu ale i w *uczynkach. Na* członków Tow. zapisało się 56 miast również kilka kopalń, lejarnia Kruppa z Essen płaci rocznej składki 1000 m.

Grupy tworzą niemieckie spółki i kasy pożyczkowe, ażeby małych przemysłowców niemieckich uwolnić od zależności od polskich kas. Udzielono z funduszów Tow. kilka pożyczek na hipoteki. Omawiano kilkakrotnie plan utworzenia osobnego banku hipotecznego. Zarząd podejmował już u władz wstępne kroki w tym względzie. Starano się o osiedlenie tęgich rzemieślników niemieckich. Działo się to za pomocą przemysłowego biura wywiadowczego (Gewerbeauskunftsstelle). Rezultaty osiągnięto bardzo dobre. — Tow. wpływało dwukrotnie na uchwalenie praw, mianowicie podczas obrad nad prawem *knapszaftowem i szkolnem.* W pierwszem przeszkodzono uwzględnieniu polskiego języka, a od korzystania z drugiego odsądzono Poznańskie i Prusy zach...

Taka jest działalność hakatystów.

Ze sprawozdania dwie podpadają rzeczy, na które warto zwrócić uwagę, 1) wzrost hakatyzmu na zachodzie i południu Niemiec, 2) wielki wpływ na rząd.

Widocznie hakatyzm rośnie — rośnie tym rozpędem, jaki mu nadała nienawiść.

Jak wobec tego wygląda nasza „Straż“? Rząd i naród są na usługi hakatystów — „Straż“. Ledwo się pojawiła, znalazła wśród swoich takich wrogów, że z początkowego rozmachu obecnie pozostał jej tylko powolny truchcik. Czy tym krokiem żółwim zdoła „Straż“ zjednoczyć w sobie „ku obronie moralnych i materyalnych interesów“ — wszystkie warstwy i — kiedy?...

W jakim języku uczyć religii?

Pytanie to dla nas wprawdzie jest praktycznie rozstrzygnięte. My chcemy uczyć dzieci religii po polsku, my chcemy, żeby nasze dzieci i szkoła także uczyła po polsku. A ponieważ szkoła dzieci nasze uczy po niemiecku, więc zakazujemy dzieciom odpowiadać.

To jest powód, powiedziałbym może — zewnętrzna pobudka do tej walki, która się obecnie w szkole toczy.

Jakie są przyczyny właściwe?

Powiadamy 1) że szkoła chce germanizować dzieci nasze, i że nadużywa w tym celu nawet — nauki religii, 2) powiadamy, że dzieci nauki w obcym języku nie rozumieją, że nauka w obcym języku przyczynić się musi do utraty, a przynajmniej do osłabienia wiary.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jedno i drugie — jest racya.

Nie będziemy dziś pierwszego punktu brali pod rozwagę, bo sposób germanizacyi w szkole dobrze wszystkim znany.

Czy jest atoli racya w drugiem twierdzeniu? Czy jest racya w tem, że osłabia się wiarę w dzieciach, ucząc je prawd świętych w obcym języku?

Takie było zdanie nasze z dawna. Dość też na potwierdzenie go i dowód przytoczyliśmy już argumentów.

Ale nie nasze to tylko zdanie. Każdy uczciwy człowiek, dla którego narodowość i religia tworzą dwa skarby, które uchronić chce od zatraty, każdy taki człowiek jest zdania, — że religia tylko w ojczystym języku przenika do serca, że obcy język robi z religii przedmiot obojętny, o którego nie dbamy.

Że tak myśli każdy uczciwy człowiek, na to mamy pod ręką dowód w jednem z amerykańsko-*niemieckich* pism. Pismo to, to niemiecko-*katolicki* tygodnik „Der Wanderer“ (Wędrowiec), wychodzący w St. Paul. Tygodnik ten ogłasza list pewnego Niemca urodzonego już w Ameryce. Niemiec ów rozwodzi się w swym liście tak nad upadkiem religii:

„Cała federacya Katolickich Towarzystw rozwodzi żale nad upadkiem religii, a za przyczynę tego podaje nieprzyzwoite teatry, złe książki, tańce i

---

pytał szczerze. — Napisz do twego ziomka, że kocham Polaków i że ich sobie wysoko cenię, że podział Polski jest czynem niesprawiedliwym, który nie może się utrzymać; że po skończeniu wojny we Włoszech pójdę sam na czele Francuzów, aby zmusić Moskali do przywrócenia Polski; lecz powiedz mu także, że Polacy *nie powinni się spuszczać na pomoc zagraniczną,* że powinni się sami uzbroić, niepokoić Moskali i utrzymywać komunikacyę ze wnętrzem kraju. Wszystkie piękne słowa, jakie im będą prawili, nie doprowadzą do żadnego celu. Znam język dyplomatyczny i niedołężność Turków. Naród, zgnieciony przez swych sąsiadów, może się tylko podnieść z bronią w ręku!

Ale samego Dąbowskiego na pierwszem posłuchaniu przyjął Bonaparte niechętnie i zimno i odprawił go krótko temi słowy:

— Kazałem na próbę uformować batalion z Polaków, panowie możecie być w nim umieszczeni jako oficerowie!

Dopiero Amilkar Kosiński, będący w głównej kwaterze jako kwatermistrz,[4]) za pośrednictwem szefa sztabu Berthiera, usposobił przychylniej Napoleona. Ten wezwał nagle do siebie Dąbrowskiego, przyjął go bardzo uprzejmie i tak doń przemówił:

— Generale, słyszałem o twych czynach wojennych i z tego względu wyrażam moje najwyższe uznanie tak tobie, jak i walecznemu twemu narodowi. Upoważniam cię więc, abyś w sprawie formowania legionów wszedł w układy z rządem lombardzkim![5])

Dnia 4 stycznia roku 1797 napisał Bonaparte do kongresu stanu w Paryżu, następujące słowa o Polakach:

— Mężny ten naród zasługuje być godnie przyjętym od ludu pragnącego wolności![6])

Dąbrowski, jak najlepiej przez Napoleona polecony, ułożył się też bez trudności z Lombardami i dnia 9-go stycznia 1797 roku podpisano obustronnie następującą konwencyę:

„W Lombardyi utworzone zostają korpusy polskie w celu posiłkowania Lombardyi w wojnie o niepodległość z Austryą. Korpusy te zwać się będą *Legionami Polskimi,* będą ubrane i zorganizowane na wzór wojska polskiego, tylko odznaczać je będzie francuska kokarda. Żołd, żywność i różne potrzeby według regulaminu francuskiego. Oficerów i urzędników wojskowych mianuje rząd lombardzki na przedstawienie generała Dąbrowskiego. Polaków walczących za wolność Lombardyi będzie lud lombardzki uważać nie jako wojsko cudzoziemskie, lecz za braci i obywateli lombardzkich z tem zastrzeżeniem, że w każdym czasie wolno im będzie powrócić do ojczyzny.[7])

[4]) Kwatermistrz, oficer albo urzędnik zajmujący się rozkwaterowaniem wojska.

[5]) Sokołowski IV, 1254.

[6]) Limanowski, 27. Morawski, VI, 19.

[7]) Lewicki, 378.

niewiedzieć co jeszcze. To prawda. Ale jest jeszcze inne twierdzenie, które po tuzin razy w naszych czasach stawiają zwłaszcza po niemiecku myślący katolicy. A to twierdzenie jest, że: *przez ucisk języka macierzyńskiego ginie także religia.* I ja podzielam to zdanie. Rzecz się ma tak: Niemcom niemiecki język już od wieków może stał się *drugą naturą*, to znaczy, przeszedł im poprostu *w krew i kości*, i chociaż Niemiec także „w obcym kraju" czuje się jak w domu, to jednak wszystko mu jest obcem, a szczególnie język przez całe nawet pokolenia pozostaje mu „cudzą własnością". *I w niczem co ten obcy język tak zimno nie usposabia jak właśnie w uczeniu się religii, katechizmu, w modlitwie i słuchaniu kazania.* Kiedy Niemiec, który, jak się to chętnie mówi, „całkiem dobrze" rozumie po angielsku, słyszy kapłana modlącego się na przykład: „Heiliger Matheus bitt für uns!" to nie tylko to rozumie zupełnie dokładnie, ale i rozmyśla nad tem, co to znaczy, i rozgrzewa się jego serce i podnosi do swego u Boga pośrednika, nastraja go to pobożniej i poufalej. Jednem słowem: on pojmuje i czuje, co słyszy lub mówi: Ale kiedy słyszy: „St. Matthew, pray for us" to także to rozumie całkiem dokładnie, wie, co to znaczy, ale — rzecz szczególna — jego serce pozostaje zimnem, nie umie po prostu myśleć nad tem, jak się należy, w obcym języku. Pozostaje przytem tak obojętnym, jak gdyby czytał w gazecie ogłoszenie o medecynach patentowych. Tak się rzecz ma z dziećmi przy katechizmie, i tak z dorosłymi przy kazaniu. *I jeśli ten tak zwany przymus językowy dłuższy czas potrwa, to serce oziębnie zupełnie.* Nastąpi obojętność, i w końcu następstwem tego będzie zupełny upadek wiary".

W dalszym ciągu swego artykułu broni się ów Niemiec przeciwko zarzutowi, jakoby był t. zw. „narwanym Niemcem" (mniej więcej to samo, co hakatystą u nas — Red.). Przeciwnie z dziesięciorga jego dzieci umie 7 płynnie po angielsku — reszta jeszcze nie wyszła po za próg domu, ale też się nauczy.

I czegóż list ten nam dowodzi? Oto, że: — przez ucisk języka macierzyńskiego ginie także religia — że w niczem obcy język tak zimno nie usposabia, jak w uczeniu religii, katechizmu, w modlitwie i słuchaniu kazania — i że pod przymusem językowym serce dla religii oziębia się zupełnie, następuje obojętność i upadek wiary.

Cenne to są słowa.

Cenne tu dla nas w kraju, bo gdy rząd i jego poplecznicy rzucać nam będą w oczy agitacyę, my im odpowiemy głosem „nie — narwańcy" Niemca: przymus językowy — to upadek wiary.

Cenne są te słowa także dla rodaków naszych na obczyźnie, bo gdy księża-Niemcy przekonywać ich będą, że można być zbawionym modląc się w obcym języku, mogą im odpowiedzieć: i w niczem ten język obcy tak zimno nie usposabia jak w uczeniu się religii, katechizmu, w modlitwie i słuchaniu kazania.

Cenne wreszcie są te słowa i dla naszych władz duchownych, które boją się więcej stanowczo bronić języka naszego, bo kiedy im rząd rzuci zarzut, że więcej bronią polskości, aniżeli wiary — to mogą odpowiedzieć: przez ucisk języka macierzyńskiego ginie także religia!

Doprawdy cenne to słowa, i dla tego, przeczytawszy je, szczerą uczuliśmy radość, że będziemy się mogli niemi podzielić z tysiącami braci naszych, a na naczelnem postawiliśmy miejscu pytanie: w jakim języku uczyć religii? — ażeby te tysiące gromko odpowiedziały nam:

Tylko — **w polskim!!**

Jedności, stanowczości i wytrwałości!

Oto czego potrzeba w walce, która się rozpoczęła i trwać musi dalej, dopóki się rząd nie przekona, (kiedy dotąd tego nie widzi) że przymuszanie polskich dzieci do niemieckiej nauki religii sprzeciwia się prawom boskim i ludzkim.

Choćbyśmy żadnych obietnic królewskich co do uszanowania języka naszego w szkole, sądzie i urzędach nie posiadali i na nie się odwoływać nie mogli — to z samego prawa natury czyli przyrodzonego prawa Bożego przysługiwałoby nam prawo, którego nikt na świecie odjąć nam nie może, prawo do kształcenia się w ojczystym, swoim języku, mianowicie zaś do używania go przy *„rozmowie duszy z Bogiem"*, czyli przy modlitwie i przy nauce tak wzniosłej, która nam określa stosunek duszy naszej, najskryt-

---

Tak więc w dwa lata po rozbiorze Polski powstawały u podnóża Alp legiony czyli armia polska, ubrana w strój narodowy, pod polską komendą, ozdobiona kokardą republikańsko-francuską z napisem włoskim na epoletach:

— Gli homini libri sono fratelli![8])

Dnia 20-go stycznia 1797 roku wydał Dąbrowski odezwę w czterech językach, wzywającą Polaków do służby w legionach, temi słowy:

— Polacy! Nadzieja powstaje, Francya zwycięża, ona się bije za sprawę narodów... Przybywajcie, rzucajcie broń, którą was nosić przymuszono, bijmy się za sprawę wspólną wszystkich narodów, za wolność... Tryumfy rzeczypospolitej francuskiej są naszą jedyną nadzieją, za jej pomocą i jej aliantów może jeszcze zobaczymy domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili![9])

Także rząd lombardzki ogłosił odezwę do Polaków.

Po tych odezwach zawrzał ruch gorączkowy w ziemiach polskich, utworzone różne komitety zbierały znaczne sumy na polskie wojsko, ochotnicy, mimo srogich kar, zbiegali z wojsk cudzoziemskich, organizacya legionów polskich postępowała bardzo szybko.

Kosiński szef batalionu wysłany do Piemontu, a major Eliasz Tremo do Francyi gromadzili ochotników między jeńcami austryackimi i odsyłali ich do Medyolanu, gdzie były koszary, gdzie szyto mundury i przygotowywano broń i rynsztunek. Zbierający się legioniści mówili do siebie z zapałem:

— Bracia, gromadzimy się tu na włoskiej ziemi, ażeby wkrótce jako zwycięzcy walczyć na ziemi własnej i za własną ojczyznę!

W miesiącu po ogłoszeniu odezwy było już 1200 legionistów, podzielonych na dwa bataliony grenadyerów i strzelców. Tymi drugimi dowodził Kosiński, major Strzałkowski zaś miał dowództwo nad batalionem grenadyerów, który składał się z grenadyerów austryackich, ludzi olbrzymiego wzrostu. Oficerami byli dawni wojskowi polscy z Kościuszkowskich bojów: Dembowski, Borowski, Konopka, bracia Downarowicze, z Wołoszczyzny brygadyer Liberadzki. Byli też wśród legionistów i znakomici oficerowie polscy, jak generał Kniaziewicz, Wielhorski, Rymkiewicz, Kosiński, Chłopicki, Zabłocki.[10]) Po pięciu miesiącach wzrosła już liczba legionistów do 6000 dobrze wyćwiczonego wojska. Naczelnym wodzem legionów był generał Henryk Dąbrowski, wielce ożywiony i zadowolony, że sprawa legionów tak pomyślnie się powiodła. Cieszył się też legionami i wielką w nich pokładał nadzieję cały uciśniony naród polski. (C. d. n.)

[8]) Po polsku: „Wolni ludzie są braćmi".
[9]) Sokołowski IV, 1255; Limanowski, 27.

[10]) Z początku był wielki brak oficerów w Legionach. Dopiero z Polski przybywali wyżsi wojskowi, a to właściwie wtedy, kiedy trzy państwa rozbiorowe wydały następujące surowe rozporządzenie:
— Pod karą śmierci zabrania się wszelkiego wychodztwa lub znoszenia się z legionami polskimi. — Limanowski st. 28 według pamiętn. Dąbrowskiego

szych jej tajników, drgnień i uniesień do Boga i na odwrót stosunek Stwórcy naszego do nas samych biedaków na tym świecie. Tem bowiem jest religia — nawiązaniem stosunku między duszą ludzką a Bogiem.

Dosyć się już mówiło i pisało o tem, że Niemcy, tak wielkie państwo, chlubiące się wyższą niby kulturą, wstydzić by się powinny walki takiej z nami, a raczej wstydzić by się powinny, że nasze dziatki zmuszają w imię swoich fałszywych teoryi i zasad o jednolitości języka w całem państwie pruskiem — *do używania obcego im języka w modlitwie samej i nauce o niej.*

Że ten przymus państwu pruskiemu chluby żadnej nie przynosi, nietylko u nas, ale u całego ucywilizowanego świata, o tem Niemcy sami bardzo dobrze wiedzą i też nie pragną rozgłosu pod tym względem. Lecz z drugiej strony, ufni może zanadto w swą potęgę, myślą, że zgniotą nasz opór, a bojaźliwych dobrowolnie na swoje kopyto przerobią i dla tego postanowili na tej drodze raz niemądrze obranej postępować dalej, choć niby z „gorzką stanowczością!“

Podobno Pan Bóg nieraz wybiera słabych i maluczkich, aby pomieszać szyki możnym tego świata, zarozumiałym a pysznym, jak tutaj do tego stopnia, że ponad siebie nic widzieć i znać nie chcą na świecie — czyli gardzą wszystkiem i posponują, co ich własnego piętna nie nosi.

Obrona nasza, na czemże dotąd polegała?

Na protestach ze strony Władzy Duchownej, ze strony gmin szkolnych, na protestach, uchwalonych na wiecach, na pojedyńczych głosach oburzenia i protestach, przesyłanych rejencyi przez duszpasterzy itp. — a wreszcie na objawiającym się tu i owdzie tylko, biernym oporze dziatek naszych, niechcących mówić niemieckiej modlitwy i odpowiadać po niemiecku przy nauce religii.

Protesty nasze były głosem wołających na puszczy — z zimną krwią i bezwzględnością tylko Prusakom właściwą przechodzono nad nimi do porządku dziennego — nie dawano wcale na nie odpowiedzi, lub w najlepszym razie odpisano, że wedle obowiązujących *przepisów* jest *wszystko w należytym porządku i nikomu się krzywda* nie dzieje!

Każdy widzi, że więc nadal nie opłaci się protestować, pozostaje więc tylko drugi środek obrony biernej — opór dzieci. Póki on jednakże będzie tylko *częściowym,* tu i owdzie, jak dotąd, się pojawiającym — nie osięgnie pożądanego skutku, przynajmniej dla ogółu społeczeństwa. Dla tego konieczna jest w obecnej sytuacyi najpierw w całem społeczeństwie naszem *jednomyślność i jedność w działaniu!*

Jeżeli *rodzicom,* jak wielu twierdzi, przysługuje prawo decydowania o tem, w jakim języku mają się dzieci uczyć religii, to też *powinni z prawa tego korzystać* i ogólnie postanowić np. zaraz po wakacyach świętomichalskich we wszystkich szkołach, w których zaprowadzony jest niemiecki wykład religii, *zakazać dzieciom odpowiadać na pytania nauczyciela w niemieckiej nauce religii, i odmawiania niemieckiego pacierza, oraz zawezwać je, by pooddawały wszędzie niemieckie podręczniki.* Wyjątku stanowić tu nie powinna nawet klasa pierwsza, w której już od dłuższego czasu religii przeciw woli Kościoła i rodziców po niemiecku uczą!

Jest to dla rodziców dzisiaj środek jedyny, a może stać się bardzo skutecznym. Czegóż się w tej sprawie obawiać możemy, jeżeli wszędzie po miastach i po wsiach tego środka ratunku się chwycimy? Czyż bać się będziemy kilku początkowych nieprzyjemności dla sprawy tak świętej? Możemy być wszyscy przekonani o tem, że *całe duchowieństwo nasze z ks. Arcybiskupem na czele, stanie po stronie rodziców i dzieci,* a gdy tak jednomyślną i ogólną będzie walka — tylko *do wytrwałości* w oporze, a nie do uległości zagrzewać nas będzie! Za nami będzie również i cała potężna opinia publiczna świata cywilizowanego. Rozgłos niemiły dla Niemców, jakiego sprawa ta niebawem nabrać musi, stanie się dla nas potężnym sojusznikiem.

Przetrwaliśmy *gorsze lata* strasznego w niektórych miejscach jak np. w Kościanie kulturkampfu. Przez lat z górą 15 odebrana była fara kościańska parafii, rodziców dzisiajszych dziatek walczących o język swój ojczysty noszono do chrztu św. w koszach od bielizny potajemnie, wieczorami, nocami, niemal jak w katakombach w czasie rzymskich prześladowań schodzono się po domach parafialnych na msze św., kazania prawowitych pasterzy; ileż bólu przetrzymali, ile łez wylali rodzice nasi i także my sami dzisiaj żyjący wśród tej twardej walki o święte zasady naszej katolickiej wiary, aż przyszła chwila *zwycięstwa,* niestety tylko częściowa, jak się dzisiaj okazało.

Dzisiejsza generacya musi na nowo podjąć z tą samą jednolitością, energią i wytrwałością walkę nam narzuconą, a o wynik tej walki dla nas obawiać się nie potrzebujemy!

A więc rodzice polscy po miastach i wioskach stańcie jak jeden mąż, im prędzej tem lepiej, a najpóźniej po św. Michale do walki o ostatki języka ojczystego w szkole, bo o dusze waszych własnych dziatek to chodzi, o przyszłość naszą i całych pokoleń. Okażcie się stałymi i nie ustępujcie ani na krok, choćby Wam i karami grożono i Was nawet do więzień wrzucać miano. Pamiętajcie, że i dla tej sprawy świętej religijnej zarazem i ojczystej niczem są trucizny — niczem krwawe blizny — nie żal ból cierpieć — nie żal i umrzeć. Wprawdzie walczyć krwawo o to nie będziemy, tylko *duchem, sercem i przekonaniem* — lecz ducha bóle są ciężkie, ale dla tak ważnej sprawy konieczne! Lecz nadewszystko działajmy *wszyscy razem, jednomyślnie, stanowczo i wytrwale.* Niech się w każdej wiosce zajmą tą sprawą wybitniejsi ojcowie rodziu, a tych, którzyby się z tej jednolitości wyłamywać mieli, niech uważają *za zdrajców* najświętszej sprawy naszej!

Oto taką pobudkę przesłał „Gazecie Polskiej“ pewien starszy wiekiem i doświadczeniem *kapłan*-patryota. Ponieważ ksiądz ten dla swej niezmordowanej pracy i poświęcenia dla sprawy narodowej wielce jest poważany, i ponieważ wypowiedziane przezeń w powyższym artykule poglądy z naszymi się najzupełniej zgadzają, przeto chętnie uczyniliśmy zadość prośbie jego i artykuł ten za „Gaz. P.“ powtórzyliśmy.

Jakim sposobem oddziaływać na dzieci w duchu narodowym.

Wychowanie jest pracą o niezmiernie rozległym zakresie i wysokim celu, lecz środki, jakimi się posługuje, częstokroć są małe i nieznaczne.

To samo powiedzieć można o kierunku narodowym w wychowaniu. I tutaj drobne szczegóły, na pozór mało znaczące łączą się w całość.

Postaram się myśl moją objaśnić przykładem.

Jak tylko sięgnąć może pamięcią, dziecko polskich rodziców widziało obrazy n. p. Kościuszki, ks. Poniatowskiego, Sobieskiego. Dzieci zawsze z upodobaniem patrzą na obrazy. Gdy zas ojciec lub matka opowiedzieli coś o tych bohaterach, gdy w książkach wyczytali o nich jakieś zajmujące opowiadanie lub za pomocą wiersza wyuczonego na pamięć imiona te głęboko wryły się w ich pamięć — wtedy te osoby historyczne stają się im znajome i miłe. Każda o nich wzmianka w książce,

pismach i gazetach obudzi w nich żywsze zajęcie.

Obrazy treści historycznej z naszej przeszłości koniecznie powinny znajdować się w domu polskim — nietylko jako objaw usposobienia patryotycznego, ale także jako ważny czynnik wychowawczy.

Czem dla oka — obraz odtwarzający rzeczywistość, tem dla ucha — pieśń lub deklamacya.

Dwa te zmysły: *wzrok* i *słuch* pośrednicząc pomiędzy światem zewnętrznym a zmysłem człowieka, dostarczają mu nieustannie najróżnorodniejszych wrażeń.

W epoce dzieciństwa i pierwszej młodości wrażliwość jest o wiele silniejsza, niż w wieku późniejszym, kiedy umysł więcej zagłębia się w sobie i skłonniejszym się staje do namysłu i krytyki.

Ztąd też ważnym i koniecznym jest obowiązkiem rodziców wrażliwość dzieci wyzyskiwać, kierując ją ku ukochaniu wszelkiego dobra i piękna t. j. miłości Boga, ojczyzny, ludzkości. Nauczmy wprzód młodzież naszą zachwycać się bohaterską przeszłością naszego narodu, zanim sama nauczy się rozpoznawać i krytykować jego błędy. *)

Deklamacya, a choćby i proste recytowanie z pamięci wierszy patryotycznej treści łatwiej niż czytanie uprzytomnia w umyśle dzieci pamiętne chwile i sławne osobistości. Utwory jak: Bitwa racławicka Lenartowicza, lub poezye Jana Sawy (Maryi Konopnickiej) drukowane często w „Pracy“ znakomicie się nadają do uczenia na pamięć. Gorący zapał tchnący z tych wierszy i język ich nadzwyczajnie piękny i wyrazisty, a zarazem pełen prostoty, zachwycające wywierają wrażenie. Polecam gorąco rodzicom, prezesom Towarzystw i wszystkim kierownikom młodzieży, aby pielęgnowali śpiew i deklamacye patryotycznych utworów, jako łatwy, a potężny środek wychowania narodowego.

M. G.

Zlot sokoli w Zagrzebiu.

Od specyalnego korespondenta naszego odbieramy następujący opis wszechsłowiańskiego zlotu sokolego.

Zagrzeb, 1 września.

Stolica Chorwacyi rozłożyła się na stoku pasma gór „Slieme“, które gubi się w Zagrzebiu w rozległej dolinie odgraniczonej od gór bośniackich Sawą. Zajęła sobą trzy pagórki. Środkowy, dawny gród i wschodni dotychczasowa siedziba biskupstwa założonego jeszcze w 11-tym wieku, to stare miasto; ciasne strome ulice, domki małe wszystkie dachówką kryte robią dziwne wrażenie, gdy przyglądam im się ze Strossmajerowej promenady urządzonej na brzegu środkowego pagórka z obu ostrych kopuł kończących nowożytne, ładne, przeważnie momentalne budowle miasta nowego. Stare miasto ma swą myszkę, która niestety zatraca się powoli i odbierze Zagrzebiowi w niedalekiej przyszłości charakter miasta istniejącego zwyż dziesiątek wieków. Nawet katedra obwiedziona dotychczas murem i basztami w czworobok, z dala się rzuca w oczy świerzyzną, wieże bowiem, zniszczone trzęsieniem ziemi w r. 1880-tym. odbudowano całkiem na nowo.

Środkowy pagórek, mieszkanie dawniej „króla“ chorwackiego — mały niepozorny domek istniejący do teraz — jest dziś siedzibą władz krajowych. Tu mieszka *ban*, tu jest *sejm*, tu siedziba *korpusu* armii. Na placu Marka stoi piękny — odnowiony — kościół parafialny, mający charakterystyczny boczny portyk.

Pomieszczono w nim zabytki dawnego rzeźbiarstwa. Zachodni pagórek jest ulubionem letniem mieszkaniem śmietanki chorwackiej. Stoją tu całe rzędy ładnych, nawet bogatych will.

Dolne miasto — to nowoczesna Europa. Piękne szerokie ulice, czystość wszędzie wzorowa. Dużo ładnych budowli, jak teatr, pałac sztuk pięknych, południowa słowiańska akademia, piękne bulwary.

Na jednym z nich stoi pomnik *Prerarowicza*, darował go miastu dr. Mileticz, młody literat i prezes sokolego związku chorwackiego. Ładny jest pomnik *Jelacicza* — dar cesarza austryackiego. Figura na koniu, nadnaturalnej wielkości z wyciągniętą ręką wskazującą szablą na północ. Zwraca uwagę to, że pomnik ustawiony tyłem (na rynku) do ulicy. Szablą wskazuje ku Węgrom.

Na ulicach od południa wre. Grupami przesuwają się Bułgarzy, Serbowie z Królestwa, między którymi jest kilku oficerów, dwóch Czarnogórców w pięknych i bogatych strojach narodowych, wiele kobiet również w narodowych strojach. W kancelaryi zlotowej jak w ulu. Nic dziwnego, przychodzi telegram, że Dalmatyńców przyjeżdża ośm setek, a zgłosiło się nie całe pięćset. Gdzie to wszystko wygodnie ulokować, wiele bowiem z nimi kobiet przyjeżdża. Ale niestrudzony druh Buczar, sekretarz zlotu, śmieje się tylko i powiada: Bóg łaskaw na „Hrvati“. Prawdziwie słowiański humor wobec licznych a niespodzianych gości. Dobiega wreszcie dzień ku końcowi, idziemy na dworzec. Zajeżdża pociąg, krzyki „Živili“. To Dalmatyńcy. — Twarze ogorzałe, przeważnie to lud. Kobiety w małych, okrągłych czerwonych czapeczkach na głowie, sokoli strój jednakowy.

Chorwaci z Bośnii i Hercogowiny przyjechali już rano. Punkt o godzinie 9-tej zajechał pociąg z Peesztu, wiozący 300 Polaków. Wita ich krótko dr. Buczar po chorwacku i po polsku i kończy okrzykiem na cześć Sokolstwa polskiego i niepodległej Polski. Odpowiedział prezes Turski bardzo ciepło i lotnie.

Po okrzykach „czołem“ i „zdrowo“ poszli polscy Sokoli na kwatery i bezpośrednio potem na komers do Sokoła Olbrzymi ogród pełen Sokołów mówiących różnymi językami w różne przybranych stroje. Kiedy wreszcie zajęliśmy miejsca, wskoczył na krzesło prezes zagrzebskiego Sokoła Verbanicz i rozpoczął właściwą powitalną mowę. Chorwaci mówią dużo i mówią z ogromnym ogniem. To też z ust mówcy słowa płyną potokiem. Słuchaczy Kroatów, Serbów, Czarnogórców i Bułgarów oczy skry sypały, gdy Verbonicz mówił o słowiańskich wspólnych wrogach. Sercem pełnem miłości i podziwu wita Polaków. Odpowiada znowu druh Turski i zakończył okrzykiem „živio hrvatska“. Polacy rozeszli się na noclegi, a Chorwaci poszli witać Czechów. Prowadzą ich siedem setek dr. Papich, poseł sejmowy i prezes związku dr. Szeiner.

Dzień sokoli.

Zagrzeb, 2 września.

Niedziela zapowiedziała się jako piękny upalny dzień. Rzeczywiście przez cały dzień ani chmurki na niebie, a słońce tak łaskawe na Sokołów, że każdemu zostawia miłą pamiątkę w zgorzelinie na twarzy. Zagrzeb od wczesnego ranka roi się od czerwonych koszul. Spieszyli wszyscy na boisko. Urządzono go zmyślnie w ten sposób, że wszystkie sztandary — było ich 33 — razem z odpowiednimi strażami i dygnitarzami sokolimi wysunięto na czoło pochodu. Zapobieżono tym sposobem skutecznie zapowiedzianej awanturze Starczewiczan przeciw Serbom. Za tym licznym i poważnym zastępem uszykowały się zastępy sokole. Szli więc za oddziałem konnym i związkiem chorwackim Bułgarzy z Księstwa w li-

*) Mogłaby i Wystawa obrazów w Poznaniu znakomicie przysłużyć się temu celowi wywieszając obrazy historyczne, choćby nie pierwszorzędnej wartości i dodając do nich krótkie objaśnienia. Tym sposobem stałby się ten skromny tymczasem, ale dla nas nader cenny przybytek sztuki szkołą patryotyzmu. Polecam tę myśl uwadze i ocenie Szanownych Panów, składających Komitet wystawy.

czbie około 30 pod dowództwem Kovizova, prezesa związku bułgarskiego „Junak“. Za nimi dwóch Czarnogórców w bogatych strojach, młode rosłe chłopy. Potem Czesi w pokaźnej liczbie do siedmiu setek z własną muzyką, same trąbki. Zwią taką muzykę „fanfarą“. Za Czechami szli Polacy w liczbie 250. Odznaczali się tem, że entuzyastyczne okrzyki przypatrującej się publiczności przyjmowali ściśle podług regulaminu, t. zn. dziękowali ukłonem tylko dowódzcy. Za Polakami mieli iść Rusini, lecz nie przyjechali. Czyżby mieli się obrazić, że iść im padnie za Polakami? Czy może...? Co nas to zresztą obchodzi. Reprezentował ich za to Werkun, przepraszam Werguń, który się kręcił ciągle między chorwackimi dziennikarzami. Za Polakami szli Słoweńcy w liczbie 480, prowadzeni przez bardzo sympatycznego młodego adwokata z Lublany dr. Kravnihara, prezesa związku słoweńskiego. Serbowie szli razem. Najpierw „duszan silny“, związek gimnastyczno-wojskowy z królestwa serbskiego pod przewodnictwem podpułkownika sztabu Miszkovica. Jestto organizacya towarzystw wojenno-gimnastycznych, do których należą i oficerowie i prowadzą je. Było ich 15. Za nimi szli Sokoli serbscy z Chorwacyi i Slavonii już w stroju sokolim. Było ich do 50. Cały ten pochód, liczący nad 2000 osób, zamykali Chorwaci, zebrani z Bośnii, Hercogowiny, Dalmacyi i Chorwacyi. Na pięknym placu przed akademickim pawilonem, gdzie mieści się wystawa sztuk pięknych, zebrali się na tarasie dygnitarze autonomiczni, rada miejska, prezydent Pragi z kilku radnymi, prezydent Lublany, sztandary, dygnitarze, Sokoli i wiele pań strojnych.

Tu wita nas burmistrz Zagrzebia dr. Amrusz.

Po odśpiewaniu dwóch chorwackich hymnów sokolich, pochód ruszył dalej i rozwiązał się przed Sokołem około drugiej z południa. Dla Polaków były wykrzykniki o niepodległej Polsce. — Rzucano im z ulicy i z okien pałaców kwiaty, a nie szczędzili ich oficerowie Kroaci stojący gęsto na ulicach.

Ćwiczenia publiczne.

Zamiast o trzeciej zaczęły się popisy gimnastyczne dopiero o godzinie 5 i pół. Dobrze się stało, bo gorąco bardzo dokuczało, ale nasze lance straciły na tem, bo przećwiczono je już po księżycu. Wolne ćwiczenia, w których udział wzięła okrągła tysiączka junaków, wykonano wzorowo. Na czele kolumny wkraczającej na boisko, szła ósemka Chorwtaów, prawdziwe pehliwany, młode rosłe, o niedźwiedzich barach junaki. Ćwiczenia wzorowane na francuskim sposobie, szybkie prawie błyskawiczne ruchy łączone z wytrzymywaniami, przy odpowiedniej muzyce opartej o ludowe motywy, odpowiadają temperamentowi chorwackiemu. Brali w nich udział wszyscy uczestnicy. Publiczne masowe ćwiczenia sokole mają tę wyższość nad takiemi ćwiczeniami, n. p. niemieckiemi, że skutkiem jednolitości stroju i powagi w przeprowadzeniu robią wrażenie czegoś seryo traktowanego. Niemcy stanęli przed paru laty w Hamburgu w imponującej liczbie prawie 8 tysięcy, ale ich gimnastycy stoją w różnych kostyumach, a nawet w zwykłem ubraniu po zrzuceniu wierzchnego okrycia, skutkiem tego stoją całe kolumny np. ze szelkami na koszulach. Robi to bardzo brzydkie wrażenie. Nic piękniejszego nad błysk obnażonych silnych ramion w słońcu i wywołana rytmicznym ich ruchem gra świateł i cieni. Tego nie oddadzą różnokolorowe rękawy koszul gimnastyków niemieckich. Wśród ćwiczeń różnych na przyrządach odszczególniły się masowe piramidy Słoweńców i „moreszka“ Chorwatów ze Spletu. Jest to wojenny taniec z mieczami. Odbyła się w 12 par. Lance polskie ćwiczone o zmroku zrobiły wielkie wrażenie. Po trzecim obrazie wręczył na boisku prezes Turski (po przemowie) wobec naszych Sokołów upominek. Publiczność się nie zoryentowała z powodu zmroku co się dzieje, słysząc jednak mowy, ruszyło wszystko na boisko. Po gorącej przemowie prezesa chorwackiego Akaczica, porwali obu prezesów Sokoli na ręce. To dało hasło Chorwatom do odruchowego porywu. Brali więc jednego po drugim naszych Sokołów, stojących w rozstępie z lancą u nogi gotowych do wykonania dalszego obrazu ćwiczeń wraz z lancą na ręce i dołączali się do idących już poprzedników. W jednej chwili zakotłowało się na boisku, Sokoli znikali z jego powierzchni i wyrastali na ramionach Chorwatów. Lancami nakryto niesionych prezesów i trzymaną przez Akaczica honorową lancę i tak ruszył ten dziwny pochód wśród ogłuszających okrzyków i niezwykłego entuzyazmu w koło boiska. Nikt nie myślał o dalszych ćwiczeniach zresztą zmrok, i brak karnych gimnastyków uniemożliwił je, zamieniając surową i udyscyplinowaną gimnastykę na entuzyastyczną, rwącą wszystkie więzy regulaminowe owacyę na cześć Polaków. Czeskie maczugi spadły z porządku. Wieczorem było uroczyste przedstawienie — w teatrze.

Zagrzeb, 3 września.

Drugi dzień uroczystości sokolich później się zaczął jak poprzedni. Wysiłek dnia poprzedniego i zabawy wieczorne zatrzymały wielu prawie do 8 z rana w pomieszkaniach. Dalsze zawody i próby gimnastyczne zaczęły się dopiero około 9 rano. Starszyzna Sokoła oddawała urzędowe wizyty.

W Sokole bankiet dany przez Chorwatów. Na tym bankiecie zebrało się do dwóch setek gości. Prócz Sokołów byli burmistrze Zagrzebia, Pragi z radzcami miejskimi i z Lublany również z delegacyą. Z Czechów byli posłowie Papich, znany Sokolstwu dobrze z różnych zlotów, Klofacz i poseł z Morawy Reichstetter, poseł do sejmu węgierskiego Słowak dr. Hodża, a Rusinów reprezentował Werguń. Z Polaków sami Sokoli, a stało się tak, że znowu byli ośrodkiem w całem zebraniu. Przemówienia rozpoczął Akaczic powitaniem wszystkich gości. Do Polaków zwrócił się ze szczególniejszą serdecznością i okrzykiem „jeszcze nie zginęła“. Burmistrz zagrzebski wyłuszczając zadania sokolstwa wita jego przedstawicieli imieniem miasta. Burmistrz pragski sławi mieszczaństwo i wnosi toast na cześć Zagrzebia. Dziękuje mu ogniście, prawdziwie po chorwacku prezes zagrzebskiego Sokoła, Verbanicz. Po przemowie burmistrza Lublany, który imieniem miasta Lublany wręczył dar dla Sokołów chorwackich srebrny wieniec, przewodniczący zapowiada „recz ima brat Turski, starejszina sokola polskiego. D. Turski dziękuje gospodarzom, że dali sposobność zebrać się sokolstwu, bo tam, na boisku widzi się dopiero, jaką ta tak sławiona wzajemność słowiańska winna być. Wobec wspólnego wroga można zapomnieć o sporach wzajemnych, jak to zapominają Sokoli o nich na boisku. Spory te załatwią się kiedyś, byle się nikt trzeci nie mieszał do nich. Sokolstwo może w tem pomódz, bo Sokoli to nie tylko gimnastycy. Polacy posądzani o wyodrębnianie się od słowiańskości — niesłusznie, bo pamiętając co winni swej wielkiej przeszłości i pracując dla zdobycia również wielkiej przyszłości, nie mogą zapomnieć, że ta wzajemność musi być pojętą, jako czysty ton w pięknym akordzie.

Taką harmonię tworzą nasze pieśni narodowe i hymny odtwarzające całą historyę słowiańską. I tu zaczyna mówca rozwijać tę historyę, ilustrując ją hymnami. Zaczynają go wszyscy rozumieć, wstają od stołów i otaczają, rośnie atmosfera jakaś uroczysta, zapał ogarnia wszystkich i unosi mówcę, który z niezwykłą jasnością prawi, że marzycielstwo słowiańskie nie mogło się zdobyć na inne pragnienia, jak tylko na pytanie „kde domov moj“ i odpowiedź „o tam, o tam, za te góry“ (czarnogórski hymn). Toż w skutku tego może również całe śpiewać „Szumi Morica okervarena“, bo krwią słowiańską spłynęła ona i Sawa, Drawa i Dunaj i

Wisła i Elba. A słowiaństwo nie potrafiło się zdobyć na więcej, jak na pieśń, śpiewaną od Belgradu „Boże prawy“. Ale przyszła chwila opamiętania się i nie ma Słowianina, któryby na odgłos „Jeszcze Polska nie zginęła“ nie odczuł tych samych gorących pragnień, jak je odczuwają Polacy. Stojący obok porwali mówiącego na ramiona a on prawi dalej. Więc przyszedł czas na opamiętanie i w całem słowiaństwie za sokolstwem wierzy się w hasło „u desnicy snaga“ (w prawicy broń, męstwo w sercu, a w myśli ojczyzna). Myśl ta rośnie, potężnieje i wywołuje silny okrzyk „Na prej“ (słowenski hymn). Należy się dobrze przygotować, aby iść „naprzód“, a wtedy słodko brzmieć będzie w uszach naszych „liepa nasza domowina“ (hymn chorwacki). Dzięki Chorwatom za to, że dali sposobność na te refleksye. Entuzyazmowi nie było końca. Zabiera głos Papich, zawsze płomienny mówca, teraz rozumiejący dobrze wszystko, podniecony mówi z ogromnym zapałem i wręcza upominek od Czechów. — Po nim mówił Serb, Bułgar, Słowieniec dający piękną srebrną gałęź lipową i Czech Podlipny zapraszając na zlot do Pragi na rok 1907.

Po południu drugie ćwiczenia. Są i nasze lance nad program. Po ćwiczeniach, już zmrokiem wszystko przeszło na wystawę, gdzie się odbyła zabawa ludowa. Byli na niej wszyscy od bana i banowej począwszy — którzy około jedenastej odjechali — aż do chłopów bośniackich i wieśniaczek dalmatyńskich.

Prasa chorwacka dość dyplomatycznie pomija entuzyazm, jaki wywołali Polacy, bo woleliby, aby Czesi byli wyszli na czoło. Wszak Czesi ten zlot także przygotowali, wszak często wołano: to nasi nauczyciele, mimo tego entuzyazmowano się Polakami. Nie winniśmy, że może mimowoli bierzemy za serce. *B....*

Z zaboru rosyjskiego.

Warszawa, 9 września.

Krwawe wypadki z dnia 15-go sierpnia głośnem echem odezwały się na łamach prasy rosyjskiej, niemałe również wrażenie sprawiły i na rządzie petersburskim.

Ponieważ jednak do składu tego ostatniego należą wciąż ludzie, którzy „niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli,“ więc na wypadki w Królestwie odpowiedzieli starym, wypróbowanym, a tak bezskutecznym środkiem biurokratycznym — wzmocnieniem ucisku. Zrobiono społeczeństwo całe odpowiedzialnem za czyny bojówek socyalistycznych i spokojnych obywateli poddano takim prześladowaniom, że dziś życie w Warszawie jest wprost nieznośnem ze względu na stałe rewizye na ulicach, z towarzyszeniem uderzeń kolbą lub nahajką. Wolni od tych rewizyi nie są już ani kapłani, ani kobiety, ulegają nim piesi i jezdni, o każdej porze dnia i nocy. Od kul żołnierskich padają przypadkowi przechodnie, gdyż na każdy strzał rewolwerowy wojsko odpowiada salwą do publiczności.

O ofiarach tych strzałów słyszy się codzień bezustannie. O 7-mej wieczór ulice pustoszeją zupełnie, ruch, handel i przemysł zamierają, bankructwa się mnożą, nędza rośnie, mnóstwo zamożniejszych osób opuszcza Warszawę. Zdarza się, że na dni parę miasto przybiera zbliżoną do zwykłej postać: ustępują patrole, ruch się wzmaga, w miejscach publicznych znać ożywienie. Lecz za byle powodem wojsko otacza ulice kordonem i dokonywa drobiazgowej, brutalnej rewizyi osób i domów.

I znów to samo, i znów jakieś nadzwyczajne rozporządzenie naczelnika wojennego, krępujące ogromnie życie wielkiego miasta: n. p. nakaz zamykania bram domów o 4-iej po południu, lub zakaz sprzedawania pism na ulicach.

Te wszystkie ciężary obostrzonego stanu wojennego spadają tylko na ludność spokojną, nie szkodzą natomiast wiele ani rewolucyonistom, ani bandytom. Już po zastosowaniu tych środków nadzwyczajnych zabito na ulicy z rewolweru gen. gub. wojennego Woulartarskiego, a tłumy niemal bandytów z rewolwerami obchodzą sklepy i mieszkania prywatne — wypadki tego rodzaju liczą się na dziesiątki, zwykłą są rzeczą napady na inkasentów rządowych i prywatnych. Rzecz szczególna, że posiadacze brauningów zawsze znajdą sposób uniknięcia rewizyi patroli.

Na naradzie ministrów uchwalono obostrzyć stan wojenny, z większym naciskiem stosować paragraf ustawy, dozwalający gen. gubernatorom wojennym zarządzanie środków nadzwyczajnych, koniecznych według jego uznania dla przywrócenia porządku.

Skałon, korzystając z tego, wydał rozporządzenie, grożące surowemi karami tym wszystkim, którzy odmówią pomocy ofiarom zamachów rewolucyonistów. Zarazem, uważając widocznie „Sokoła“ naszego za instytucyę rewolucyjną (nasi prześladowcy są wszędzie do siebie podobni!) zawiesił go na czas trwania stanu wojennego.

Jest to niczem bodaj nie usprawiedliwiony krok naszego satrapy. Nasz „Sokół“ jest niebezpiecznym, ale dla socyalistów, którzy nie szczędzą mu napaści w swej prasie (tajnej), ani też szykan wszelkiego rodzaju, posuniętych aż do napadania na „druhów,“ jak to było w Radomskiem lub Zagłębiu Dąbrowskiem. W Lubelskiem Sokół miał za zadanie przeciwdziałać czynnie strejkom rolnym w ten sposób, że druhowie — włościanie spieszyli do majątków nawiedzonych strejkiem i roboty wszelkie na jego czas wykonywali bezinteresownie. Odznaczył się w tem dzielny nasz poseł włościański — Nakonieczny, ukrywający się dzisiaj przed bojowcami PPS, grożącymi mu śmiercią (pierwszy zamach się nie udał). Nad Nakoniecznym czuwa bojówka ND, gotowa pomścić krwawo śmierć jego.

Ostatnie uchwały rady ministrów i komunikaty wskazują również, że rząd nie zamierza wcale zejść z drogi ucisku. Jest nią ostatnio zaprowadzenie w państwie sądów polowych za przestępstwa najcięższe. Ogłoszony świeżo program reform, jakie rząd przeprowadzić zamierza w najbliższej przyszłości — wygląda bardzo skromnie. Dla nas specyalnie zawiera ów program wprowadzenie samorządu ziemskiego i miejskiego w gub. Królestwa.

Jest to rzecz wielkiej wagi, ponieważ samorząd miejscowy odda w nasze ręce gospodarkę miejską i ziemską, uwalniając nas od nieznośnej „opieki“ biurokracyi najezdniczej, wysysającej kraj i czyniącej z Królestwa pod względem urządzeń cywilizacyjnych drugą Turcyę europejską. A więc w naszem już ręku będą fundusze miejskie i powiatowe, my dbać będziemy o szosy, mosty, bruki i wszelkie kulturalne urządzenia Zachodu, zniknie bezprzykładne łupiestwo grosza publicznego, stale przez urzędników rosyjskich praktykowane. Ziemstwo ma prawo zakładać szkoły, szpitale, stacye rolnicze, kursy specyalne naukowe, poświęcone nauce rolnictwa, pszczelarstwa i ogrodnictwa wśród włościan. Rosyjskie ziemstwo jest czemś w rodzaju galicyjskich rad powiatowych i skład jego jest obieralnym, a miasta w Rosyi cieszą się dosyć rozległym samorządem. Zjazd wszystkich delegatów ziemstw powiatowych w Królestwie będzie prawdopodobnie zawiązkiem przyszłego sejmu autonomicznego. Skorzystamy też z projektu prawa o swobodzie wyznań i nietykalności osobistej, o ile oczywiście nie będzie to ostatnie zniweczone ustawą o stanie wojennym.

Jest również rzeczą bliskiej przyszłości zaprowadzenie języka polskiego w urzędowaniu wewnętrznem rządowych kolei żelaznych w Królestwie. Odpowiedni projekt już przygotował minister komunikacyi. A więc język polski odzyska na kolejach w Królestwie

swe prawa w biurowości wewnętrznej, na biletach kolejowych, w napisach i ogłoszeniach na dworcach. Dotychczas tak było tylko na kolejach prywatnych, a więc wiedeńskiej, kaliskiej i łódzkiej, od roku, a na rządowych prześladowanie języka polskiego posuniętem było do tego stopnia, że ogłoszenia na kasach zredagowane były w 4-ch językach, za wyłączeniem polskiego! a ogłoszenia prywatne nie mogły mieć tekstu polskiego obok rosyjskiego!

Sarmata.

Obecne położenie w Rosyi.

w świetle historyi.

Petersburg, dnia 6 września 1906.

III.

Ciszę, która zapanowała w Petersburgu po rozwiązaniu Dumy, ciszę naprężonego oczekiwania, przerwał gwałtownie straszliwy zamach na życie prezesa Rady ministrów Stołypina. Zamach chybił swego celu. Ofiarą padło niestety 32 osób zabitych, pomiędzy nimi kilku jenerałów nie odgrywających żadnej politycznej roli. Oprócz tego odniosło ciężkie rany prawie tyleż osób, pomiędzy nimi syn i córka ministra. Nie będę się zatrzymywał nad opisaniem szczegółów tego nawet w dziejach rewolucyi rosyjskiej niezwykłego zamachu. Sprawie wolności w każdym razie zamach ten się nie przysłużył, uważać go raczej trzeba za wyraz dzikiej rozpaczy.

Obawy, żywione w szerokich kołach umiarkowanych, iż po zamachu rząd użyje wszelkich środków represyi i wróci do skrajnej reakcyi, a nawet może ucieknie się do ostatecznego środka, tj. do dyktatury, na razie okazały się płonnemi. Przeciwnie, urzędowy organ „Rossija" ogłasza stanowczo, iż wszelkie bezprawia i gwałty nie będą w stanie sprowadzić rządu z raz postanowionej drogi reformy. Tymczasem rząd wystawia opinię publiczną na ciężką próbę, ponieważ tych od dawna obiecywanych reform w rzeczywistości nikt dopatrzyć się nie może. Przyczyny tego szukać należy niewątpliwie w zupełnie spróchniałej i zdrętwiałej machinie rządowej, która pozostaje w owem niezrozumiałem letargicznem uśpieniu, podczas gdy zdarzenia następują po sobie z gorączkową szybkością. Jako dobitną ilustracyę tego twierdzenia przytaczam tylko, że w dzień po zamachu na Stołypina odbyło się posiedzenie Rady ministrów, na którem zapadła uchwała, że ministrowie najpóźniej do 14-go września r. b. skreślić i przedstawić powinni plan swego działania! Oprócz tego postanowiono ze względu na ogólne krytyczne położenie odbywać nie po dwa, jak dotychczas, lecz po trzy posiedzenia tygodniowo! Nasuwa się tu porównanie z chłopem, któremu chałupa pali się nad głową i który długo zastanawia się nad tem, jakiego węborka należy używać do gaszenia pożaru.

Ogólne położenie w Rosyi przedstawia się więc obecnie tak: Z jednej strony teror rewolucyi, dający się we znaki również rządowi jak i umiarkowanej części społeczeństwa, z drugiej strony rząd, do którego to samo społeczeństwo żywi jak najwyższą nieufność, a w pośrodku znękany, wystraszony i do ostatniej rozpaczy doprowadzony naród. — Naprężenie takie długo trwać nie może i wybuch nastąpić musi wnet w tym lub w owym kierunku.

Stronnictwa środkowe i skrajne upatrują jedyny ratunek kraju w niezwłocznem zwołaniu nowej Dumy i rzeczywiście przyznać trzeba, iż ten środek byłby poniekąd w stanie uśmierzyć do najwyższego stopnia wzburzone, niechęcią i rozpaczą miotane umysły. — Jednakże rząd obecnie Dumy zwołać nie chce i nie może. Ministeryum bowiem przed czterema miesiącami popełniło błąd nie do darowania, że przed młodociany parlament rosyjski wystąpiło z zupełnie pustymi rękoma, nie przynosząc mu nic w podarku, tj. nie przedstawiając mu żadnego programu wspólnego działania, jak to się dzieje od dawna we wszystkich parlamentach europejskich. Dla tego Duma, nie znalazłszy wspólnej podstawy działania z ministerstwem, samym zbiegiem okoliczności popchniętą została w krańcowy opór, a sama nie będąc w stanie zespoić swoich tak różnorodnych sił w jeden ścisły program, strawiła się na zupełnie bezowocnem wymyślaniu ministrom przy każdem ich wystąpieniu.

Tego błędu rząd przy ponownem zwołaniu Dumy w każdym razie wystrzegać się powinien. Przed nowym parlamentem rząd wystąpić musi z zupełnie gotowym programem, a do wypracowania takiego programu biurokracya potrzebuje kilku miesięcy. Dla tego więc rząd na wszystkie nawoływania i żądania pozostaje głuchym.

Tymczasem na wszystkich krańcach olbrzymiego państwa panoszy się przestrach i bezprawie, a w Królestwie Polskiem zbrodnie socyalistów ubiegają się o palmę z okrucieństwem sołdatów. W kraju nadbałtyckim anarchia na nowo podnosi głowę, znacząc swój pochód niesłychanymi gwałtami, pomimo zapewnień tamtejszych Niemców, że rewolucya raz na zawsze została stłumioną. Zachowanie się bałtyckich Niemców wobec rewolucyi jest zupełnie odrębnem. Zamyślam tym stosunkom poświęcić jeden z późniejszych artykułów, tymczasem zaznaczam tylko, że położenie, a nawet istnienie tych Niemców jest zupełnie zagrożonem, na co, nawiasem mówiąc, zasłużyli.

Rząd wobec takiego położenia pozostaje zupełnie bezradnym. Pozostaje więc tylko to przypuszczenie, że rząd carski albo nie chce, albo nie może zaprowadzić porządku. Ostatnia możliwość jest prawdopodobniejszą, lecz w każdym razie jest pewnikiem, że od obecnego rządu już nikt a nikt ratunku nie oczekuje.

Gdy wiadomość o straszliwym zamachu na Stołypina doszła do Wiednia, tamtejszy poseł rosyjski wyrzekł: „Cud tylko jakiś może nas zbawić".

Seweryn.

Kolonie polskie w Paranie.

Brazylia jest to kraj obejmujący obszarem swym większą połowę południowej Ameryki. Całą jego granicę wschodnią oblewa Ocean atlantycki. Walka o chleb i do tego kraju skierowała tysiące braci naszych.

Pierwsze kolonie polskie w Brazylii powstały przed laty mniej więcej 30, w stanie Santa Catarina. Stan ten jednak nie mógł stać się polem dla rozwoju polskiej kolonizacyi. Rozpostarł się już tam był żywioł niemiecki. Więc gdy w roku 1890—91 rozpoczął się masowy ruch emigracyjny z Górnego Śląska, emigranci polscy poczęli osiadać w St.-Parana. Byt swój oni tam rychło utrwalili, gdyż znaleźli warunki fizyczne podatne dla siebie.

Zamożność tych kolonistów, a nadewszystko sąsiedztwo „swojaków" zachęciły późniejszych emigrantów polskich z Królestwa i Galicyi do osiadania w Paranie.

Powierzchnia Parany wynosi 240 tysięcy kilometrów kwadratowych. Na tej przestrzeni mieszka około 320.000 ludności, z której około 70.000 stanowią Polacy, 40.000 rozmaite narodowości i 210.000 żywioł miejscowy, złożony z białych mieszkańców, oraz czystej krwi Indyan i Murzynów.

Obecnie kolonizacya polska w Paranie rozwija się na płaskowyżu, wzniesionem 600—1000 m. nad poziomem morza. Klimat jest tam umiarkowany, zdrowy i łagodny, przypomina klimat północnych Włoch. Niema t. zw. pory deszczowej. Żadne choroby lokalne nie panują. Żółta febra do kolonistów polskich nie zachodzi.

Fauna i flora *) bardzo bogata. Ze

*) *Fauną i florą* w języku naukowym nazywa się stan roślinności i rozmaitości zwierza miejscowego. *Faunus* był bożek, czczony przez dawnych mieszkańców Italii. — Flora — bogini kwiatów.

zwierząt ssących są bardzo pospolite: tapir, dwa gatunki mrówkojadów, małpy; z drapieżnych jaguar, czerwony wilk, lis. Drapieżne zwierzęta nie są jednak niebezpieczne dla kolonistów. Boją się człowieka, w pobliżu kolonii rzadko się pokazują. Między ptakami są pospolite: czaple, gęsi, kaczki, kuropatwy.

W lasach Parany jest dużo drzew użytecznych.

Bogactwo kraju stanowi krzew herva mate (ilex paraguayensis), bardzo podobny do krzewu herbacianego. Liście hervy suszą i sprzedają jako herbatę brazylijską. Jako drzewo budulcowe wymienić należy: cedr, imbusa; owoce: pomarańcze, cytryny, brzoskwinie, figi.

Łagodny klimat i urodzajna gleba niezmiernie sprzyjają rozwojowi rolnictwa i hodowli bydła.

Ze zbóż najbardziej jest rozpowszechnione wśród osadników polskich żyto jare, jakoteż kukurydza. Pszenicy, owsa i jęczmienia prawie nie uprawiają. Z okopowych sadzą z powodzeniem kartofle. Hodowli bydła koloniści polscy nie prowadzą. Dbają tylko o konie, które hodują z niezwykłą troskliwością. Konie rasy krajowej są słabe, pielęgnowane jednak przez osadników naszych nabierają siły i są bardzo cenione na rynku krajowym. Prócz koni, używane są na koloniach muły i woły robocze.

Koloniści pod względem materyalnym mają się dobrze. Dzięki pracowitości, oszczędności i zapobiegliwości dochodzili wychodźcy nasi dość łatwo do dobrobytu. Nie było wypadku, aby jakikolwiek wychodźca, przywykły i chcący pracować na roli zmarniał.

Ceny ziemi w Paranie ogółem przystępne, zależne są od położenia.

Rolnictwa na wielką skalę prowadzić nie można z powodu braku rąk roboczych, ale za to w Paranie przy jej warunkach przyrodzonych i taniości ziemi, można rozwinąć hodowlę bydła, a szczególnie owiec.

Przemysł w Paranie jest jeszcze w powijakach. Istnieje tam zaledwie jedna fabryka zapałek i kilka młynów dla przemielenia i sortowania „herwy mate“.

W kraju, co prawda, o tak niskim stanie zaludnienia, niepodobna było stworzyć większego przemysłu. Lecz ten, jaki jest obecnie, nie wystarcza na miejscowe potrzeby i przedsiębiorczy kapitał ma tam pole do działania.

Stosunki w koloniach polskich kształtują się bardzo powoli. Wychodźca polski jest jeszcze dotychczas zajęty myślą o zdobyciu kawałka chleba. W życiu publicznem udziału nie bierze.

Nie mają też koloniści nasi swego przedstawiciela nietylko w zarządzie kraju, lecz nawet w kongresie stanowym.

Do oświaty koloniści nasi garną się ogromnie. W ostatnich czasach czytelnictwo poczęło rozwijać się nadzwyczaj szybko. Analfabetów coraz mniej. Przed dwoma laty zostało założone Towarzystwo Szkoły ludowej. Zakłada ona biblioteki bezpłatne, rozdaje elementarze, organizuje szkółki.

W Kurytybie wychodzą dwa pisma polskie: „Gazeta Polska“ i „Polak w Brazylii“. Obydwa pisma mają znaczną liczbę abonentów.

Polacy, osiedli na obczyźnie — przynajmniej w Paranie — nie wynaradawiają się. Wiary i języka swych przodków strzegą gorliwie. *H.*

Za granicę Śląska polskiego.

Na Górnym Śląsku — wiadomo — toczy się walka o lud polski. Kto zdobędzie jego zaufanie, ten ogarnie wpływy na Górnym Śląsku, ten nada mu cechy polityczne.

Do tej walki stanęły dwa przeciwne obozy — Niemcy i Polacy.

Do roku 1903 wpływy i ton polityczny na Górnym Śląsku należał do Niemców. Byli to wprawdzie Niemcy-katolicy, wiedli ich księża — ale byli zawsze Niemcy. Stronnictwo, do którego należeli, to centrum, stronnictwo katolickie, ale i nawskroś niemieckie, stronnictwo, które nie przeciwi się germanizacyi Polaków, przeciwi się tylko zbyt radykalnym sposobem tej germanizacyi.

Po drugiej stronie stanęli Polacy — krew z krwi z tego samego ludu, który tysiącami mieszka na Górnym Śląsku. Centrowcy do walki szli zwartym szeregiem — w polskim obozie zapałał partyjny bój: tu Korfanty — tu Napieralski.

I potrzeba było lat, aż wreszcie i Napieralski przekonał się, że wspólna praca nad ludem polskim z centrum jest niemożliwa. Napieralski niedawno stanął obok Korfantego — w narodowym obozie.

Przypominamy to dziś pokrótce z okazyi procesu, jaki odbył się przeciwko redaktorowi „Polaka“ p. Fr. Wojciechowskiego z powodu artykułu napisanego w czasie ostatniej walki wyborczej w Bytomsko-Tarnogórskim.

Kilka dni przed wyborami zwoływano na wiec centrowy w *Królewskiej Hucie* z ambon w kościele, skąd żądano, aby na wiec wierni przybyli jako centrowcy. Oczywiście też zebrani w kościele Polacy przybyli na ów wiec, ale rozgoryczeni tem, że centrowcy wykorzystują ambonę dla agitacyi wyborczej, wygwizdali przemowę ich kandydata na posła p. Muschalika, który musiał umilknąć. Liche wrażenie przemówienia tego pana chciał poprawić poseł ks. Glowatzky, lecz i jemu przerywano. Ks. Glowatzky odezwał się w dalszem przemówieniu do litości i współczucia zebranych, opowiadając im, jakie to księża, braciszkowie i siostry zakonne we Francyi cierpieć są zniewoleni prześladowania. Ale i ten manewr nie wygładził wzburzonych fal, owszem z różnych stron wołano mówcy: „Toć kiedy tym we Francyi tak źle, to cieszcie się, że wam u nas tak dobrze!“ Kiedy ks. Glowatzky wyczerpał sposoby krasomówcze a zebranych nie zdołał pozyskać dla centrowego kandydata poselskiego, owszem wzburzone fale ludu coraz to bardziej się piętrzyły, wtenczas wybuchł niehamowanym gniewem i zawołał: „Czekajcie, przyjdzie dla was godzina zapłaty!“ To dało powód do artykułu w „Polaku“, który w nagłówku zawierał groźbę ks. Glowatzky'ego, a w dalszym ciągu w odwecie groził centrowcom, iż dla nich przyjdzie godzina zapłaty, kiedy lud ich przepędzi za granicę.

Mowa tu oczywiście o odebraniu wpływów politycznych księżom centrowym, którzy są filarami centrum na Górnym Śląsku.

Sąd skazał p. Wojciechowskiego na 2 tygodnie więzienia — czy jednak wyrok ten naprawi położenie centrowców na Górnym Śląsku? — Bardzo wątpimy i ostatecznie otrzyma „Polak“ racyę, że centrowcy Śląsk polski będą musieli opuścić.

Głos ludu — w obronie redaktorów.

Obelga rzucona na redaktorów przez ks. patrona Wawrzyniaka wywołała odgłos nawet wśród ludu naszego na obczyźnie. Jako dowód tego przytaczamy tutaj list, w którym z *Kolonii* nad Renem, piszą nam co następuje:

Szanowna „Praco!“

W jednym z ostatnich numerów Twojego szanownego pisma ubolewałaś nad niemocą naszej opinii. Zapewne autor tego artykułu nie spodziewał się, że wywody jego w tak krótkim czasie publicznie zostaną potwierdzone, i to z miejsca i przez osobę, do której dotąd może miał największe zaufanie. Bo głos gazet, jest to głos opinii, a tutaj ks. prał. Wawrzyniak jako patron Spółek, niemniej także i jako kapłan mówi, że na głosy gazet,

a więc i na głosy opinii nie zważa. Jemu tylko idzie o „geszeft“.

Często także, kochana „Praco“, ubolewałaś nad tem, iż większa część rodaków z Westfalii i Nadrenii zerwała przymierze z krajem. Nie *z krajem* jednak my to przymierze zerwali, lecz z tą częścią agraryuszy, którzy robotnika wyzyskują. Czy się, kochana „Praco“ dziwisz jeszcze temu?

A Ty, kochany Panie Redaktorze — ja wiem, że ból serce Twe krwawi, bo na taką obelgę ze strony ks. patrona pewnie nie byłeś przysposobiony. Nie dziwiłbyś się, gdyby to sprzedawczycy przy szampanie tak sobie mówili, ale nie patron spółek, i to jeszcze gdzie? — na sejmiku!

Zapewne, kochany Redaktorze, gdy żeś szedł do lochu więziennego, na miesiące, a może i na lata, a dziatki i żonę na łaskę losu musiałeś zostawić — i Tobie łzy w oczach stanęły, gdyś się z nimi żegnał. Wiem, że smutnie i ciężko Twemu sercu było, gdyś opuszczał Twoją rodzinę, która za Tobą wołała. Jednak pełen odwagi szedłeś, z tą myślą, że nie jako zbójca albo zdrajca, ale jako męczennik za sprawę narodową idziesz cierpieć. A jeszcze więcej odwagi dodawało ci to, że ani jeden Polak nie znajdzie się, któryby nie miał dla Twego bólu współczucia.

Zmyliłeś się jednak, kochany Redaktorze! Gdybyś był miał kieszenie zapełnione srebrnikami judaszowskimi i nieszczęściem się dostał do kozy, zapewne więcej byś był szanowany. Ale jako redaktor, co masz „płótno w kieszeni“ — nic żeś nie wart!

O zgnilizno!

Zasyłam Szanownej Redakcyi serdeczne pozdrowienie z obczyzny i życzę wytrwałości w pracy i zapewniam Was, że prawdziwego doznajecie i doznawać będziecie szacunku u nas na obczyźnie.

Jak. S.......

. . . .

Tak lud myśli, tak lud szanuje, tak lud broni swoich redaktorów. Doprawdy serce rośnie na ten głos ludu.

Lud naszym fundamentem — a tego fundamentu nie pozbawią nas napaści nawet — ks. patrona Wawrzyniaka.

List ten posyłamy do teki patronackiej ks. prał. Wawrzyniaka, ażeby go przeczytał sobie wtenczas zawsze, gdy przyjdzie mu ochota błotem obelgi rzucić w oczy redaktorów i tej opinii, która w zwartym szeregu broni najświętszych skarbów naszych — wiary, ziemi i narodowości. *Redakcya.*

„Czarna księga.“

Ucichł gwar, jaki wywołało kilka miesięcy temu pojawienie się „Czarnej księgi“.

Nie zapoznawałem nigdy potrzeby księgi tej. Przyglądałem się jednak dość spokojnie obronie jej przed wściekłemi napaściami znanych i nieznanych sprzedawczyków i przeciwko tym, którzy dla kilku błędów chcieli potępić i zniszczyć nie tylko księgę samą — ale w zarodku ubić myśl ponownego jej ukazania się; nie zdawałem sobie podówczas w części sprawy z wrażenia, jakie księga ta robić może i musi.

Cząstkę tego wrażenia odczułem w tych dniach sam. Mówię — cząstkę, bo wrażenie to wywołał jeden wypadek, jeden na setek tyle, ile ich zawiera „Czarna księga“.

Otóż odebrałem zwykłą ranną pocztą „Lecha“ — na naczelnym miejscu podpada mi czarna obwódka — w niej tłustym drukiem napis: ś. p. Konstanty Łuczkowski...

Czytam — czy to jaki mąż wielki, może za zasługi niespożyte na naczelne wybił się miejsce w narodzie?

Nie!... bo oto tak brzmi dalej wieść „Lecha“:

„zmarł w niedzielę w Lucimiu pod Koronowem. Był to człowiek bardzo zamożny. Niestety w roku 1886 sprzedał piękny majątek Sadłogoszcz w powiecie szubińskim *komisyi kolonizacyjnej.* Za blisko 2000 mórg dobrej ziemi wziął niezmiernie niską cenę, wynoszącą 240 000 marek.

Pamięć jego żyć będzie — w „czarnej księdze“. Niech mu Sędzia Najwyższy przebaczy łzy ludu polskiego, który z jego winy opuścić musiał strzechę rodzinną!“

Przed oczami moimi migają niewyraźne cienie słów — piękny majątek! — komisyi kolonizacyjnej! — pamięć w „czarnej księdze!“ — łzy ludu!“

Czyż może być coś straszniejszego? Czy potępienie narodu silniej, potężniej przemawiać może jak te słowa — w czarnej obwódce posłane nieboszczykowi do świeżej mogiły?!

Dziwna rzecz — powoli zastygało we mnie wszelkie uczucie, stawałem się jak głaz, oczy patrzały nieruchomo w dal, czoło sfałdowało się ponuro — a z zaciętych ust wypadł sycząco jeden wyraz:

Tak trzeba!

Tak, tak trzeba. Litość niemęska zawsze dyktowała nam słowa wyrozumiałości dla wszystkich błędów narodowych. Ta wyrozumiałość — iście polska — przez niegodnych członków naszego własnego społeczeństwa wyzyskana została na korzyść własnej kieszeni — a na *krzywdę* ogółu.

Dla tego teraz wyrozumiałości tej zamknąć trzeba serca i dusze — nawet wobec trumny otwartej, nawet wobec niezarzuconej ziemią mogiły.

Prawda, że to ból — prawda, że to nawet nie godzi się z ogólnemi ludzkimi pojęciami, — prawda, że świat starożytny sformułował przysłowie: o zmarłych tylko dobrze mówić należy — ale i to prawda, że ten sam świat starożytny ciał zdrajców ojczyzny nie chował w ziemi, nie palił na stosie według zwyczaju — lecz rzucał na pastwę dzikich i żarłocznych zwierząt.

A czyż sprzedawczycy — to nie zdrajcy?

To, co „Lech“ zrobił, to jest gorzkim, jest ciężkim obowiązkiem — ale *obowiązkiem* jest, a spełnienie obowiązku uszanować należy.

Niech te słowa płyną w świat, niech idą od ust do ust, niech je powtarzają starsi młodszym, ojcowie synom, matki córkom — niech wszyscy w jeden potężny złączą się akord życzenia:

oby wśród nas więcej już nie było sprzedawczyków!! — *Wasz S.* —

Przegląd prasy.

W niektórych pismach naszych pojawił się artykuł na temat: *Czekają na wiece!* W artykule tym autor dowodzi, że:

„publiczne wiece nie mogą załatwiać wszystkich, i to najnaglejszych i najaktualniejszych kwestyi bieżących w dziedzinie szkolnictwa.“

Z zdziwieniem pytamy się, kto i kiedy podobną pretensyę postawił obok wieców? Pamięć nasza nie przywodzi nam ani jednego pisma na myśl, któreby żądało, ażeby „publiczne wiece załatwiać miały kwestye z dziedziny szkolnictwa“.

Ale autorowi takie twierdzenie, o którem na pierwszy rzut oka nie podobna powiedzieć, czy jest rozumne lub nie, jest potrzebne — bo występuje wogóle przeciwko wiecom w sprawie szkolnej, bo

„paląca obecnie właśnie kwestya aktualna, którą, jak słyszymy, coraz częściej rodzice ze swą dziatwą załatwiają — nie może być przedmiotem *publicznych* rozpraw i uchwał, że jest ona sprawą samodzielnego i prywatnego postanowienia i postąpienia rodziców.“

Czy autor kpi, czy o drogę pyta? Więc nauka religii w niemieckim języku, udzielana w publicznych szkołach ludowych, obejmująca całe tysiące dzie-

ci — to sprawa „prywatnego postanowienia rodziców“.

No, to w takim razie oddanie głosu na posła Polaka lub Niemca — jest sprawą „prywatnego postanowienia“ wyborcy także, a czemu zwołują się wówczas wiece?

Odpowie może autor, że przez wybory bierze obywatel udział w sprawach dotyczących ogółu, korzysta z — powszechnego prawa obywatelskiego.

Prawda — a czy sprawa nauki religii nie dotyczy ogółu, czy ona tem więcej nie dotyczy ogółu, skoro czynniki rządowe starają się z niej zrobić środek germanizacyi dzieci, które są przecież dziećmi polskiego *ogółu!*

Ale — tu obywatel nie korzysta z powszechnego *prawa*, tylko ma wystąpić przeciwko *przymusowi* narzuconemu sobie z wrogich pobudek.

Tak — a więc ten jest obywatelem, kto z łaskawie danych mu praw korzysta, kto w jarzmie chodzi bez szemrania, kto nie ma odwagi, gdy uzna, że krzywda mu się dzieje — o prawo swe się upomnieć.

Nie, naszem zdaniem, to nie jest dobry obywatel, który publicznie sprawy chce załatwiać — drogą „prywatnych postanowień“.

To głupstwo — a niemniej i głupstwem jest i to, ktoby po wiecach spodziewał się, że one — *załatwią* palącą obecnie sprawę szkolną.

Nie — wiece jej nie załatwią, bo wiece nie są na załatwianie jakichś spraw, lecz na omawianie, rozstrząsanie, na to, by podejmować uchwały i postanowienia za zgodą ogółu a nie jednostek, uchwały nie prywatne — lecz publiczne.

Wiece więc naszem zdaniem są potrzebne, są koniecznie potrzebne. Tylko wiece w dorywczy opór dzieci mogą wprowadzić pewną jednolitość i planowość. Jeżeli to nie nastąpi, w takim razie cała ta „paląca kwestya“ — spali na panewce bez żadnej dla społeczeństwa naszego korzyści.

Z pism naszych na artykuł ten zgodził się dotychczas tylko „*Orędownik*“. Dla nadania mu pewnego znaczenia poprzedził „Or.“ artykuł ten wzmianką, że pochodzi on:

„od osoby z stanowiska swego dobrze obeznanej z stosunkami szkolnemi i dla tego zwraca nań publiczną uwagę.“

Snać więc artykuł ten pochodzi od nauczyciela; któż bowiem lepiej może być obeznany ze stosunkami szkolnymi „ze swego stanowiska“ — aniżeli nauczyciel?

My przed tym artykułem wyprost przestrzegamy. Od czasów ugody w prasie polskiej mało było artykułów, któreby tak bardzo były na rękę rządowi jak ten.

Szkoda tylko, że niektóre pisma artykuł ten za „Orędownikiem“ powtórzyły.

„*Postęp*“ dodaje do niego takie uwagi:

„Gdyby zdanie autora oraz jeszcze innych podobnie myślących ludzi w praktyce przeprowadzać, tobyśmy żadnych wieców w żadnej sprawie nie powinni urządzać, tylko pozostawić wyrobionemu umysłowi politycznemu społeczeństwa. Lecz nasze społeczeństwo niestety nie jest tak wyrobione i trzeba mu dawać wskazówki i rady, a nawet we wysoce politycznie wyrobionem społeczeństwie bez zebrań obyć się nie może i dzieje się przeciwnie, że w takich społeczeństwach najwięcej urządzają zebrań.“

Zupełnie słusznie! My się tylko dziwimy, że w tak ważnej sprawie można mieć cośkolwiek przeciwko wiecom. — Zwołuje się dziś wiece w daleko mniej ważnych sprawach, w sprawach daleko mniej ogół obchodzących — a nikt nic przeciwko nim nie ma.

Skąd więc naraz to sprzeciwianie się wiecom przeciwko niemieckiej nauce religii?

Z Westfalii i Nadrenii.

Od *Towarzystwa św. Antoniego w Bruchu* odbieramy następujące pismo:

Szanowną Redakcyą prosimy o umieszczenie w „Pracy“ co następuje: W numerze 35-tym z dnia 2-go września była korespondencya z Bruchu, tycząca się Towarzystwa św. Antoniego, jakoby nasze Towarzystwo było jedno, jedyne, które posiada księdza prezesem głównym w całej dyecezyi monasterskiej. My zarząd Towarzystwa św. Antoniego zaznaczamy, że ów autor jest mało obeznany ze sprawami towarzyskiemi, albo może wcale nie jest w Towarzystwie, bo jak wiadomo — w całej dyecezyi monasterskiej od czasu, jak O. Andrzej przebywał między Polakami we Westfalii, zostały zaprowadzone ustawy za zgodą prawie wszystkich Towarzystw w monasterskiej dyecezyi. Ksiądz według tych ustaw jest pierwszym prezesem, a więc najmłodsze Towarzystwo, które się zawiązało w przeszłym roku nie może za wszystkie odpowiadać. My uznali za stósowne, że walki przeciw księżom tutejszym zaczynać nie będziemy. Kiedy księża tutejsi nas zostawiają w spokoju, to my ich także, a co przyjdzie później, to też ostatnimi nie będziemy, my myślimy, że te parę słów wystarczą owemu autorowi nieznajomemu i że się zapewne przekona, że my zdrajcami nie jesteśmy i nie będziemy. Chodzi tylko o to, czy on jest gorliwym Polakiem.

Z miłem pozdrowieniem

Zarząd Towarzystwa św. Antoniego

Od Redakcyi: Towarzystwo św. Antoniego ma widocznie żal do nas, że umieściliśmy wiadomość o nim, że ma księdza-Niemca prezesem. Istotnie z korespondencyi, którą otrzymaliśmy, odnieśliśmy mylne wrażenie, jakoby 1) sprawa narzucenia księży-Niemców towarzystwom polskim — była nową, a 2) jakoby Towarzystwo św. Antoniego było pierwszem z tych, które sobie taką prezesurę narzucić pozwoliło.

Rzecz ma się według listu Szan. Zarządu Towarzystwa św. Antoniego inaczej. Wina za to, że dziś jeszcze księża-Niemcy są t. zw. honorowymi prezesami w tawarzystwach polskich spada na te towarzystwa, które pod wpływem O. Andrzeja przyjęły odnośną uchwałę.

Stwierdzamy to w tym celu, ażeby przedewszystkiem naprawić krzywdę, jaką mimowoli naszej wyrządziliśmy Towarzystwu św. Antoniego, a następnie, ażeby mylny pogląd, jaki z powodu dawniejszej korespondencyi naszej na sprawę księży-Niemców powstać mógł — sprostować.

Stwierdzamy dalej, że — jeżeli towarzystwa polskie w dyecezyi monasterskiej i w nowszej dobie poddawają się prezesurze księdza-Niemca, to jest to tylko przejęty z dawniejszych lat zwyczaj — nie żadne prawo narzucone przez tamtejszego księdza biskupa swej dyecezyi. Jest więc rzeczą zbyteczną, ażeby towarzystwa polskie tej prezesurze się poddawały.

* * *

Walka Polaków o opiekę duchowną.

W Bruchu, gdzie mieszka około 10 tysięcy Polaków-katolików, nareszcie udało się uzyskać, że w niedzielę i święta będzie się znów odprawiała *Msza św. ranna z polskim śpiewem.* Jest to oczywiście bardzo mało, skoro się zważy, że Polacy tworzą tam niemal połowę parafii, a zatem winni otrzymać nie tylko Mszę ranną, lecz także sumę z polskiem kazaniem co dwa tygodnie, naukę przygotowawczą do Sakramentów św. w języku polskim i prawo do polskich ślubów i chrztów.

Nim jeszcze wybudowano kościół w Bruchu, odbywała się w małej kaplicz ce co niedzielę Msza św. z polskim śpiewem. Robiono też Polakom wielkie obietnice co do nabożeństw polskich, gdyby tylko łożyli obfite datki na wybudowanie nowego kościoła. Gdy kościół w znacznej części za polskie pieniądze stanął, nie tylko, że nie wypełniono żadnej z owych obietnic, ale nadto zniesiono owe pierwotne polskie msze, zastępując je niemieckiemi. Odtąd Polacy nie ustawali w staraniach, aż nareszcie powrócono im to, co mieli już przed wybudowaniem kościoła. Ale i to drobne ustępstwo, nie stojące w ża-

(...)dnym stosunku ani też do obficie poprzednio dawanych obietnic, na tyle oburzyło niemieckich katolików, centrowców, że postanowili wnieść prośbę do władzy biskupiej w Monasterze, aby przyznana Polakom msza poranna zniesioną została. Odnośna petycya podobno dużo uzyskała podpisów. Masońska „Rh. Westf. Ztg.“, organ westfalskich baronów kopalnianych, z wielką goryczą pisze o ustępstwie proboszcza w Bruchu i kłamie, że go Polacy do tego zmusili groźbą śmierci. Sądzi jednakże, że biskup monasterski zastosuje się do protestu niemieckiego i polską Mszę św. zniesie.

Widzimy więc, jak zatrutą bronią walczą polakożercy z naszymi braćmi na wychodźtwie. Robią z nich opryszków i gwałcicieli, a na biskupa usilują wywrzeć nacisk, aby zniósł rozporządzenie miejscowego proboszcza.

Polacy tameczni oczywiście niczem nie powinni się dać zepchnąć z raz obranej drogi i żądać zupełnego równouprawnienia w kościele z Niemcami. Kościół bowiem nie jest instytucyą ani polską, ani niemiecką, tylko katolicką, tj. powszechną. W kościele wszyscy mają równe prawa i równe obowiązki. Na politykę i germanizacyę w Kościele miejsca być nie może.

Zebrania i wiece.

Dla miasta Kcyni i okolicy

odbędzie się w niedzielę dnia 16-go b. m. o godz. pół do 6-tej po południu

wiec

na sali p. Majewskiego. Przemawiać będzie *delegat „Straży“ p. Walery Łebiński* z Poznania. O liczny udział szan. obywateli z miasta i z okolicy uprasza

Komitet.

* * *

W Pelplinie

w Prusach Zach. odbędzie się *w niedzielę dnia 16-go września* o godzinie 5-tej po południu na sali p. T. Sikorskiego

wiec „Straży“

na który rodaków zapraszają

Komisarze.

Ruch w Towarzystwach.

— **Poznań.** *Na wzgórzu św. Łazarza* odbędzie się w niedzielę 16-go września zabawa na dochód ubogich i żłóbka w Górczynie, urządzona staraniem Pań św. Wincentego a Paulo. Program wielce urozmaicony; koncert, wykonany przez orkiestrę Tow. muzycznego pod batutą p. Ponieckiego, rozpocznie się o godz. 3-ciej, dalej będą gry towarzyskie, kosze szczęścia, licytacye prosiąt, gęsi i t. d., oraz sprzedaż kwiatów, owoców, cukrów i t. p., a na zakończenie tańce. W razie niepogody zabawa odbędzie się na sali.

Ze względu na cel tak doniosły upraszamy szanowną publiczność o liczne przybycie. *Zarząd.*

— **Hamburg.** Tutejsze Tow. gimnastyczne „Sokół“ liczy obecnie 65 druhów. Z okazyi ostatniej wieczornicy, która się odbyła dnia 12 ub. m. podaję następujące jeszcze szczegóły. Zebrań w ub. półroczu odbyło się — zwyczajnych 9, walne 1 i dwa zarządu. W zebraniach brało przeciętnie 30 druhów udział. Prawie na każdem zebraniu był odczyt. W bibliotece posiadamy 12 (tylko!) książek — korzystało z nich 10 druhów. Ćwicznię mamy wspólną z Czechami. Stan obecny Tow. na ogół jest pomyślny i mamy nadzieję, że „Sokół“ nasz tutaj rozwijać się będzie jak najlepiej.

Wiadomości.

* **Pod pręgierz opinii publicznej.** My i zdaje się wszystkie inne pisma odebrały następującą hektografowaną, otwartą kartę:

Chełmno, dnia 5. IX. 1906.

Szanownej Redakcyi

donoszę uprzejmie, iż moją aptekę w Chełmnie *nierodakowi* z wielką stratą sprzedać zniewolony byłem. W razie by doWas jaka korespondencya o tem nadeszła, to proszę uprzejmie takowej nie umieszczać, tylko mnie takową nadesłać, a ja osobiście interesentom odpowiem, z jakich to ważnych powodów nierodakowi sprzedać musiałem. Nie chciałbym bowiem niesłusznie być po gazetach szarpanym.

Z wysokim szacunkiem

H. Smyczyński, aptekarz.

Za „wysoki“ szacunek p. Smyczyńskiego dziękujemy. Karta jego dowodzi, że o szacunku pisze, a na myśli ma — wyprowadzenie gazet polskich w pole.

Kartę tę umieszczamy w tym celu, ażeby — choć ks. patronowi Wawrzyniakowi pokazać, że redaktorzy wiele mają do sprzedania, że jednakże na tyle są uczciwi, że żadnych łajdactw nie tolerują.

Powtóre chodzi także o to, ażeby p. Smyczyńskiemu i jemu podobnym odebrać na zawsze ochotę i chęć — ukrywania swego sprzedawczykostwa za plecami redaktorów. Pan Sm. należy do — „Czarnej księgi“.

* **Zakazany wiec.** W niedzielę dnia 9-go bm. odbyć się miał wiec w *Jaksicach* na Kujawach w sprawie nauki religii. „Dz. Kuj.“ donosi, że policya zakazała wieca dla tego, że przeznaczone na wiec lokale „nie odpowiadają wymaganiom“, jakie policya dla takich zebrań stawia.

Tego trzeba się było spodziewać. Skoro w Prusiech jaka instytucya z Polakami sobie nie może dać rady, wtenczas woła się do pomocy — policyi! — Akurat tak samo jak w Rosyi.

* **Może to nie bojkot?** Od drogerzysty p. Żmijewskiego z Grudziądza odbieramy notatkę następującego wypadku. — Odebrawszy z Giesenbrügge w Brandenburgii od p. Treskowa zapytanie, ile kosztuje „Smakotuk“, znany i rozpowszechniony środek do tuczenia świń, pan Żm. posłał p. Tr. swój cennik, i to cennik niemiecki. Na to odebrał odpowiedź, że p. Tr. kwituje z jego fabrykatu *pod polską nazwą!*

Samemu wypadkowi nikt się zapewne nie zdziwi, nie jest on dziś odosobniony, ale podziwiać należy odwagę p. Żmijewskiego, że nie schował tego wypadku do skrytki swego biurka, jak to robi ogół naszych kupców, lecz śmiało podał go do powszechnej wiadomości. Gdyby inni kupcy jego śladem poszli — łamy pism naszych zapewne codziennie zawierały by podobne wieści — no a to pomogłoby kupcom i przemysłowcom naszym więcej jak najpiękniejsze hasła „swój do swego“ i inn

* Jak się mają dzieci bronić przeciwko karom za opór w niemieckiej nauce religii? Ważne to pytanie nie tylko dla dzieci, ale i dla rodziców. Niema chyba ojca i matki, którąby nie bolała nad tem, że dziecko jej niesłuszną, a ciężką ponosi może karę. Gorzej jeszcze jest, jeżeli chodzi o religię, o naukę tej religii w polskim języku. Wiadomo otóż, że za naukę religii nauczycielom dzieci karać nie wolno. Nie wolno więc dzieci także karać, jeżeli nie odpowiadają na pytania nauczyciela z religii.

Ale od czego rozum? Powiedzieli sobie nauczyciele, że za religię karać nie będą, ale będą karać *za nieposłuszeństwo*. I jakim sposobem dochodzą do tego nieposłuszeństwa? Otóż — podpytują dzieci: kto im kazał nieodpowiadać na pytania nauczyciela z religii. Jeżeli dzieci odpowiadają, że *rodzice* im kazali — kary niema, jeżeli jednakże odpowiadają, że robią to z *własnej woli*, dzieci otrzymują cięgi.

Wypadek taki opisuje „Gazeta Polska" i kończy tem, że nauczyciel w pewnej szkole z okolicy Kościana, *wszystkich* chłopców, którzy go zapewniali, że opór w niemieckiej nauce religii — *stawiają z własnej woli ukarał i każdemu wymierzył trzciną po kilka razów*, dodając, że to kara *za nieposłuszeństwo; — resztę dzieci zaś, które odwołały się na rodziców, pozostawił w spokoju!*

— Stąd nauka dla rodziców, żeby pouczyli dzieci swe, jak mają nauczycielom odpowiadać na pytania: kto im każe milczeć, albo nie odpowiadać na pytania z niemieckiej nauki religii, kto im zakazuje odmawiać w szkole pacierz po niemiecku.

Odpowiedzialność powinni tu wziąć na siebie — *rodzice*, by uchronić *dzieci swe* od przykrych kar.

* **Pierwszy proces** *o areszt za opór przeciw niemieckiej nauce religii* odbył się przed sądem ławniczym w *Gnieźnie*. Oskarżony był gospodarz p. *Piasecki* z Nałęcza o to, że nie posłał swej 10-letniej córki na popołudniowy areszt do szkoły w Żydowie.

W toku rozpraw okazało się, że dziecko, opuściwszy o godzinie 12-tej szkołę miało już o 2-giej stawić się do aresztu, w 2 godzinach miało dziecko do przebycia odległość 14 kilometrów. Wobec tego zastępca prokuratora inspektor policyjny p. Buergel twierdził, że rodzice powinni byli dziecko w Żydowie umieścić, aby tylko na areszt przybyć mogło. Sąd orzekł jednak, że takiego obowiązku rodzice nie mają i wydał wyrok *uwalniający*.

Proces ten nie ma zasadniczego znaczenia, ponieważ tu w grę wchodziła fizyczna niemożliwość stawienia się na areszt. Za to bardzo ważne będą następne procesy gminy szkolnej w Żydowie, w których jako obrońca występować będzie starosta „Straży" p. mec. Karpiński, który także bronił Piaseckiego.

* **Kursa naukowe.** Towarzystwo Przemysłowe w Poznaniu urządza, jak corocznie, kursa naukowe dla młodzieży, chcącej się kształcić i doskonalić w zawodzie swoim. Kursa te obejmują naukę *korespondencyi, rysunków i książkowości.*

Z dniem 17-go b. m. rozpoczynają się lekcye, które odbywać się będą od 8 do 10 godz. wieczorem. Nauka rysunków trwać będzie przez całą zimę w dwóch oddziałach; korespondencya od połowy września do końca roku a książkowość od Nowego roku do Wielkanocy.

Zbytecznem pewnie zachęcać młodzież naszą do udziału w kursach powyższych. Zbogacać wiedzę swą — zadaniem to każdego człowieka, a cóż dopiero młodzieży, która winna piąć się coraz wyżej i wyżej kształcić się i doskonalić w zawodzie swoim, by nietylko sprostać coraz to większej konkurencyi, ale ją prześcignąć, zyskać sobie zaufanie klienteli, podnieść mienie i dobrobyt, a tem samem wyrobić sobie pewne stanowisko i zaskarbić poszanowanie w społeczeństwie — to powinno być myślą przewodnią młodzieży naszej.

Dla tego spodziewamy się nie tylko licznego udziału w kursach naszych, ale także pilności i wytrwałości, co nam i uczestnikom nauki zobopólne sprawi zadowolenie.

Zgłoszenia przyjmuje skarbnik nasz p. *Włodz. Adamski* w Bazarze.

Dyrekcya Towarzystwa Przemysłowego

Prof. dr. Drygas, prezes. *I Zeyland*, sekretarz.

* **Poznań.** Odezwa! Kursor „Towarzystwa Wyborczego" obchodzi i będzie obchodził w najbliższym czasie dolną część miasta Poznania, a zatem ulice Szewską, Szeroką, W. Garbary, M. Garbary, Groblą, Kramarską, Stary Rynek, Wodną, Wrocławską, Butelską i przyległe ulice.

Szanownych członków i wyborców upraszamy, aby chętnie i sowicie składki kursorowi wręczali, gdyż kasa wyborcza nie posiada bogatego funduszu, a tymczasem wydatki wyborcze w tym jeszcze roku będą olbrzymie z powodu wyborów miejskich, które jak słyszymy mają się odbyć przy innym podziale miasta, aniżeli się dotąd odbywały. Zatem tegoroczne wybory będą wymagały i sprężystszej agitacyi i większych pieniędzy, jeżeli choć w części chcemy je pomyślnie przeprowadzić.

Kursor przyjmuje także kandydatów na członków Towarzystwa.

Upraszamy raz jeszcze o obfite składkowanie na rzecz wyborów.

Poznań, w wrześniu 1906.

Zarząd
Towarzystwa Wyborczego w Poznaniu.

Józef Kużaj, prezes. *St. Chociszewski*, sekretarz.
M. Powidzki, kasyer.
J. Drwęski, *M. Kamasty*, *A. Teski*, radni.

* **Ślub.** Dnia 11-go b. m. o godzinie 10 i pół odbył się w kościele Bożego Ciała w kaplicy Matki Boskiej ślub pana Józefa Pągowskiego z Wiela, syna pp. Julianostwa Pągowskich z Ostrowa, z panną Izabelą Andruszewską z Poznania, córką pana Maksymiliana Andruszewskiego, b. fabrykanta powozów i rzeczoznawcy. Obrządku ślubnego dopełnił stryj pana młodego, ks. dziekan radzca duchowny J. Pągowski z Wyszanowa, w asystencyi kuzyna pana młodego ks. Szrejbrowskiego z Poznania. Szczęść Boże młodej parze!

* **W Gnieźnie** odbyła się ub. niedzieli zabawa Sokołów. Za biletami weszło do ogrodu według relacyi „Lecha" 1000 osób. Najważniejszy punkt programu prócz dobrze wykonanego koncertu stanowiły ćwiczenia drużyny sokolej. Do popisów stanęło 18 druhów pod komendą naczelnika druha Jabłońskiego. Występy ich wywołały huczne oklaski, zwłaszcza ćwiczenia wolne i na prężniku, a w końcu znakomicie wykonane piramidy przy bengalskiem świetle. Występ ten zachęci z pewnością naszych druhów do dalszej gorliwej pracy nad kształceniem swych mięśni i zwabi w szeregi sokolstwa także młodzież poza Sokołem stojącą.

Policya nadto mogła się przekonać, jak skromnie i spokojnie Polacy bawić się umieją. Może teraz zaraportować wyższej władzy, że ze strony Sokoła niemczyzna jak najmniejszej nie doznała krzywdy.

* **Gniezno.** Pan R. Majerowicz, długoletni agent naszego pisma doznał nieszczęśliwego przypadku. Upadłszy i nadwerężywszy sobie nogę, leży obłożnie chory. Wyrażamy p. M. nasze serdeczne współczucie i życzymy mu szybkiego powrotu do zdrowia.

* **Kruświca.** (Popłoch w kościele.) W ubiegłą niedzielę w Piaskach pod Kruświcą podczas wotywy kościółek drewniany był szczelnie zapełniony pobożnymi. Po Komunii św. nagle ujrzano ołtarz w płomieniach. Przez nieostrożność ministranta przenoszącego mszał obaliły się dwie z wielkich świec, płonących na ołtarzu i w mgnieniu oka zajęły się płomieniem stojące po bokach tabernaculum sztuczne kwiaty, wyrabiane z papieru i płótna. Tylko przytomności umysłu ks. proboszcza i kościelnego zawdzięczać trzeba, że ogień nie przybrał szerszych rozmiarów, bo z łatwością mogłoby się stać wielkie nieszczęście. Zgromadzeni w kościele pobożni, widząc płomienie, poczęli krzyczeć i cisnąć się ku drzwiom, czyniąc nieopisany popłoch. Dopiero gdy z pomocą znajdującej się w kościele wody święconej ugaszono ogień, powoli się wszyscy uspokoili i nabożeństwo mogło się dalej odprawiać.

* **Gniezno.** Hakatyści zarzucają nam brak kultury. Hm! — wierzyć czy nie wierzyć? Bywają i wśród nas tacy, ludzie poważni wiedzą i nauką, którzy mówią „o wyższej kulturze niemieckiej". My tak bardzo ani obcym zarzutom ani wywodom własnych uczonych wierzyć nie chcemy. Czemu? — Codzienne życie daje nam mnóstwo powodów do tego. I tak — grzeczność przecież uważać będziemy za pewną dodatnią cechę wychowania. O Francuzach, Belgijczykach będziemy zawsze mówić jako o narodzie wysoce kulturalnym. A pierwszą cechą tej kultury, która na wstępie uderza przybysza obcego — to grzeczność. Mówią i o Polakach, że są oni narodem układnym, grzecznym. O Niemcach świat cały mówi inaczej. Opinię tę potwierdza choćby następujący fakt: W piątek 31 sierpnia — pisze „Lech" — około godz. 6 po południu, trzy panie Polki, powracały z cmentarza św. Krzyża i wolnym krokiem opuściwszy cmentarz, rozmawiając z sobą szły ku

Kustodyi. Naraz nadbiegają cztery młode wystrojone Niemki, z ubrań których można było wnosić, że do tak zwanych *lepszych* sfer należą. I cóż się dzieje? Oto rozbawione hałaśliwie Niemki, mijając spokojnie idące Polki zaczepiają je, a jedna z nich najbezczelniejsza, zaczyna gburacko wydrwiwać język polski, dobierając do tego jakichś głosów zwierzęcych, z którymi było jej bardzo do twarzy.

Więc to ma być objaw wyższej kultury?! Panny z lepszych sfer — na publicznej drodze zachowują się na wzór uliczników. Szkoda, że „Lech" nie donosi, czy może języka nie pokazały — na dowód (?) wyższej jego doskonałości (?) od polskiego. Ale i tak możemy o nich powiedzieć: ładne mi panny!

* **Wieś rycerską Lipienki** wraz z folwarkiem Wężowiec w powiecie Swieckim, tuż przy głównej stacyi kolejowej Laskowice przeszło 1500 mórg obszaru z nową parową gorzelnią, okazałym dworem w parku nad jeziorem, prześlicznie położoną, przez dom bankowy Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) z Poznania od p. Sas-Jaworskiego codopiero nabytą, — już sprzedano dalej i to w Księstwie dobrze znanemu obywatelowi p. Wincentemu Liszkowskiemu z Miedzianowa, przy spłacie całkowitej ceny kupna aż do landszafty.

Nowonabywcy „Szczęść Boże!"

* **Trzemeszno:** N. ks. biskup Andrzejewicz wizytował tutejszy kościół. Całe miasto na odwiedziny te przybrało odświętne szaty i przybrało się w girlandy i drzewka. Sześć bram tryumfalnych witało dostojnego gościa, którego przy odgłosie pieśni i wśród tłumu wiernych wprowadził do kościoła ks. prob. Marchwiński. Ks. biskup udzielił wiernym swego błogosławieństwa i przysłuchiwał się egzaminowi dzieci z religii. Nauczyciele śledzili pilnie przebieg tego egzaminu. — Miasto pełne było żandarmów.

* **W Kobylinie** odbył się ub. niedzieli wiec „Straży" i w sprawie szkolnej. Zagaił go, według „Postępu," p. dr. Bolewski z Krotoszyna, a przewodniczącym wybrano obywatela miejscowego pp. Józefa Biedermanna.

Po utworzeniu biura, p. dr. Bolewski przemówił treściwie o nauce religii, przedstawiając zgubne skutki z wykładu religii w języku niedostatecznie zrozumiałym. Mówca rozwiódł się o sposobach, jak opierać się niemieckiej nauce religii, przytoczył, jak dziatwa polska we wielu miejscach nie chce odpowiadać na niemieckiej nauce religii, jak ponosi ztąd różne dotkliwe kary. Wspomniał też o zmarłym arcybiskupie kardynale Ledóchowskim, jak on cierpiał podczas walki kulturnej i przesiedział dwa lata w więzieniu, radził go naśladować i dbać o dziatki, żeby one drogiego skarbu wiary się nie pozbyły; zachęcał do nauczania w domu tej ostatwy religii, do ponoszenia ofiar i poświęcenia, bo bez ofiary niema żadnego zwycięztwa. Burza oklasków posypała się za to przemówienie.

Na ten sam temat przemówił p. Gajowczyk z Kobylina, zachęcając do obrony dziatwy przed najnowszą germanizacyą, za co mu podziękowano oklaskami.

P. Stefan Chociszewski z Poznania przedstawił krzywdę, jaka się dzieje skutkiem zmuszania dzieci polskich do niemieckiej nauki religii. I jemu podziękowano oklaskami.

Na tem przerwano wiec na 10 minut, po których upływie pan Chociszewski, jako delegat „Straży," przedstawił jej cele i zadania.

Skutek był taki, że zapisało się na członków przeszło 100 z około 300 obecnych na wiecu.

Przemawiali jeszcze pp. dr. Bolewski, Gajowczyk i Biedermann, a p. Konopiński wzniósł okrzyk na cześć mówców.

* **Z pod Inowrocławia** donoszą „Dz. Kuj." o następującym fakcie: Przed tygodniem wyznaczył komisarz obwodowy z Dąbrowy termin szkolny. Stawili się nasi wszyscy członkowie dozoru szkolnego katolicy i Polacy, — a więc pan sołtys jako zastępca przewodniczącego p. inspektora powiatowego, miejscowy ks. proboszcz, pan nauczyciel i pewien gospodarz. Komisarz przedłożył zebranym projekt *podwyższenia* nauczycielowi *pensyi* o 100 mk. i dodatków na starość nie o 100 co trzy lata, lecz o — 120 mk. Dodatki te płaci gmina — tylko w razie niemożności rząd. Ks. dziekan Noga zaznacza, że wobec dzisiejszych stosunków szkolnych, a zwłaszcza wobec wykładu religii katolickiej w języku dla dzieci polskich niezrozumiałym, żądanie podwyższenia pensyi dla pp. nauczycieli zakrawa na szyderstwo. Dla tego też ks. N. nie zgadza się na projekt przedłożony przez p. komisarza i prosi to zapisać do protokółu.

Tylko jeden gospodarz przyłączył się przy imiennem głosowaniu do wywodów ks. proboszcza. Przeciwnie zaś p. sołtys i rozumie się, że i p. nauczyciel jako interesowany w tej sprawie innego byli zdania. Przy równości głosów przyjęto wniosek p. komisarza dla tego, że p. sołtys, jako zastępca przewodniczącego przechylił szalę zwycięstwa mimo jasnej i dokładnej informacyi poprzedniej — na rzecz pana komisarza. Uderza tutaj, że p. nauczyciel, jako w sprawie tej najwięcej interesowany, na żądanie p. komisarza, mimo protestu ks. proboszcza, brał czynny udział i w obradach i w głosowaniu.

To się działo w Parkaniu, starodawnej siedzibie (w XI wieku) Wenancyusza i Andzeja, 4-go i 5-go z rzędu biskupów kujawskich dnia 29 sierpnia 1906.

Czy to nie „ostmarkenculaga" pod płaszczykiem?......

* **W Barcinie** odbył się ub. niedzieli wiec „Straży". Salę wiecową zapełniło około 500 ludzi. Policyi widocznie było tego za wiele. Wymierzyła więc salę — i 300 ludzi następnie z niej wyrzuciła, orzekłszy, że sala mieścić może tylko 200 osób. Oczywiście procedura wyrzucania wiecowników ze sali wyrzucanym ani pozostałym podobać się nie mogła. I słusznie! — Chce policya ściśle praw się trzymać, to niech wymierza sale przed wiecem, niech zgłaszającemu wiec powie, że tylko tyle osób może się na sali wmieścić. Stanowczo uważać musimy postępowanie policyi w Barcinie jako *gruby nietakt*, jeżeli nie chcemy jej podsuwać myśli rozmyślnego drażnienia Polaków. — Wiec sam odbył się spokojnie — do „Straży" zapisało się przeszło $^1/_2$ setki członków. Cele i zadania „Straży" wyłuszczał p. *Dr. Gantkowski* z Poznania.

***Ryczywół**, dnia 10. 9. 06. Donoszę szanownej Redakcyi bliższe informacye o wiatraku, który ma być w Ryczywole dnia 18-go bm. sprzedany. Wiatrak ten nabył poznański Bank parcelacyjny od Niemca, pana Risto. Pan Risto, dotychczas jeszcze kawaler, miał zamiar się ożenić i dla tego prosił p. landrata, aby mu zezwolił wybudować nowe pomieszkanie obok starego. Ale pan landrat nie chciał mu na to zezwolić. Pan Risto udał się więc natychmiast do polskiego banku parcelacyjnego w Poznaniu, który od niego wiatrak kupił.

Jest to już drugi wiatrak, który przeszedł w ręce polskie, bo przed rokiem nabył p. Krause ze Żnina także od Niemca p. Frenzela wiatrak z całemi zabudowaniami gospodarczemi.

* **W Starogardzie** (Prusy Zach.) odbył się ub. niedzieli wiec „Zjednoczenia zaw.Polskiego", na którym przemawiał p. J. Brejski, nawołując do skupiania sił narodowych i do samopomocy. Do wstępowania do „Zjednoczenia nawoływał p. Babinek i Połom.

* **W Hamburgu** założono dla Wilhelmsburgu na wiecu sokolskim dnia 26-go sierpnia nowe gniazdo sokolskie. Od razu wstąpiło 25 członków, prezesem obrano druha Iglińskiego z Wilhelmsburg — Vogelhüttenteich No. 77. — Nowemu gniazdu szczęść Boże.

* **Dla rodaka** bardzo korzystne kupno. Rzadko pięknie położony folwark przy cukrowni, nad koleją, nad szosą w zupełnie polskiej okolicy godzinę koleją od Gdańska odległy, 750 mórg buraczanej ziemi z całkowitem bogatem żniwem, z pięknym żywym, nadkompletnym martwym inwentarzem, z masywn. budynkami, dwór, dwupiętrowy 12 pokoi w starym ładnym parku, jest od *jednej wdowy* z rąk niemieckich przy zaliczce 60—100,000 marek do nabycia. Na majątku ciąży tylko ca 130,000 mrk. landszafty. Bliższych informacyi udzieli Stanisław Czarnecki — Gdańsk — Schlemengasse 12.

* **Rodak młynarz**, który utracił miejsce dlatego, że majętność, w której był zatrudniony, poszła na kolonizacyą, poszukuje stosownej posady *na wiatraku, w młynie wodnym lub też w* gorzelni — najchętniej na dominium. Informacye przyjmuje ekspedycya „Pracy".

* **Na wystawie muzycznej**, urządzonej tego roku we Filharmonii berlińskiej, odniosły znów tryumf dwie firmy wszechświatowe, które zwykle palmę pierwszeństwa zyskują, a mianowicie fabryki fortepianów Mandla i Steinwega. Jako pierwszą bowiem nagrodę zakupiono symetryczne skrzydło koncertowe Mandla, prześlicznej roboty, w cenie 2 700 marek; jako dru-

gą skrzydło salonowe Steinwega wartości 1 800 marek.

Pierwszorzędne te fabryki powierzyły wyłącznie swe zastępstwo polskiej firmie p. A. Drygasa w Poznaniu, w którego magazynie, przy narożniku św. Marcina i Rycerskiej nr. 33, wzmiankowane powyżej symetryczne skrzydło koncertowe Mandla każdego czasu oglądać można.

* **Interes galanteryjny** w bardzo ożywionem mieście na prowincyi zamierza sprzedać żyd Polakowi dlatego, że tylko Polak może tam zrobić dobry interes. Cena kupna domu nowego w rynku i interesu tak hurtownego jak też detalicznego wynosi 80 000 marek. Kapitału potrzeba 50 000 mk. Bliższej informacyi udzieli Administracya „Pracy“.

* **Pan J. Mrówczyński** w Rawiczu, właściciel *księgarni wysyłkowej* wydał *cennik* polsko-katolickich książek ludowych treści rozmaitej, kart z widokami, powinszowań, papieru itd. Zasadą interesu jest: szybkość i sumienność. Na żądanie wysyła się potrzebną ilość cenników bezpłatnie i franko. Adres: J. Mrówczyński, Rawicz — Rawitsch (Bez. Posen).

Nasza ofiarność.

Z Wieszczyczyna nadesłał nam ks. *Walenty Nowicki* nowy spis osób, które w dalszym ciągu złożyły na jego ręce *ofiary na odbudowanie kościoła w Wieszczyczynie.* Spisu tego zamieszczonego w codziennych gazetach, dla braku miejsca ogłosić nie możemy.

Ks. Nowicki składa wspaniałomyślnym ofiarodawcom w imieniu swojem i parafian szczere podziękowanie i prosi usilnie o dalsze datki, *ponieważ koszta pobudowania nowego kościoła będą znaczne.*

* * *

Na wdowę i młodzieńca, nie mogącego zapłacić szkolnego złożyli w dalszym ciągu pp. S. ze Świętego 3 mrk. W. Ziarnak ze Strzałkowa 2 mrk. Razem z poprzedniemi złożono 25 mrk. 50 fenygów.

O dalsze datki bardzo prosimy.

* * *

Na głodnych Rodaków w Królestwie przysłał p. Kazimierz Szwaba z Drezna 27 mrk. 30 fen.

* * *

Odezwa do Braci Rodaków!

„Im lepszą jesteś cząstką stworzenia tem więcej cierpisz jego cierpienia.“

Jeżeli każde cierpienie i boleść bliźniego obudza w sercach naszych litość i współczucie, to cierpienie i nędza niewinnego dziecięcia tem głębiej musi dotknąć każdego uczciwego człowieka, każdego chrześcianina, zwłaszcza, że z nędzą fizyczną połączona jest zwykle moralna, t. j. brak wszelkiego wychowania religijnego, znajomości Boga i zasad wiary.

Dzieci opuszczonych kraj nasz nieszczęśliwy liczyć dziś może na tysiące a zakładów gdzieby je przyjmowano i wychowywano zwłaszcza dla dziewcząt nie ma prawie żadnych.

Od lat siedmiu, istnieje pod Krakowem, zakład pod wezwaniem Matki Boskiej Różańcowej, gdzie najbiedniejsze i najnieszczęśliwsze dziewczątka znajdują bezpłatne schronienie, religijne wychowanie i naukę; zakład ten jednak założony przez niewiastę wielkiego serca pannę F. Żurowską i będący pod kierunkiem O. Sadoka Werbergera, zakonu OO. Dominikanów, nie ma żadnych stałych funduszów i utrzymuje się tylko z ofiarności publicznej. Obecnie przeszło 100 dzieci, mieści się w małym, szczupłym domku na Zwierzyńcu, gdzie ciasnota jest tak wielka, że koneczne jest rozszerzenie zakładu, tj. wybudowanie innego, obszernego domu w miejscu zdrowem, suchem i otwartem za miastem.

W tym celu zakupiony został na Prądniku Czerwonym grunt pod budowę nowego zakładu i na ogród, ale dotąd tylko część pieniędzy została spłacona, a na budowę domu nie ma dotąd żadnych funduszów.

Składki wprawdzie wpływają, ale utrzymanie codzienne przeszło st. dzieci, ubiór ich i buciki prawie wszystkie, ofiary szlachetnych serc pochłaniają. Wobec tego zwracamy się do pobożnych Braci naszych Rodaków, znanych z gorliwości o chwałę Bożą i tkliwości na wszelką nędzę ludzką, aby ofiarnością swą zechcieli się przyczynić do tego zbożnego dzieła!

W redakcyi „Pracy“ oglądać można obraz Matki Boskiej Różańcowej, duży, kolorowy, który zakład na Zwierzyńcu sprzedaje na dochód budowy nowego domu. Obraz Matki Boskiej jest kopią owego cudownego obrazu w kościele OO. Dominikanów w Krakowie, przed którym król nasz Sobieski krzyżem leżał, gdy miał iść na wyprawę wiedeńską. Gdy tak modlił się żarliwie, Najświętsza Panienka, pobłogosławiła mu i pod jej opieką odniósł tak świetne nad Turkami zwycięstwo.

Wielką zasługę przed Bogiem będzie miał każdy, kto obraz taki kupi, policzony będzie w poczet dobrodziejów zakładu, za których codziennie modlą się wdzięczne sierotki z różnych części Polski tam zgromadzone, a gdy po śmierci, dobrodzieje ci staną przed tronem Bożym, to otoczą ich chóry tych dusz, ocalonych od zatracenia, ich ofiarnością, i wyproszą im u Najwyższego Sędziego nagrodę wieczną za wszystko, co dobrego tu na ziemi zdziałali.

„Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią“.

Każdy kto przyśle 1 markę otrzyma pocztą obraz Matki Boskiej Różańcowej.

Nekrologia.

† Ś. p. *Ludwik Lubiński*, umarł w Poznaniu, dnia 6-go b. m. w 34-ym roku.

Nieboszczyk odznaczał się jako kierownik Spółki stolarskiej nadzwyczajną skrzętnością, nie szczędząc dla niej ani czasu ani trudów. To też jemu przedewszystkiem Spółka zawdzięcza rozwój i powodzenie. Przez 5 lat jego dzielnej pracy, Spółka Stolarska zdobyła sobie mir, poważanie i obecne stanowisko jako przedsiębiorstwo handlowo-przemysłowe.

Ś. p. Ludwik zaskarbił sobie również jako obywatel szacunek i uznanie. Mimo ciodziennej pracy, absorbującej jego umysł i siły fizyczne, zawsze gorliwie stawał w obronie prawdy i słuszności, sumiennie i energicznie działał, kiedy chodziło o przeprowadzenie dobrej sprawy. Niejednemu przyjacielowi pomógł w najkrytyczniejszej chwili, kiedy nikt inny już nie umiał skutecznie radzić,

Niestety, w młodym wieku człowiek dzielny zeszedł z tego świata; śmiało można go postawić jako wzór zdolnego i tęgiego kierownika, umiejącego wśród trudnych okoliczności przedsiębiorstwo doprowadzić do rozkwitu. Szkoda takiego człowieka. Cześć Jego pamięci! Spokój Jego duszy.

† Ś. p. *Józef Lesiński*, dnia 5-go b. m. w Poznaniu. R. i p.

† Ś. p. *Teofil Weychan*, dnia 6-go b. m. w Stęszewie w 76-ym roku życia. R. i p.

† Ś. p. *Ignacy Mądroszkiewicz*, dnia 6 go b. m. w Krotoszynie w 56-ym roku życia. R. i p.

† Ś. p. *Jan Nepomucen Dobrowolski*, ojciec dzielnego starosty „Straży“ na Wildę, p. Stefana Dobrowolskiego, weteran z 1863-go roku, dnia 7-go b. m. w Poznaniu — na Wildzie. R. i p.

† Ś. p. *Marya z Sołtysińskich Obstowa*, dnia 8-go b. m. w Łasinie w 21-ym roku życia. Zwłoki złożono dnia 12-go b. m. w grobowcu familijnym w Parlinie. R. i p.

Od Redakcyi.

Pan T. Mielcarek z Gertte we Westfalii odebrał list jakiś, którego nie pisał. List pisany jest z *Merklinde.* Pan Mielcarek prosi, ażeby zgłosił się do niego ten, kto się odpowiedzi spodziewa, a jej nie odbierze. Adres p. Mielcarka brzmi: Gerthe — Bowinghausen 37 e p. Marklinde 6. Dortmund.

Panu Maczyńskiemu w Miejskiej Górce. My nie mamy na razie. Niech się pan zapyta następujących pism: „Tygodnik Illustrowany“ — Warszawa; „Świat“ — Warszawa; „Ziarno“ — Warszawa; „Biesiada Literacka“ — Warszawa; „Nasz Kraj“ — Lwów.

Pani Zofii Pr. na św. Łazarzu. — Za słowa uznania dla naszego pisma serdecznie dziękujemy.

Panu Władysławowi K. w I. Może wstąpić jako ochotnik do francuskiej legii zagranicznej, ale powinien wpierw wyrobić sobie we Francyi prawo tamtejszego poddaństwa.

— *Od p. J. Grandkego z Miłosławia* odebraliśmy obszerny list w odpowiedzi na zrobione mu zarzuty przez „Posener Tagebl.“ List ten umieścimy w przyszłym numerze.

— *Do Górzna.* — Numer był już w druku — umieścimy w następnym tygodniu. Dziękujemy i pozdrawiamy.

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Chęciny.

Z ojczystych stron.

Chęciny.

Na południe od Kielc w odległości dwóch mil, w gubernii i powiecie tejże nazwy w Królestwie Polskiem, leży miasto Chęciny.

Kto i kiedy je zbudował, zbadać dotychczas niepodobna, gdyż żaden z kronikarzy starożytnych słowem nawet nie wspomina o ich pochodzeniu, faktem jedynie dowiedzionym jest to tylko, że w bardzo już odległych czasach, na obecnej górze zamkowej znajdowała się świątynia pogańska, często odwiedzana przez okolicznych mieszkańców, oraz warownia, gdzie w razie wojny lud z sąsiednich siedzib znajdował tu bezpieczne schronienie. Już za czasów Bolesława Chrobrego, kronikarze ówcześni wspominają o Chęcinach, jako o znaczniejszym grodzie, a w roku 1318 zamek miejscowy poczytywany był, za niezdobytą warownię, czego dowodem jest fakt, iż Władysław Łokietek, kryjąc się przed nieprzyjacielem w grotach Ojcowskiej doliny, w jego murach umieścił skarby koronne i kościelne, wywiezione w obawie grabieży z Gniezna.

W tymże zamku, na zwołanym w roku 1331 przez tegoż króla sejmie, zapadły uchwały tak ważne, iż stanowiły one niejako pierwsze podwaliny dawnego prawodawstwa polskiego. Następnie Kazimierz Wielki mieszkańcom, osiadłym u podnóża góry zamkowej, nadał przywilej zamianowania tej siedziby miastem, a wkrótce w przebudowanym przezeń zamku tym osiadła siostra króla, Elżbieta, sprawująca rządy państwa imieniem króla Ludwika.

Z biegiem czasu, za panowania Władysława Jagiełły, zamek ten przemieniony został na więzienie stanu, gdzie przebywał brat królewski, Andrzej Wingold, oraz wielki mistrz krzyżacki Küchmejster von Sternberg; następnie, w czasie zarazy morowej, grasującej podówczas w Polsce, w zamku chęcińskim, jako w najzdrowotniejszej miejscowości w kraju, schroniono małoletniego syna Jagiełły — Władysława, przezwanego następnie Warneńczykiem. Tu też mieszkała smutnej dla narodu sławy królowa Bona, ukrywając w podziemiach zamkowych olbrzymie skarby, jakie wywiozła z ziemi polskiej do Włoch.

W r. 1465 pożar doszczętnie niemal zniszczył zamek, a losy jego podzieliło zbudowane na stoku góry miasto; dzięki szczególnej wszakże opiece królów polskich, oboje wskrzeszone zostały wkrótce z popiołów, a przywileje, z których pierwszy nadany został w roku 1494 przez Jana Olbrachta, zapoczątkowały złoty, lecz niestety krótkotrwały okres rozwoju miasta. Przywilejem tym nadane zostały ludności miejscowej prawa górnicze, wzorowe oparte na prawach olkuskich, lecz gdy się miasto wzmogło cokolwiek, wzrósł jego dobrobyt, nowa klęska ogniowa w roku 1507 zniszczyła zamek i naraziła na dotkliwe straty mieszkańców Chęcin; już jednak w roku 1525 Zygmunt I uporządkował nadane przez poprzedników prawa, a szczegółowo je określając, wydał kilka nowych przywilei, w tej liczbie ustanowił pewną ilość jarmarków; następni królowie, jak: Zygmunt August, Stefan Batory, Zygmunt III. oraz Władysław IV, szczerze opiekując się miastem, nadawali mu coraz nowe prawa, a z tych niemniej mądry jak i dzielny Stefan Batory, pragnąc zaprowadzić racyonalną eksploatacyę bogactw mineralnych w tym kraju, oraz przyszykować liczny po temu poczet zdolnych pracowników, założył w Chęcinach szkołę górniczą.

Znów jednak w roku 1657 nieszczęśliwe miasto napadły wojska Rakoczego; zrujnowane i zniszczone, zaledwie poczęło się odbudowywać, już dwukrotnie zniszczone zostało przez Szwedów w latach 1657 i 1707, a gdy jeszcze nawiedzone zostało przez przeciąg 4 lat grasującą zarazą morową, doprowadzone zostało do tak okropnego stanu, iż z kwitnącego poprzednio przemysłem i handlem zbiorowiska ludzkiego, liczącego około pół tysiąca budynków mieszkalnych, pozostało zaledwie 48 domów, z kilkuset pogrążonymi w nędzy niemal ostatniej mieszkańcami; w tymże czasie zamek miejscowy przestał

być mieszkalny, a pozostawiony losom Opatrzności, jął chylić się do rychłego upadku, i w krótkim przeciągu czasu zamienił się w kompletną ruinę.

Pragnąc ratować ostatecznie nędzą i upadkiem zagrożone miasto, rząd ówczesny przedsięwziął cały szereg najrozmaitszych środków zaradczych, a w tej liczbie w 1764 roku Chęciny przemianowano na drugie miejsce sądów ziemskich dla przyległych powiatów: radomskiego, chęcińskiego i opoczyńskiego; w roku 1777 dnia 17-go czerwca w celu zwiększenia ludności wydane zostało specyalne pozwolenie na przemieszkiwanie tu żydom, które, aczkolwiek ściągnęło do miasta w znacznej nawet liczbie synów Izraela, nie polepszyło wszakże w niczem opłakanego położenia miasta.

Wzrastając od tego czasu przez cały szereg dziesiątków lat żółwim krokiem, aż do czasów ostatnich, Chęciny w porze obecnej dosięgły punktu kulminacyjnego swego rozwoju, którego dalszy już postęp zależny jest jedynie od sprzyjających okoliczności. Upośledzone w ostatnich czasach faktem pominięcia ich przez linię kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej, gdy stacyę tego imienia zbudowano w odległości przeszło 4 wiorst od miasteczka, Chęciny w obecnej chwili przedstawiają jeden z tych zapadłych kątów prowincyonalnych Kongresówki, gdzie przeciętny członek miejscowego zbiorowiska, nie wychylając się poza obręb swego miasta, traci świadomość, że myśli, pracuje, a może nawet, że żyje i jest w stanie myśleć.

Natomiast szczodra ręka przyrodzenia, jakby nagradzając liczne niepowodzenia od wieków prześladującego fatum, nie poskąpiła bynajmniej miastu i jego okolicy naturalnych wdzięków, będących w stanie sowicie okupić trudy każdego, kto nieobojętny na prawdziwe piękno, zdecydował się odwiedzić te strony.

Biegnąca od Kielc na przestrzeni dwóch mil szosa, biała, równą jak linia taśmą przecina rozległe obszary pól, łąk i srebrzyste nicie strumieni; a mijając fabryczną wioskę Białogon — sławną niegdyś swymi wyrobami żelaznymi, wśród jakich naczelne miejsce przynależało armatom, odlewanym dla wojsk polskich, — na gruntach wioski Zgórska przecina czarowną dolinę rzeki Trupieńca, zwaną — Słowikiem. Uroczy ten zakątek tworzą dwa pasma lesistych wzgórz, które, będąc rozgałęzieniem systematu gór Święto-Krzysko-Ojcowskich, wypełniającego południe gub. Kieleckiej, w miejscu tem zbliżają się do tego stopnia do siebie, iż stanowią szeroką na kilkadziesiąt, do kilkuset sążni dolinę, wzdłuż której w równoległych liniach wije się wspomniana poprzednio rzeka — Trupieniec, oraz przebiega ją szosa, Krakowską zwana, i srebrzysta taśma linii kolejowej, przy której urządzono tu przystanek pociągów osobowych, dla gromadnie zamieszkujących miejscowość tę letników.



Czoło pochodu.

(patrz artykuł w „Dziale politycznym“ p. t. „Zlot sokoli w Zagrzebiu“.)

Podróżny napotyka tu tak przedziwnie piękny krajobraz; taki jakiś czar prawdziwego piękna bije z czystych konturów górskich załomów, taka nieuchwytna i niepojęta harmonia kształtów upaja jego zmysły, że niepodobna oderwać wzroku od tej uroczej okolicy, nie można dostatecznie napatrzeć się tych istotnych cudów przyrodzenia.

Z jednej strony, z wysokiego wschodniego pasma wyłania się łagodnie kulistej formy góra, pokryta gęstwią młodego świerkowego lasu, — a odblask i kolory delikatnej zieleni zagajnika układają się w tak delikatną całość cieniów, barw i deseni, że zdaje się, iż góra cała pokryta jest jakimś przecudnym kobiercem, utkanym rękami mistycznych bogiń. Z przeciwnej strony nad brzegiem Trupieńca wije się górska dróżyna, poprzecinana strumieniami, dobywającymi się ze skalistej stromej ściany, o wysokości kilku pięter, na szczycie której bieleją mleczną korą brzozy i melancholijnie zwieszają swe gęste kity, gałęzie świerków, a gdzieniegdzie jeszcze ponad tem potężne konary wznoszą swe jasnozielone dęby. Za górską przełęczą, na którą wspina się szosa, w odległości kilku wiorst widać rysujące się majestatycznie na białych fundamentach rozrzuconego u stóp góry miasteczka, trzy potężne szarego odcienia baszty, wyglądające niby filary olbrzymie, na których wspiera się ginące za górą sklepienie widnokręgu.

Miasteczko samo, przedstawiające się z oddala dość nawet schludnie i malowniczo, przy bliższem poznaniu nietylko traci swój urok, lecz nawet skutkiem brudu, i zaniedbanego wyglądu domostw, zamieszkałych, przez osiadłych tu w ogromnej większości żydów, wywołuje pewien rodzaj estetycznego niesmaku i obrzydzenia. Szosa wjazdowa, prowadząca na pierwszy rynek, otoczony czworobokiem niezdartych budowli, rozgałęzia się tu na dwie pryncypalne ulice, z obu krańców tego targowiska pnące się nadzwyczaj stromo pod górę, gdzie kończą się na drugim rynku, a zarazem głównem środowisku miasteczka. Wszystko zbudowane jak to mówią „byle-jak,“ wygląda dość smutno i szaro, na co wpływa też w znacznej mierze i szary kolor domostw, budowanych przeważnie z szarego, znajdującego się tu w obfitości marmuru, skutkiem czego miasteczko tytułowane bywa niekiedy żartobliwie mianem „marmurowego grodu“ jaka to nazwa była powodem następującego komicznego wydarzenia.

Przed kilkunastu laty jeden z synów mglistego Albionu, wyczytawszy gdzieś wiadomość o „marmurowym grodzie,“ a zwiedziwszy już poprzednio wszystkie niemal cudy świata, zapałał chęcią zwiedzenia i tej jeszcze, w mniemaniu notabene własnem, znakomitości europejskiego lądu; przybył pociągiem do Kielc, skąd copredzej udał się końmi do zaczarowanego miasta. — Któż jednak zdoła opisać ten wyraz zawodu, jakim wydłużyło się pergaminowe oblicze Anglika, gdy zamiast spodziewanych arcydzieł sztuki, ujrzał obite z tynku, z połatanymi da-

ch.mi sklecone bezładnie żydowskie d..ki. O ile podążał, by ujrzeć coprę-d..j „marmurowe miasto,“ o tyle śpies..iej jeszcze wyjechał, zabrał wszakże z miasta, sowicie zapłaciwszy, posąg k..mienny, wmurowany przez jednego z obywateli w ścianę domu swego, któ-ry jako zabytek starożytniczy wzboga-cił niezawodnie cenne zbiory muzeum l..tyjskiego. Kamienny ten posąg, w..dług jednych miał być figurą, usta-wioną za dawnych czasów przy rogatce miejskiej, którą całować musieli, nie mający pieniędzy na opłacenie podat-ku rogatkowego, inni znowu twierdzą, iż był to posąg jakiegoś ze starożyt-nych bóstw słowiańskich, wykuty na podobieństwo figury Światowida, zna-lezionej w Zbruczu. Tak, czy inaczej, fakt pozostaje faktem, że z kraju wy-wieziono coś nie bezwartościowego i że w podobny sposób wiele nieocenionych wręcz pamiątek naszych, wędruje czę-stokroć do zagranicznych muzeów. Wiele istotnych arcydzieł sztuki, jako to: obrazów, rzeźb, ornatów i t. p. dro-gich nam, a nieocenionych pamiątek, kryje się w składach i na strychach wiejskich kościołów, w ruinach staro-żytnych budowli it. p., marniejąc bez-celowo, o tem zaświadczyć mogą jedy-nie ci tylko, którzy niby to interesując się przeszłością narodową, zawodzą niewczesne jeremiady na wieść o zaku-pionych za marnie i wywiezionych z kraju podobnych zabytków, przez a-genta jakiejś zagranicznej handlującej starożytnościami firmy.

W górnej części rynku widnieje pię-trowa budowla, obecnie magistrat, wzniesiona przez starostów chęcińskich i zamieszkiwana przez nich od chwili, gdy zamek po ostatnim pożarze prze-stał być mieszkalnym. Cokolwiek już wyżej stoi kościół murowany, parafial-ny, zbudowany w stylu ostrołukowym, lecz skutkiem nieudolnych przeróbek możliwie zeszpecony. W roku 1568 świątynia ta przeszła w posiadanie kal-winów, od których odebrano ją zale-dwie 1603 roku; z pośród ciekawszych zabytków znajduje się tam ślicznej bu-dowy ołtarz, zrobiony z marmuru i a-labastru, a w skarbcu kościelnym prze-chowuje się oryginalnie rzeźbiona mon-strancya srebrna z przed lat przeszło ..0, oraz starożytnej roboty takiż kie-lich. Ołtarz główny, zbudowany został kosztem miejscowego wójta nazwiskiem Motygi, którego zwłoki spoczywające w podziemiu kościelnem, widocznie skut-kiem panującej tam suchości powie-trza, tak świetnie się przechowały, iż na zaschłym szkielecie nietknięta pozo-stała nietylko skóra, lecz nawet kawał-ki kontusza i widoczne są jeszcze liczne włosy w wąsach i na głowie. Prócz pomienionego, istnieje tu jeszcze dru-gi kościół, obecnie filialny, zbudowany przez Kazimierza Wielkiego w roku 1338, wraz z klasztorem ks. Francisz-kanów, przerobionym ostatniemi czasy na więzienie karne: trzeci również sta-rożytny kościół, gdyż blisko 3 stulecia liczący pp. Franciszkanek, obecnie sta-nowi również filię tylko.

Poza tym szeregiem budowli, tuż zaraz wznosi się stroma góra, na któ-rej szczycie widnieje potężny czworo-bok byłego zamku obronnego; z jego ruin wznoszą się obecnie hardo w obło-ki już trzy tylko wysokie baszty. Z za-chodniej strony zamku prowadzi wy-kuta w skale droga wjazdowa, a tuż przed bramą przeskakując przez daw-ną fosę po śladach mostu zwodzonego, zwęża się pod sklepieniami bramy zam-kowej i ginie w zieleni traw porasta-jących dziedziniec twierdzy. W środ-ku podwórza, mającego kształt wydłu-żonego czworoboku, czernieje obszerna czeluść, głęboka dzisiaj zaledwie na kil-kaset sążni, starej studni zamkowej, wykutej według podania rękami jeń-ców tatarskich. W sąsiedztwie z bra-mą w północno-zachodniej stronie na-rożnika dziedzińca stoi czterokątna, o wysokości kilku pięter, baszta, z której, jak głosi fama, prowadziły zamknięte żelaznemi wrzeciądzami korytarze po-dziemi, skarbców i chodników forteczc-nych, z których jeden miał ciągnąć się podobno aż do odległego o 2 mile zam-ku kieleckiego. Z pierwszego dziedziń-ca, obok podnóża dwóch okrągłych wie-życ, przechodzi się na drugi podwó-rzec, będący równocześnie najwyżej położoną płaszczyzną na zamkowej górze.

Z wysokości tego wzniesienia przed wzrokiem patrzącego roztacza się w promieniu kilkunastowiorstowym prze-cudny krajobraz okolicy. Z jednej stro-ny widnieją sąsiednie Kielce, oprawio-ne w błękitną ramę lasów, z drugiej strony wzrok pada na fantastycznie rozrzucone różnobarwne kobierce i przyrzeczne błonia oblamowane sre-brzystą taśmą Nidy; na krańcach tylko rozległej płaszczyzny, gdzieniegdzie majaczą na horyzoncie obłoki błękit-nych dymów dobywających się z licznie rozsianych w okolicy pieców wypala-jących wapno, lub widnieją ciemno brązowe plamy rozkopanej ziemi, gdzie z położonych na stokach górskich ko-palni dobywają słynne marmury, kie-leckie.

Ze skąpanych w krwawych blas-kach zachodzącego słońca błoń tych wieje jakimś niepojętym nieokreślonym majestatem przedziwny spokój, a lekko szeleszczący w załomach skalnych wie-trzyk letni, szepce jakieś tajemnicze baśnie o bohaterach poległych w tych miejscach, o ich pełnych poświęcenia czynach, o wiekopomnych dla ojczyzny zasługach, o świętych ofiarach. złożo-nych na ołtarzu narodowej chwały — i z obszarów tych, niby z otwartych kart historyi, oderwana od trosk ziem-skich myśl, czyta wielkie, święte, dzie-jowe prawa o walce za całość i czystość najszczytniejszego dla każdego naro-du ideału.

Na całej powierzchni otaczającego te miejsca górzystego pierścienia roz siadły się słynne kopalnie marmu-rów w liczbie przeszło 20 dostarczają-ce różnej barwy i wartości kamienia w kilkudziesięciu odmianach, od wi-śniowo-różowego, popielato-białego, ciemno-brunatnego, białego, z różowe-mi muszelkami i żyłkami, aż do żółte-



Hołd miasta Zagrzebia.

(patrz artykuł w „Dziale politycznym“ p. t. „Zlot sokoli w Zagrzebiu“).

go i czarnego, wpadającego w odcień stalowy. Prócz tych nieprzebranych bogactw, w górach chęcińskiego pierścienia, jak i w innych przecinających południową część gubernii Kieleckiej, dobywano jeszcze i inne bogactwa mineralne, jako to lazur (zieleniec), malachit, żelazo, ołów, a nawet miedź i



Pomnik bana Jelacica w Zagrzebiu.
(patrz artykuł w „Dziale politycznym" p. t. „Zlot sokoli w Zagrzebiu").

srebro, jak na to wskazują nawet nazwy szczytów górskich: „Zieleniec", „Miedzanka" itp.

Że poprzednie prace górnicze nie wyczerpały przyrodzonych bogactw tej okolicy, a tylko skutkiem nieudolnej eksploatacyi doprowadziły wspomniane kopalnie do upadku, dowodem tego może być fakt, iż przed trzema laty inżynier Łapczyński, zbadawszy stare kopalnie i odkrywszy nowe pokłady, rozpoczął dobywanie rudy miedzianej, która w analizie dała znaczny nawet procent czystego kruszcu. Przedsiębiorstwo to, które rozwinęło się dotychczas o tyle, iż zatrudnia na miejscu przeszło 50 robotników, dobytą rolę dostarcza do specyalnego zakładu, gdzie chemicznym sposobem oddzielany jest czysty metal w tak znacznej ilości, że sowicie pokrywa koszta przedsiębiorstwa.

Obecny stan Chęcin niczem niemal nie różni się od stanu, w jakim, jak pamiętają starzy, znajdowały się one przed kilkudziesięciu laty, z tą chyba tylko różnicą, iż po roku 1862 znaczna liczba starozakonnych mieszkańców miasta przeniosła się do Kielc, gdzie do tego czasu, jako w mieście biskupiem nie wolno im było zamieszkiwać; emigracya ta wszakże nie przeszkodziła bynajmniej temu, by obecnie z liczby 8000 mieszkańców trzy czwarte stanowili żydzi, a jedną czwartą część zaledwie chrześcianie. Skutkiem takiej mnogości mieszkańców mojżeszowego wyznania miasto samo i stosunki jego wewnętrzne nie przedstawiają nic osobliwego: życia towarzyskiego żadnego, działalności społecznej nie ma też żadnej, gdyż nie biorąc w rachubę dwóch przytułków dla starców i kalek, katolickiego i żydowskiego, otwartych jeszcze przez pradziadów obecnie spokojnie spożywających dary Boże Chęcinian, prócz założonego niedawno towarzystwa pożyczkowo - oszczędnościowego, żadna inna instytucya użyteczności publicznej nie istnieje tam jeszcze; starają się wprawdzie podobno Chęcinianie już od pięciu lat, t. j. od czasu ostatniego pożaru, jaki zagrażał wówczas całemu miastu, a w perzynę obrócił kilkanaście budowli, o założenie straży ogniowej ochotniczej, tak jednak ospale, iż widocznie wyczekują nowego podobnego niebezpieczeństwa, które by im dodało bodźca do energiczniejszego zakrzątnięcia się około swych potrzeb.

W podobnym stanie znajduje się i przemysł miejscowy, z wyjątkiem kilkudziesięciu warsztatów, obrabiających na miejscu marmury, a tradycyonalnie przechodzących z ojca na syna, z produkcyą sięgającą obecnie 12 000 rubli, istnieją tylko nieliczne warsztaty krawieckie, szewskie i czapnicze, w których wyrabiana jest na wywóz, na targi kieleckie dla sprzedaży włościanom okolicznym, tandeciarska odzież.

W zakończeniu dodać należy, iż nieprzebrane bogactwa przyrodzone i cudna okolica dają wszelką rękojmię, iż miejsce to, mogłoby stać się jednym z najpiękniejszych a równocześnie i najbogatszych zakątków kraju, gdyby znalazły się tylko przedsiębiorcze ręce, gotowe zająć się wyrwaniem ziemi ukrytych w łonie jej bogactw mineralnych, lecz na to niezawodnie Chęciny czekać zmuszone będą tak długo, aż nasz ogół zmieni obecny system postępowania i rozpocznie racyonalniejszą gospodarkę ekonomiczną w kraju.

Ludwik Skorupka.

Pamięci Staszica.

W d. 2. września odbyła się w Kielcach w Królestwie Polskiem uroczystość podniosła, choć w skromnym zakresie, według ograniczonej możności, uroczystość tem donioślejsza, iż pierwszy to wyraz publicznego hołdu, złożony mężowi tak wielkiej miary, jak Staszic, hołd serdeczny, lecz skromny, wedle sił, nie zamiarów. Dziwnym zbiegiem okoliczności inicyatorem i moralnym twórcą tego hołdu jest wnuk przyjaciela Staszica i jego współpracownika w Tow. Przyjaciół Nauk i w komisyi edukacyjnej, Kajetana Garbińskiego, uczonego matematyka, dyrektora pierwszej politechniki warszawskiej, jednego z założycieli „Roczników Gospodarstwa Krajowego", ministra oświaty w rządzie narodowym 1830 r. P. Władysław Garbiński od lat kilku sprawuje godność prezydenta w Kielcach, w mieście i w okolicy, dla których Staszic tak wielkie zasługi położył. Pragnąc je upamiętnić młody i energiczny prezydent przed laty kilku zakrzątnął się około wzniesienia mu pomnika. Łatwiej było myśl powziąć, niż ją wykonać, ale trudności nie zraziły p. Garbińskiego. — Przystąpił do dzieła nie mając nań grosza, kołatał do serc i kieszeni współobywateli, wzywał do pomocy wszystkie warstwy, odzywał się do ofiarności kraju. Przed kilku miesiącami pisał

do jednego ze znajomych w Warszawie: „Posiadam już cały materyał (kamień szydłowiecki), plany i rysunki oraz popiersie i część robót kamieniarskich już są zrobione; za robotę i ustawienie trzeba zapłacić 500 do 600 rubli, której to sumy zebrać w całości nie jestem w stanie. Do dnia dzisiejszego wszystek materyał był zwieziony i doprzy współudziale obywateli... Czyżby dla dokończenia rozpoczętej pracy trudno było zebrać choć część brakującej sumy w Warszawie? Żyją przecież wnukowie kolegów i przyjaciół wielkiego męża i obywatela, czyżby oni nie dopomogli? Tak pewien jestem dobrego skutku, że robotę już rozpocząłem, nie mając grosza funduszu. Rzemieślnicy a także cechy obiecały mi poparcie. — Mieć pomnik Staszica za 600 rubli, zdaje się, że nawet w dzisiejszych czasach stać kraj na to.“ Ów list był ogłoszony w kwietniu r. b. w „Tygodniku ilustrowanym.“ Sprawę wziął gorąco do serca badacz działalności Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Aleksander Kraushar i wzywał do składek. Rezultat był, niestety, bardzo mały. Kraju, w tych ciężkich czasach „nie było stać“ nawet na kilkaset rubli. Tem nie mniej pomnik stanął ofiarnością i dobrą wolą jednostek, możnaby rzec niemal: jednostki. Choć z konieczności skromny, lecz pełen smaku i artystycznie pomyślany, składa się z kamiennej ławki, nad którą wznosi się obelisk z popiersiem Stanisława Staszica. Taki pomnik zdobi park miejski i przypominać będzie Kielczanom założyciela Komisyi szkoły górniczej, konserwatoryum muzycznego, szkoły górniczej, fabryk marmurów w Polskich Chęcinach, rękodzielni wszelakiego rodzaju w tem mieście.

* * *

Stanisław Staszic urodził się w listopadzie 1755 r. w miasteczku Pile, w Wielkopolsce. Przeznaczony przez rodziców do stanu duchownego, otrzymał bardzo staranne wychowanie. Jako 22-letni młodzieniec udał się na studya do Lipska, Getyngi i Paryża. Z pisarzy francuskich najsilniej oddziałały na niego dzieła Rousseau, którego moralnemi ideami się zupełnie przejął. Po powrocie do ojczyzny dostał miejsce guwernera u b. kanclerza Andrzeja Zamoyskiego. Na jego dworze miał Staszic sposobność wszechstronnie i dokładnie obeznać się ze stosunkami i z wszelkiemi sprawami Polski. W r. 1785 wydaje dzieło „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego,“ w r. 1790 „Przestrogi dla Polski.“ W obu tych dziełach mieści się najśmielszy na owe czasy program reform i najsilniejszy obraz niedoli wewnętrznej i zewnętrznej Polski. Potem przez pewien okres czasu spoczywa pióro Staszica. Dopiero z założeniem Tow. przyjaciół nauki poczyna naprzód swoją naukową działalność dziełem: „O ziemiorództwie Karpatów“. W historyi Księstwa Warszawskiego i później Królestwa Polskiego odegrywa Staszic wybitną rolę jako członek Izby edukacyjnej, dyrektor jeneralny Wydziału przemysłu, rzemiosł i kunsztów i jako prezes Tow. przyjaciół nauk.



Stanisław Staszic.

Mimo niepospolitych zasług na polu podniesienia kraju pod względem ekonomicznym i oświatowym usunięty został przez W. ks. Konstantego od wpływów w rządzie. Zmarł 20. stycznia 1826 r. Bardzo znaczny majątek, zebrany krańcową oszczędnością i odmawianiem sobie niemal wszystkiego, przeznaczył w całości na cele dobroczynności ogólnej i fundacye społecznego użytku. Więc 30 000 rb. na szpital Dzieciątka Jezus, po kilka tysięcy na założenie domu zarobkowego, na klinikę, na instytut głuchoniemych itp. Obdarowywał za życia i po śmierci nie zapomniał o Tow. przyjaciół nauk. Najpiękniejszym jednak postępkiem jego życia jest fundacya Rubieszowska tj. wykupno klucza Rubieszowskiego i obdarowanie wolnością i ziemią włościan tam zamieszkałych, których ponadto zorganizował w Tow. rolnicze wzajemnej pomocy.

EMIGRACYA.

Gdy zapadło nad Ojczyzną
Czarnej trumny wieko —
Ten, kto nie mógł żyć w niewoli,
We świat szedł daleko.

Szedł daleko w obce kraje,
Z ojczystego proga,
Apelując o swą krzywdę
Do sędziego Boga.

I ujrzały wtedy ludy —
Tułaczy tysiące,
Na wygnanie dobrowolne
Z gniazd swoich idące.

I ujrzały jak szli w ranach,
W nędzy i bez chleba,
Protestując przeciw gwałtom
Wobec ziemi, nieba.

Gdy pod stopą carską naród
I Warszawa mdleje,
Oni z pod moskiewskich knutów
Unieśli nadzieję.

W piersiach, w sercach swych ukryli
Ten skarb narodowy,
Za granice niosąc kraju
Swe tułacze głowy.

Na francuskiej ziemi bratniej
Było ich siedlisko,
Tamto Polskiej Emigracyi
Przyjęli nazwisko.

Gorzka dolo ty tułacza!
Gorzki, czarny chlebie!
Jakże często łza gorąca
Zrosiła tam ciebie...

Jakże często dumał tułacz
Z głową pochyloną —
Czy choć prochy złoży kiedyś
Na ojczyzny łono!

Jan Sawa.



Katedra Wileńska.

(Dokończenie).

W każdej ze ścian znajdują się po dwie nisze, wyłożone czarnym marmurem, w których stoją drewniane, posrebrzane posągi królów Jagiellonów. Nieprawdą jest, że te posągi były niegdyś ze srebra ulane; zawsze były drewniane, tylko kiedyś były srebrną blachą powleczone, a dziś są wprost na drzewie posrebrzone.

Z prawej strony, pod figurą Jana Olbrachta, znajduje się czarna marmurowa tablica, ze złoconym napisem, oznajmującym — że w sklepie pod kaplicą są złożone wnętrzności i serce króla Władysława IV.

Wprost drzwi znajduje się ołtarz, posiada on antepedium, na którem pośród gwiazd złoconych na tle szafirowem, po obu stronach złoconego wieńca z krzyżem, mieści się wypukły złocony napis:

„Św. Kazimierzu, módl się za nami.“

Za ołtarzem, zamiast obrazu, widzimy wielką wypukłorzeźbę z gipsu

przedstawiającą N. Pannę z Dzieciątkiem, w otoczeniu cherubinów.

U góry dwaj aniołowie podtrzymują paludament gipsowy, znajdujący się nad ołtarzem, w środku którego dwaj aniołowie w obłokach, unoszą wielkoksiążęcą koronę. U spodu tego gipsowego obrazu, aniołowie śpiewają

Musi on być bardzo stary, gdyż napis pod srebrną szatą — świadczy, że w r. 1594 został odnowiony, malowany więc musiał być znacznie wcześniej.

Na ścianach bocznych znajdują się wielkie obrazy alfresco roboty sławnego Dankersa. Obrazy te są bardzo przez znawców cenione.

Piotr Skarga do rodziny królewskiej, zbierającej się w kaplicy.

Pod kaplicą jest sklep, dziś zamurowany, do którego przeniesiono zwłoki Aleksandra Jagiellończyka i dwóch żon Zygmunta Augusta, Elżbiety i Barbary. Na zewnętrznej ścianie, kaplicy, zwróconej ku miastu, w miejscu, odpowiadającem trumnie z relikwiami św. Kazimierza, znajduje się duża tablica, umieszczona tu z rozkazu Władysława IV. na pamiątkę wzniesienia kaplicy i przeniesienia do niej zwłok św. Królewicza.

Tablica jest z ciemnego szaro-czerwonego marmuru, ujęta w ozdobne ramy, rzeźbione z kamienia, u góry których znajduje się kamienna tarcza z pogonią i orłem polskim, wykutemi z białego marmuru. U spodu order Złotego runa, który posiadał Władysław IV.

Pomiędzy cennymi zabytkami, znajdującymi się w Katedrze Wileńskiej, naczelne miejsce zająć winny dwa nagrobki, umieszczone w kaplicy Ukrzyżowanego Zbawiciela. Pierwotnie znajdowały się w ścianie, głównej, obok siebie, tam, gdzie dziś ołtarz. Gucewicz wmurował je w ściany boczne.

Niezmiernie stare te nagrobki, jednej wielkości, z czerwono-brunatnego marmuru szwedzkiego, muszą być dziełem jednej ręki. Oba w stylu renesansu, przypominają pomniki Jagiellonów na Wawelu, nie mają żadnych napisów, tylko herby.

Na nagrobku z lewej strony, widzimy leżącą postać biskupa, w infule i



Kaplica św. Kazimierza Fresk Dankersa. Cud wskrzeszenia św. Urszuli przy grobie św. Kazimierza.

i grają, a dwaj klęcząc, podtrzymują trumnę, przymocowaną żelaznemi sztabami.

Trumna niewielka, drewniana, czarno lakierowana, obłożona srebrnemi blachami, ważącemi trzy tysiące funtów.

Na rogach trumny — srebrne orły, u podstawy — ozdobne skręty. Na wieku, w srebrnych obłokach, figura św. Kazimierza, z krzyżem w prawej, z lilią — w lewej rece.

Trumna była zrobiona w r. 1704 w miejsce dawniejszej, którą wraz z innemi kosztownościami, przetopiono za Jana Kazimierza, na potrzeby wojenne.

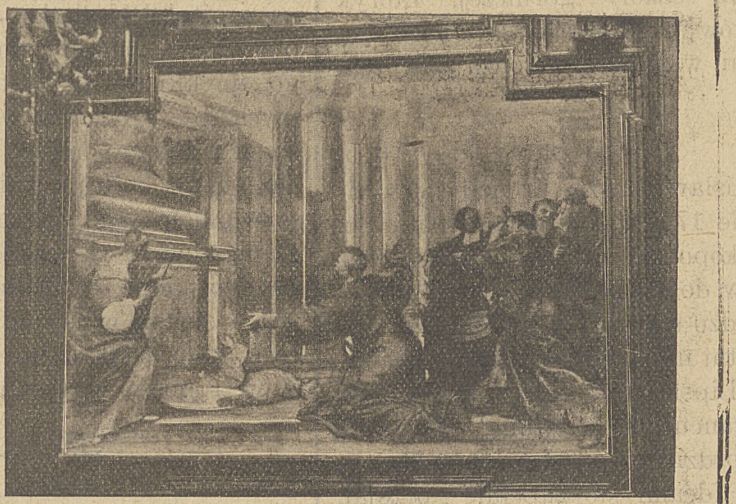
W tej trumnie znajdują się szczątki św. Kazimierza, zawinięte w biały atlas i złożone w małej podłużnej skrzyni.

W r. 1667 w obecności Jana Kazimierza, trumnę otwierano i wyznaczona komisya relikwie przejrzała, akt spisała i ten dokument do trumny włożyła. Pod trumną, już na samym ołtarzu, widzimy obraz św. Kazimierza z trzema rękami. Z tym obrazem, łączy się takie podanie:

Malarz, malując obraz w Wilnie, zauważył, że prawa ręka jest za długa. Zakrył ją farbą, i namalował drugą, zgiętą w łokciu, ale pierwsza ręka wciąż występowała na wierzch, pomimo kilkakrotnego nakładania farbą; malarz, widząc w tem cud, zaniechał zamiaru zamalowania jej, i obraz z trzema rękami ofiarował do kościoła katedralnego.

Z prawej strony widzimy cud wskrzeszenia przed grobem św. Kazimierza — zmarłej dziewczynki. Z lewej — zwłoki św. Kazimierza w trumnie odkrytej.

W roku 1604 w 120 lat po śmierci św. Kazimierza, Jerzy Święcicki otworzył trumnę ze zwłokami królewicza: — ciało wcale nie było popsute, nawet ubranie nie zmieniło koloru.



Katedra św. św. Kazimierza. Fresk Dankersa. Przeniesienie zwłok św. Kazimierza

Tę chwilę otwarcia trumny w obecności duchowieństwa i dworu, wyobraża piękny fresk.

Niezmiernie ciekawą jest przenośna ambona, będąca zabytkiem staroświeckiej snycerskiej roboty. Ambona ma kształt kielicha, osadzonego na posrebrzonym orle z rozpostartemi skrzydłami. Z tej ambony przemawiali

z pastorałem. Wszyscy badacze starożytności twierdzą, iż jest to pomnik Piotra Algimuntowicza, ks. holszańskiego, biskupa wileńskiego, zmarłego w r. 1555.

Z prawej strony nagrobek przedstawia w płaskorzeźbie rycerza w zbroi, z opuszczonemi powiekami.

Trzyma on w prawej ręce wo...

wódzką chorągiew o dwóch końcach, na sięgającem stóp drzewcu. Lewa ręka spuszczona przytrzymuje u boku miecz bez pochwy.

Długi czas nie wiedziano, kogo ten rycerz wyobraża. W końcu Homolicki (badacz starożytności), a po nim Kirkor, dowiedli — że to jest pomnik wielkiego kanclerza litewskiego — Wojciecha Gasztolda, któremu Litwa zawdzięcza układ pierwszego statutu Litewskiego. *Emilia Węsławska.*

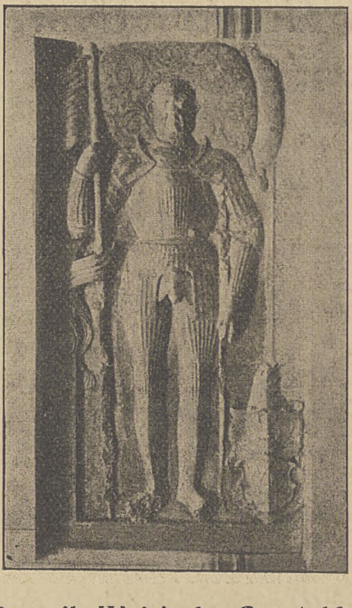
Policzek.*)

I.

Byliśmy we wesołym humorze. Byli tam: Jan, Władek, Leoś, Kazik i ja. Na zakończenie pohulanki Leoś wystąpił z szampanem, a w takich wypadkach młodym ludziom przychodzą do głowy różne błazeństwa.

Nie wiem już, który z nich opowiadał facecyę o tem, że ktoś komuś nieznajomemu na dworcu kolejowym dał w twarz. Ale wiem, że mnie niepotrzebnie przyszło do głowy powiedzieć: „To nie sztuka.“

Schwytano mnie jednak za słowo. Powstała sprzeczka: — przyjacielska,



Pomnik Wojciecha Gasztolda, W. Kanclerza Litewskiego.
(patrz artykuł „Katedra Wileńska“).

wesoła i żartobliwa sprzeczka, ale sprzeczka i skończyło się na zakładzie. Chodziło o sześć butelek szampana, po 3 dolary. Miałem udowodnić, że „i ja potrafię,“ a gdybym nie udowodnił, miałem zapłacić na szampan.

Ośmnaście dolarów nie chodzi piechotą, ale byłbym może wolał je zapłacić, gdyby tu nie chodziło o „honor,“ który mi kazał udowodnić, iż skoro mówię, że potrafię, to potrafię....



Kaplica św. Kazimierza. Ambona przenośna.
(patrz artykuł „Katedra Wileńska“).

Jak pogodzić z „honorem“ — danie w twarz komuś niewinnemu i nieznajomemu, nad tem się nie zastanawiałem. „Honor“ musiał być zachowany i basta! Nic mi nie pozostawało innego, jak iść z przyjaciółmi na dworzec i zakład wygrać.

Był wieczór. Było chłodno i febra mię trzęsła. Może dlatego letnie moje palto zapiąłem, kołnierz podniosłem i zakryłem nim część twarzy, a na czoło nasunąłem głęboko kapelusz.

Dzwonienie; pociąg nadchodził. Może się jeszcze cofnąć? Głupstwo 18 dolarów! Ale „honor!“...

Pociąg stanął. Minuta przystanku. Wziąłem na odwagę. Począłem biegz jak szalony wzdłuż wagonów, wołając: „Panie Smith! panie Smith!“...

Z różnych okien wagonów wychylają się różni mężczyźni. Obrałem twarz brodatą w oknie mniej zewnątrz oświetlonem. Pytam się: „Czy pan jesteś Smith?“ Odpowiedź brzmi: „Nie!“ — „To po cóż pan się wychylasz?“ — wołam z pozorną złością i plask!... Zakład wygrałem...

W tejże chwili pociąg ruszył dalej pośród śmiechu moich kolegów. A z jednego wychyliło się ramię groźnie pięścią potrząsające, ale wkrótce znikło w ciemnościach...

Trochę mi się zrobiło nie swojsko, uczułem jakoby wyrzut sumienia. Ale główna rzecz: zakład wygrałem. A nie potrzebowałem obawiać się następstw, bo nie było mowy o tem, bym się kiedy miał spotkać z nieznajomym, lub aby przy spotkaniu przypadkowem on mnie miał poznać.

II.

Upłynęły miesiące. O awanturze na dworcu dawno zapomniałem i miałem głowę zaprzątniętą czem innem.

Byłem zakochany. Ogromnie, szalenie zakochany. We dnie i w nocy myślałem o chabrowych oczkach Klary, o jej rozkosznym uśmiechu, jej warkoczach jasnych, jej zgrabnej figurze.

Poznałem ją na jednym z balów w karnawale i zdarzyło się, że spotkaliśmy się na dwóch balach następnych. Na trzecim przyszło do wyznań. Posiadałem wzajemność.

Klara niedawno była w mieście. Jej ojciec, urzędnik telegraficzny, z innego miasta został tu przeniesiony. Była jedynaczką. Przystała na to, bym się oświadczył nazajutrz jej rodzicom. Jej ojca na balu nie było; matce swej przedstawiła mię jako nowego znajomego.

Przyszło to nazajutrz i udałem się do mieszkania rodziców Klary. Ona sama w pokoju mię przyjęła.

— Czy przygotowała swych rodziców? Tak, tylko, że... i odeszła.

Co to znaczy: „tylko że?“... Ale nie było czasu się zastanawiać. Otworzyły się drzwi i wszedł...

Nogi podemną zadrżały i czułem, że zbladłem, gdym ujrzał ojca Klary. Był to jegomość, któremu wówczas na dworcu w twarz dałem.

Ale należało miną nadrabiać. Przecież mnie poznać nie mógł. Zebrałem całą odwagę, do jakiej czułem się zdolny i w słowach dobranych przedstawiwszy się, com zacz, oświadczyłem się wedle wszelkiej formy.



Pomnik Pawła księcia Holszańskiego, biskupa wileńskiego.
(patrz artykuł „Katedra Wileńska“).

Mój teść „in spe“ przypatrywał mi się uważnie i znowu zacząłem blednąć. Potem cokolwiek się zachmurzył. Już się obawiałem, że mię poznaje i z rozpaczliwą bezczelnością spojrzałem mu w oczy, by w danym razie zaprzeczyć wszystkiemu i powiedzieć, iż się omylił.

*) Opowiadanie powyższe dzieje się wśród wychodźców polskich w Ameryce.

Ale wkrótce się przekonałem, że obawa nie była płonną. Ojciec Klary powiedział, że się o mnie dowiadywał, że nic nie ma przeciw temu, bym jego córkę pojął za żonę. Ale jest pewien warunek. Oto przed kilku miesiącami, miał szczególny wypadek na dworcu. To a to mu się wydarzyło. Postanowił odnaleść zuchwalca i odpłacić mu policzkiem. W tym nawet celu postarał się o przeniesienie do tego miasta. Ale jego poszukiwania były daremne. Otóż żąda, bym mu pomógł szukać, zwłaszcza, iż podobno znam się z szefem policyi. Skoro z tą sprawą się załatwi, będzie można naznaczyć dzień ślubu.

Próbowałem remonstrować i przekonać brodacza, że to sprawa odrębna i nic nie ma wspólnego ze ślubem. To swoją drogą, a to swoją.

Ale słyszeć o tem nie chciał. Powiedział, że po ślubie będę miał co innego na głowie, że nie zechcę się tem zajmować. Nie zdały się na nic prośby, zaklinania i przyrzeczenia. Albo —albo, basta!

Musiałem się zgodzić. Zmartwiony w połowie, a w połowie uradowany odszedłem, otrzymawszy na drogę jeszcze, oczywiście niedokładny, rysopis zbrodniarza — rysopis mój własny! Łamałem sobie nad tem głowę, co robić...

III.

Lekkomyślność moja, a potem fałszywe pojęcie o honorze w miłe wprawiły mię położenie. Miałem teraz polecenie szukania siebie samego i dostawienia do ukarania. Gdybym mu się przyznał do wszystkiego, to przecież wyrzuciłby mię raczej za drzwi, niż oddał mi rękę córki...

Upływały dni, tygodnie, ba! nawet miesiące, a ja nie mogłem zdecydować się na krok stanowczy. Klarcia się niecierpliwiła, a nawet często miewała oczka podpuchnięte z płaczu; mama się gniewała, ale papa był niewzruszony. „Honor“ mu nie pozwalał cofnąć słowa danego i warunku postawionego. Kto też to „honor“ ten szkaradny pierwszy wymyślił?...

I tak minęła Wielkanoc i Zielone Świątki, a sprawa naszego połączenia się węzłem małżeńskim, nie posunęła się ani o krok naprzód.

Nie! raz temu trzeba koniec położyć. Jeżeli w głupi sposób pojęty „honor“ raz mię doprowadził do popełnienia czynu lekkomyślnego, to teraz honor mi niewątpliwie nakazuje z całą męską odwagą przyznać się do tego, i — ponieść skutki. Zresztą wiem dobrze, że mię już tak polubiono, iż zbyt surowa kara nie będzie. Co najwyżej, mój przyszły teść dla formy, z lekka, przysięgę swą wypełni, da mi lekki policzek i sprawa będzie skończona. Że zasłużyłem na taki policzek — muszę przecież w głębi serca przyznać.

A zatem — do czynu! Postanowiłem działać.

Był wieczór. Na balkonie siedzieliśmy wszyscy; poczciwa mama raczyła nas ponczem wedle nowej jakiejś recepty przyprawionym. Papa w doskonały wpadł humor i sypał anegdoty jak z rękawa. Czas był może najodpowiedniejszy.

— Mój panie szanowny — zacząłem trochę niepewnym głosem w czasie pewnej przerwy w rozmowie — postanowiłem panu zrobić pewne wyznanie...

— Cóż, cóż takiego? Może pan odkryłeś tego łotra?... Co tak?... Jakże się nazywa? Kto on jest? Gdzie mieszka?

— To jest... Widzi pan... Ja go znam.... Znałem go już dawno. Tylko nie śmiałem...

Sześcioro oczu patrzało na mnie z ciekawością i zainteresowaniem. Zebrałem wszystkie siły i powstawszy dla większego bezpieczeństwa, powiedziałem:

— To ja nim byłem!

Klarcia o mało nie zemdlała. Matka załamała ręce. Tylko stary popatrzył na mnie zdumiony a potem... potem zaczął śmiać, się śmiać. coraz bardziej i głośniej, formalnie ryhotać, ryczeć ze śmiechu!

— A to doskonałe! — zawołał. — Chcesz pan wziąć na siebie winę, ażeby tylko przyspieszyć dzień ślubu! Ale nie mnie brać na kawał! Nie, taki głupi nie jestem i nigdy nie uwierzę! A słowa zmienić nie mogę. Szukaj pan winnego, a oznaczymy dzień ślubu....

Otóż mam teraz. Ani myśli, abym przekonał starego, że to ja jemu w twarz dałem i nie umiem znaleść rady, aby przyspieszyć dzień ślubu.

Może który z czytelników ulituje się nademną i na siebie winę weźmie?...



Widzimy tu scenę z życia w „Żeńskiem Towarzystwie gimnastycznem w Berlinie.“ Na drążku ćwiczy panna J. Rydlewiczówna: w koło przyrządu stoji kilkanaście dzielnych druhen w dwojakich kostyumach ćwiczebnych o ciemniejszych względnie jaśniejszych niebieskich kołnierzach marynarskich. O ile wiemy są panie z Berlina żarliwemi zwolenniczkami projektu utworzenia Związku Żeńskich Gimn. Towarzystw na Rzeszę Niemiecką“ co im tylko pochwalić można.

Hasła sokole.

Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

— Krzepmy się! W silnem ciele silny duch!

W jedności siła!

Zgoda, siła i męstwo, dają zwycięstwo.

Równość, wolność i braterstwo.

— Hej ramię do ramienia!

— Wszystko dla ojczyzny!

— Wyżej, wyżej i wyżej!

— Skromność, męstwo i siła, Bogu miła!

— Kochajmy się — nie dajmy się!

— W myśli ojczyzna — w sercu miłość, w ramieniu siła!

— Przeskocz, złam — a nie podłaź!

— Zawsze naprzód, — nigdy wstecz!

Mężnie w bój, hardo stój!
Nie dla zysku — nie dla sławy;
Jeno dla Ojczyzny sprawy!
Mało mów, wiele czyń!

Na wrzesień.

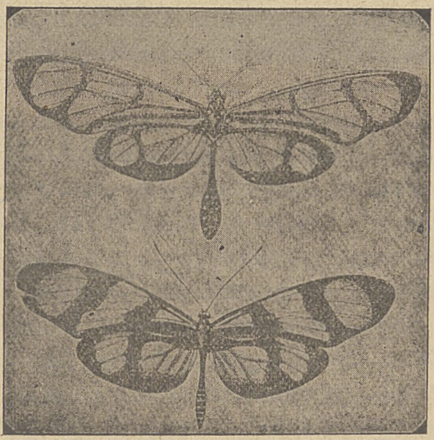
Ni to kobierzec, aż do jesieni
Wrzesień od wrzosu bierze swe miano,
Barwnym, rzęsistym kwiatem się mieni,
Zieloną oczy nęci polaną...

A naszym kwiatem — tylko co boli!
Tylko cierpienie jest naszym losem!...
Kiedyż, ach kiedyż wśród życia doli
Nadzieja wzejdzie zielonym wrzosem?!

Samoobrona zwierząt.

(Ciąg dalszy.)

Podobną maskaradę napotykamy także między owadami: oto np. motyl Leptalis orizae, zupełnie bezbronny, wykazuje wielkie podobieństwo do motyla Methone z innej zupełnie ro-



Motyle Leptalis orizae i Methone.

dziny, motyla, który dla swego wstrętnego odoru zabezpieczony jest względnie od wszelkiej napaści; inny znowu motyl przeziernik (Sesia crabroniformis), motyl, którego można i u nas napotkać, a który nigdy w życiu nie posiadał żądła, tak dobrze naśladuje żądłonośną osę, że każdy z nas z pewnością nie bez strachu odpędzić by go usiłował.

Z mimetyzmem, prawdę powiedziawszy, spotykamy się także wśród ludzi, bo np. iluż z nas, mając pustki w kieszeni, udaje bogaczów lub zajmując skromne stanowiska, rolę możnowładców odgrywa. Nie należy to jednak do rzeczy; więc zajmijmy się lepiej temi zwierzętami, które nic i nikogo nie udając, w organizacyi własnej znajdują obronę.

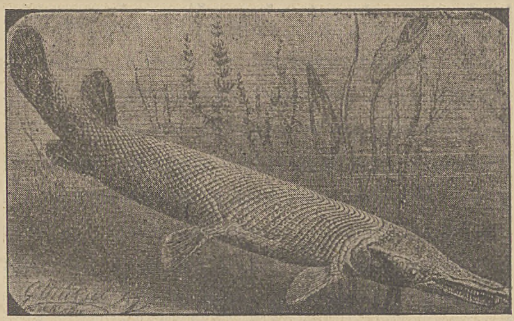
Takim obronnym wytworem organizmu zwierzęcego bywa przedewszystkiem twarda powłoka, która miękkie części zwierzęcia zabezpiecza od uszkodzeń z zewnątrz. Podobne pancerze wytwarzane są przez organizm w rozmaity sposób; jedne zwierzęta, jak np. ryby kostołuskie (w rodzaju jesiotra), krokodyle, żółwie i niektóre inne posiadają w skórze skostnienia w postaci płyt albo tarczy kostnych, które tworzą twardą zewnętrzną powłokę. Taka np. ryba kajman (Lepidosteus osseus), spotykana w



Przeziernik. Osa.

rzekach i jeziorach południowej części Stanów Zjednoczonych, pokryta jest drobną łuską, lecz twardą jak kamień, a ponieważ wydłużone jej szczęki uzbrojone są licznymi, ostrymi zębami, więc trudno jest nawet wyobrazić sobie groźnego dla niej napastnika.

Tak samo jaszczur Moloch horridus. lekceważy sobie pewnie wszelkich nieprzyjaciół: ciało jego, pokryte twardemi płytkami, obsypane jest masą ostrych kolców; niedawno też mieszkańcy Australii, gdzie jaszczur ten żyje, dali mu nazwę „kłującego dyabla“ Na szczególną uwagę zasługują zęby skórne, które u pewnych ryb spodoustych całą powierzchnię ciała pokrywają, pod względem budowy swojej i rozwoju zęby te w zupełności odpowiadają zębom, znajdującym się w jamie gębowej; zapewne, kąsać niemi ryba nie jest w stanie, ale niewątpliwie dają jej one w wielu razach skuteczną obronę.



Kajman. Lepidosteus osseus.

U wielu bardzo zwierząt znajdujemy utwory wapienne, broniące całości ich ciała; tu w pierwszym rzędzie wymienić musimy muszle, nieraz bardzo grube i olbrzymie, w których rozmaite mięczaki znajdują bezpieczne schronienie; forma tych muszli bywa płaska, kulista, stożkowata, walcowata, prosta lub skręcona, owalna, trójkątna i wogóle nader urozmaicona; przytem jedne mięczaki posiadają muszlę pojedyńczą, inne podwójną, złożoną z dwóch części równej lub różnej wielkości. Muszli nie pozbywa się mięczak nigdy w ciągu swego życia i tylko w miarę rozrastania się rozmiary jej zwiększa.

Inaczej postępują różne skorupiaki, jak kraby, homary, rzeczne raki i inne, odziane również wapienną skorupą; nasze młode raczki już na dziesiąty dzień po wykluciu się z jajka pancerz swój zrzucają, potem powtarza się to 4 razy co kilka tygodni; w ciągu roku drugiego skorupa na raku ulega zmianie 5-krotnej, wreszcie przez lata następne samce dwa razy (w lipcu i we wrześniu) samice raz tylko co roku zmieniają przyciasną swą odzież; stary pancerz przytem na grzbiecie przez środek pęka, a rak, wylazłszy z niego, czas jakiś leży jak nieżywy. Naturalnie, wszystkie stworzenia mię-



Rak pustelnik.

sem raka nie gardzące, korzystają skwapliwie z tej pomyślnej chwili.

Nie możemy przejść do innej grupy zwierząt, nie przypomniawszy morskiego raka-pustelnika. Odwłok czyli tylna część jego ciała nie posiada zdolności tworzenia skorupy; będąc więc nagą, wystawiona jest ciągle na niebezpieczeństwo; a że pustelnik bez tej części ciała obyć się nie może, więc w ten sposób radzi sobie biedak, że nagi swój odwłok wsuwa do muszli mięczaka i tę wciąż włóczy ze sobą, na większą w miarę potrzeby zmieniając.

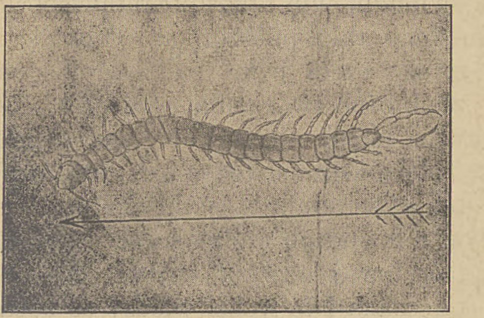
Jaką drogą przytem rak-pustelnik staje się posiadaczem własności mięczaka, historya nie mówi; myślimy jednak, że nie zawsze czyste sumienie wnosi on wraz z odwłokiem do obejmowonej w posiadanie muszli. Również jak mięczaki i raki, otaczają się twardą, wapienną powłoką liczne zwierzęta

szkarłupnie, posiadające w skórze zwapnienia w postaci tabliczek, które są bądź ruchomo, jak naprz. u morskich gwiazd, złączone ze sobą, dzięki czemu zwierzę może po dnie morskiem między kamieniami pełzać, zbliżając w razie potrzeby promienie, — bądź też w jedną nieruchomą połączone całość, jak u jeżów morskich, tworzą jednolity pancerz, pokryty z powierzchni igłami.

Wreszcie i najdrobniejsze z żyjących stworzeń, mianowicie rozmaite jednokomórkowce, posiadają twarde skorupki — wapienne albo krzemionkowe. Misterną ich budowę nieraz musimy podziwiać, a dają one niewątpliwie swym mieszkańcom skuteczną obronę od napaści również drobnych, różnych nieprzyjaciół.

Oprócz kości, wapna i krzemionki, z których, jak widzieliśmy, utworzone być może okrycie zwierzęcia, spotykamy jeszcze, mianowicie wśród owadów, krocionogów i innych, szczególną substancyę, tak zwaną chitynę. Posiada ona wielką moc i twardość; wie o tem każdy, kto choć raz w życiu brał do rąk chrabąszcza; twarde jego chitynowe skrzydła stanowią dobre uzbrojenie, tembardziej, że i całe ciało chrabąszcza, podobnie jak wszystkich owadów, odziane jest warstwą chityny. Jeżeli w dodatku pokrowiec taki chitynowy będzie zupełnie gładki i wypukły, jak to np. u biedronek czyli bożych krówek, małych, czerwonych z ciemnymi punktami owadów widzimy, to łatwo wyobrazić sobie, że w tym razie wszelka napaść jest sprawą nader utrudnioną.

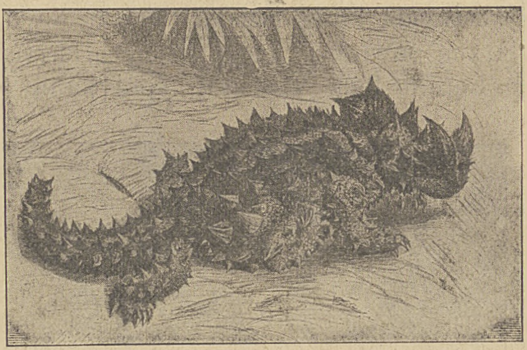
Nie mogę, nakoniec, nie zaznaczyć tutaj pomysłowości larwy owada chróścika; będąc zupełnie bezbronną, otacza ona swe ciało rurką, z rozmaitych przedmiotów zrobioną; jedne larwy używają do tego okruchów roślinnych,



Krocionóg.

inne ziaren piasku, drobnego żwiru lub muszelek, larwa zaś chrząszcza-kryptoglowa (Cryptocephalus) posługuje się nawet w tym celu własnym ekskrementem, co prawdopodobnie czyni ją również zupełnie bezpieczną; istnieją wreszcie organizmy, które w inny jeszcze sposób, ale także bierny, zapewniły sobie względne bezpieczeństwo.

Oto rozwinęły one w ciele swem gruczoły, których trująca ostra wydzielina, połączona niekiedy z przykrą silną wonią, czyni je niejadalnymi dla większości zwierząt. Wspominaliśmy już o tem z racyi mimetyzmu, opisując



Moloch horridus.

bezbronnego motyla, podobnego do innego motyla, który wstrętną wonią odstrasza swoich nieprzyjaciół.

Dla tej samej przyczyny i pluskwy drzewne, naprzykład, czują się bezpieczne. Nie napastują również ptaki z wyjątkiem kukułki, gąsienicy motyla prządki Cnethocumpy. Pokryta jest ona włoskami, które wydzielają płyn, powodujący ostre zapalenie skóry.

Przypomnę tutaj wreszcie rozmaite płazy z ropuchą na czele, których skóra pienistą ostrą wydzieliną może się pokrywać. *A. Kudelski.*

(Dokończenie nastąpi).

Kierunki w wychowaniu fizycznem.

Coraz trudniejsze warunki bytu, wzrost ludności, przepełnienie w różnych dotąd uprzywilejowanych zawodach i potrzeba szukania nowych dróg dla wytwórczości i pracy, słusznie zwróciły uwagę myślicieli i wychowawców, że w ciężkej walce o chleb i stanowisko ten tylko wygrać może, kto jest odpowiednio przygotowanym i uzdolnionym. Jednostronny system wychowawczy, przeciążający młodzież pracą umysłową, nie mógł dać wstępującemu w świat pokoleniu potrzebnego zasobu sił, zdrowia, energii, wytrwania, tej samodzielności, jaka jest w codziennem życiu nieodzowna. Surowej poddano krytyce wychowanie duchowe i publiczne, wedle przestarzałych i błędnych zasad prowadzone.

Od niepamiętnych czasów znaną jest w pedagogice zasada, że racyonalny system wychowania zależy na równomiernem rozwijaniu sił fizycznych i umysłowych. Teorya podała znakomite zasady, i usprawiedliwiła ich słuszność niezbitemi dowodami nauki. Ale od teoryi i uczonych traktatów, do praktycznego zastosowania nabytków wiedzy w życiu droga bardzo daleka.

Dawne szkolnictwo, pomimo dziwacznej rutyny i olbrzymich błędów w programach szkolnych i systemie nauczania, nie przeciążało wychowańców pracą i dawało im tyle swobodnego czasu na wypoczynek i zabawę, że młodzież była fizycznie dobrze rozwiniętą, wesołą, rzeźką i na zdrowiu z przepracowania nie szwankowała. Ale z rozwojem i wzrostem wiedzy, programy szkolne rosły, wymagania zwiększały się i nareszcie doszły do kresu przechodzącego siły młodych umysłów. Zaniedbano zupełnie stronę fizyczną, zapomniano o kształceniu charakteru, woli, wytrwałości, zostawiono odłogiem stronę moralną, a zajęto się jedynie napełnianiem głowy takim balastem przeróżnych potrzebnych i bezcelowych wiadomości, że nareszcie zamiast rozwinięcia umysłu, nastąpiło przytępienie i zanik wszelkich przyrodzonych zdolności. Rozwijające się z przerażającą szybkością wady fizyczne, rozstrój nerwowy, karlenie i zwyrodnienie młodego pokolenia wywołało liczne protesty ze strony hygienistów i badaczy naukowych, a głos ich został wysłuchany, i poczęły się reformy w zakresie szkolnictwa.

Na pierwszem miejscu należy postawić Anglię, gdzie dawno już zrozumiano, że zadaniem domu i szkoły jest przygotowanie młodzieży do praktycznych zadań życia i samodzielnej wytwórczości pracy. System wychowania Anglo-sasów tak jest różny od metody przyjętej na stałym lądzie Europy, tak przedewszystkiem uwzględnia rozwój sił fizycznych, samodzielność, zaradność, energię, że początkowo uważano go za wybryk ekscentryczności, wątpiąc o rzeczywistym pożytku takiej metody wychowania. Skutki wykazały, że sprawa stoi inaczej. Szereg zwycięstw, jakie Anglia odniosła na wszechświatowym turnieju, jej ekonomiczny rozwój, potęga finansowa, wzrost przemysłu i handlu, zastęp pierwszorzędnych myślicieli, polityków fachowców, napełnił trwogą inne narody wobec groźnego współzawodnika. Bliższe rozpatrzenie sprawy wykazało, że rasa anglo-saksońska wyższość swoją zawdzięcza przymiotom szczepowym, spotęgowanym i rozwiniętym przez racyonalne i umiejętne wychowanie.

Znane dzieło Edmunda Demolins

„O wyższości rasy anglo-saksońskiej“, daje najlepszy obraz obecnych stosunków wychowawczych i społecznych, rzuca światło nowe na ważne zadanie wychowawcze i wskazuje drogi, jakiemi postępować należy.

Wiemy dobrze, co dla wychowania fizycznego dokonała Szwecya, i jaką olbrzymią usługę oddali temu krajowi wielcy reformatorowie systemu pedagogicznego.

W drugiej połowie ubiegłego stulecia wychowanie fizyczne zwróciło szczególną uwagę odnośnych sfer w Niemczech, Austryi i Francyi. Wprowadzono po szkołach wyższych i niższych naukę gimnastyki, a czas jakiś panował nawet kierunek militarny, wprawiający młodzież do marszów, mustry i obchodzenia się z bronią. Wkrótce jednak przekonano się, że ani system ruchów i ćwiczeń na komendę, ani zabawa w żołnierzy do celu nie prowadzą. Okólnik ministrów oświaty w Austryi i Prusach, prace specyalnie wyznaczanych komisyi we Francyi, wykazują, że nastąpił nowy zwrot w wychowaniu fizycznem.

Zarzucone gry i zabawy na wolnem powietrzu okazały się systemem najlepszym, najwięcej zgodnym z naturą i najprościej prowadzącym do celu.

Gry i zabawy, prócz rozrywki i wypoczynku umysłowego, tak koniecznych dla młodzieży uczącej się, rozwijają siły fizyczne, przytomność, zręczność, wytrzymałość, daleko lepiej, aniżeli lekcye gimnastyki, które, nieumiejętnie prowadzone, są nudne i nie dla wszystkich dzieci możliwe.

Nie wypowiadamy tutaj zadania, aby gimnastyka nie dawała wysokiego pożytku. Przeciwnie! w porze zimowej, w niepogodę, ćwiczenia w dobrze urządzonych salach są niezmiernie pożyteczne i nieodzowne. Ale w porze takiej, kiedy korzystać można z zabaw, gier i ćwiczeń na świeżem powietrzu, pod otwartem niebem, należy temu oddać pierwszeństwo. Wszelakiego rodzaju gry w piłkę, wyścigi, gonitwy, rzucanie kręga, trafianie do celu, wszystko to są ćwiczenia cielesne, rozwijające siłę, sprawność, zręczność, wzmacniające dobrze mięśnie, stawy, wyrabiające płuca i kształcące zmysły. Dodać do tego należy naukę pływania i wioślarstwo, jako doskonałą gimnastykę, a zarazem niezmiernie pożyteczną umiejętność. Dołączyć tutaj należy ślizgawkę, pochody piesze, wycieczki dalsze w pola i lasy i wędrówki po kraju w czasie wakacyi, jako rzecz pouczającą, a zarazem wyrabiającą zmysł praktyczny, zaradność i przedsiębiorczość. Rozrywka i ruch na świeżem powietrzu dają młodym organizmom ów konieczny wypoczynek dla umysłu, dają siły nowe do pracy, utrzymują równowagę między stroną fizyczną i umysłową, tworzą tak pożądaną harmonię ciała i ducha, stanowiącą główny cel wychowania.

Rodzina, pomimo najlepszych nieraz chęci, nie jest w stanie dać dzieciom należytych warunków wychowawczych. Przychodzą jej z pomocą instytucye społeczne.

Doniosły pożytek, jaki przynoszą ochrony, kolonie letnie, ogrody dziecięce, znany jest tak powszechnie, że dowodzić wartości tych instytucyi nie potrzebujemy. Chodzi o to, aby zakres ich działalności wzrastał, bo pomimo pomyślnego rozwoju nie mogą one zadosyćuczynić potrzebie. Nietylko małe dzieci, ale młodzież ucząca się tak w średnich, jak i w wyższych zakładach naukowych, winna korzystać z gier i zabaw na świeżem powietrzu i uprawiać ćwiczenia cielesne, jako rzecz dla pożytecznego ćwiczenia się, dla umysłowej pracy, dla zdrowia konieczną i nieodzowną.

Wszystkie ministerya oświaty podobne zapatrywanie wyraziły i poleciły wszędzie przy szkołach urządzać boiska, a gdzieby miejscowość szkoły na to nie pozwalała, wybrać odpowiedni teren w pobliżu, a nawet po za obrębem miasta. Dążność w tym kierunku jest wynikiem doskonalących się ciągle pojęć wychowawczych, jakie nakazuje postęp i warunki bytu. Zaniedbanie w zastósowaniu zdobyczy wiedzy i doświadczenia naraża na dotkliwe straty.

Wielkie zasługi mają bez wątpienia u nas towarzystwa „Sokołów“, których głównem zadaniem jest wyrobienie sił i wykształcenie zaniedbanej strony fizycznej wśród jednostek naszego polskiego społeczeństwa. Jest to jeden z najważniejszych kroków, dokonanych w ostatnich latach na drodze inicyatywy społecznej.



Rycina przedstawia scenę z boiska latowego w Berlinie. Po lewej stronie z rękoma założonemi w tył stoji przy podpórce d. naczelnik B. Owsianny. Jako trzeci od podpórki na prawo stoji zastępca naczelnika d. Alejski. Na drążku ćwiczy d. Stanisław Kusterko członek grona technicznego związkowego. Dokoła nich grupuje się około 30-stu cwiczących w swobodnej a dzielnej postawie.

Sądzimy, że inicyatywa społeczna winna znaleźć poparcie i zachętę. Ogrody dziecięce, gry i zabawy dla młodzieży, towarzystwa „Sokołów“ — należą do szeregu spraw ważnych, któremi wszyscy pojmujący zdanie wychowawcy gorliwie zająć się powinni.

G. D.

W walce!

„Siła człowieka objawia się w walce, a im większa była trudność, tem milsze zwycięstwo“.

Hoffmannowa.

Wszyscy jesteśmy rycerzami na placu boju...

Dziecko ledwie począwszy jako tako pojmować życie, już walczy z swemi pragnieniami, już musi pokonywać w sobie skłonności rwące, czy to do łakomstwa lub uporu, lenistwa lub kaprysu. Młodzian walczy z prądami uderzającemi o jego duszę — rolnik walczy z nawyknieniami, potęgą, ciemności oponą, matka zwalcza u dzieci wady budzące się i rosnące szybko, ojciec walczy z stronnictwami, przeciwnemi pracy narodowej, a tak, gdyby chcieć wyliczyć wszystkie rodzaje walki — możeby i za wiele poszło na to czasu...



W. Szermer. **Na targu w małem miasteczku.**

Życia bez walki nie można pojąć. Bo ktoby tylko począł żyć w zupełnym spokoju tak, iżby nie przeżywał żadnej walki ani w uczuciach, ani w myślach, ani w czynach, tenby był istotą składającą się tylko z ciała i kości, krwi i mięsa, ale nie byłby jednostką narodu, kościoła, społeczeństwa i ludzkości.

Cała wartość i zasługa człowieka rysuje się właśnie w jego walce, jak linie rysów odbijają się na płycie fotograficznej.

I ocenia się ludzi według tego, o ile oni walczą sami z sobą lub z otaczającemi ich trudnościami, a słusznie powiada Mickiewicz:

„Och! lepiej pośród żywiołów bezrządu
Walczyć, co chwila z nowemi przygody,
Niż gdyby wybrnął, i z cichego lądu,
Patrzył na morze i liczył swe szkody...
— Każdy krok zwalczony, jest szczeblem do sławy!"

W kartach przeszłości Ojczyzny naszej, przekonywamy się co chwila o tem, iż w miarę walk moralnych staczanych u nas w życiu domowem, rodzinnem i wychowaniu młodzieży — rosła do ogromnej potęgi sława i wielkość ludzi znakomitych. Spojrzmy w życie Sobieskiego, Kościuszki, Żółkiewskiego — czyż nie poznajemy zaraz, iż ci ludzie prócz walki orężnej z wrogiem, walczyli w życiu swem z tem wszystkiem, co ducha osłabia, co samolubstwo rodzi, co psuje czystość charakteru?

A my — dziś — w walce ogromnej, strasznej, rozgrywającej się po całej ziemi, w walce wszystkich klas — warstw, stanów i dzielnic — jakże mało na to zwacamy uwagi, iż potrzeba trwać na szańcu wytrwale, a mieć siły wzmocnione dziesięćkrotnie!...

Lecz — gdybyż tylko tyle było naszego przewinienia! Stokroć gorzej!

Wielu wśród nas nie walczy — zupełnie.

Wielu, ani nie chce wiedzieć lub słyszeć o tem, iż walka się toczy i że jego też sygnały wojenne wzywają.

Jedni bawią się, drudzy liczą pieniądze, inni jedzą i piją, inni mozolną pracą zajęci, nie umieją znaleść chwili czasu na myśl o tem, co jest po za ich trudem, a wieluż co śpi — co próżnuje, stroi się, jeździ po świecie, albo tylko waży w sklepie, albo tylko pisze przy biurku, albo tylko narzeka i jęczy!...

W tem nasza słabość i niedola!

Nie umiemy żyć w walce... Mylnie sądzą ci, którzy powiadają, iż walka możliwą jest tylko z bronią w ręku. Przeciwnie! Walka z bronią w ręku jest ostatecznością i jest rzeczą pewnej chwili, a walka życia z wadami, nałogami, obowiązkami i walka o zdobycie hartu — siły woli, wytrwałości, szerzenie oświaty, to zdobycie narodu i jego potęga...

Walczyć musimy wszyscy i walczyć ciągle.

Jedna godzina zmarnowanego życia — zasługuje na rozpoczęcie walki z lenistwem, bo mamy pracy stokroć więcej od innych narodów; tylko pracą możemy się odradzać.

Jeden rys samolubstwa, skąpstwa i egoizmu — powinien wywołać w nas walkę, bo Mickiewicz powiada, iż samoluby to są gady w skorupie, sami sobie sterem, żeglarzami, celem... nie lgnie do nich fala, ani oni do fali...

Jedna wada rozrzutności, marnotrawstwa, upijania się, gry w karty, używania w przepychu — powinna wzywać do walki silnej, bo tylko ci w narodzie stali się bohaterami, którzy jedli, aby żyć, a nie żyli, aby jeść, którzy służyli cnocie i Ojczyźnie, a nie swoim salonom, jadalniom, restauracyom i piwiarniom.

Jedna wada niezgody, odsuwania się od popierania prac innych rodaków, wynoszenia się nad uboższych lub ciemniejszych, powinna być polem walki wytrwałej i usilnej, bo jeśli każdy z nas — siebie samego nie uszlachetni i nie ulepszy — nie zdoła uszczęśliwić narodu...

Walka powinna trwać!

A w walce tej ma zwyciężać cnota, szlachetność i dobro — zanikać zaś gniew, pycha, lenistwo i ciemnota. Dzieci nasze muszą walczyć, bo mnóstwo wad i skłonności ku nim wyciąga swe sieci, a biada Ojczyźnie, jeśli nasze dzieci nie nauczą się zwyciężać cnoty wobec złego...

Matki, żony, córki, siostry — muszą nalegać ciągle i bezustannie, aby pokonały wiele błędów zakorzenionych w życiu naszem, gdyż w tem spoczywa podwalina i podstawa odrodzenia się naszego...

A młodzież — a obywatele nasi, i ci wielcy literaci, myśliciele, ci, którzy przodują w narodzie — i ci mniej znani, a których bardzo — bardzo wielu — i ci w bluzach robotniczych, przy fartuchach okopconych, i ci w siermięgach i płócienkach, czyż nie powinni być w walce ciągle i trwale? — Siebie pokonać — stokroć więcej znaczy jak pokonać nieprzyjaciela, mówił mędrzec, a my dobrze to wiemy, iż ten naród najchwalebniej pokonywa wrogów, który umiał najpierw zwyciężyć w walce ducha i cnoty — w życiu swem własnem...

Do walki więc, bracia!... A im większe trudności — tem większa chluba będzie w zwycięstwie!

Pieniądz wśród narodów.

Minęły już bezpowrotnie te czasy, gdy pieniądz uważany był jako jedyny miernik bogactwa społeczeństw. Dziś wiadomo każdemu, iż w rachunku ogólnym mniejsza lub większa suma pieniędzy, jaką dany naród posiada, nie stanowi jeszcze bogactwa, lecz, co najwyżej, przyczynia się do tworzenia bogactw i ułatwia ich wymianę.

Gdy w roku 1885 Francya zawarła umowę (konwencyą) monetarną z Grecyą, Włochami i Szwajcaryą, znaną ogólnie pod nazwą Unii Łacińskiej, zobowiązała się zebrać i dostarczyć rządom tych państw wszelkich dokumentów administracyjnych i statystycznych, dotyczących wyrobu i zużycia pieniędzy wśród narodów. Zadanie to było nie łatwe, znaczyło to bowiem to samo, co przygotować materyały do najgłówniejszego opisu dziejów monety srebrnej i złotej. Dwanaście lat pracowano nad wywiązaniem się z tego zadania i oto teraz dopiero p. de Toville, dyrektor generalny mennic francuskich, ogłosił pierwszy rozdział tej pracy. Znajdujemy tam przeważnie szczegóły, obchodzące tylko specyalistów, niektóre jednak mogą obudzić także zainteresowanie wśród szerszych kół naszych czytelników.

Mennice francuskie wybijają monetę złotą nietylko dla Francyi i jej kolonii, ale także na potrzeby Rosyi, Chili, Etiopii, Marokanii i Księstwa Monaco. Jako produkt do wybijania nowych pieniędzy służy nietylko złoto w sztabach, ale i moneta stara, która z biegiem czasu ulega znacznemu zużyciu. Z obliczeń statystycznych, dokonanych w mennicy francuskiej, wypada, że sztuka 20-frankowa, nosząca nazwę luidora, a równa wagą rosyjskiemu półimperyałowi, traci co lat dziesięć tysiączną część swej wagi: ponieważ zaś na zużycie wśród obiegu odlicza się siedmtysiącznych części, przeto po upływie lat siedmdziesięciu moneta traci swą nominalną wartość i musi być na nowo odlana. Moneta srebrna jeszcze prędszemu podlega zużyciu, a to z tej głównie zasady, że im pieniądz ma mniejszą wartość minimalną, tem szybszym jest jego objekt i większem zużycie. Zauważyć się to głównie daje na monecie srebrnej; w większych sztukach przez dłuższy czas utrzymuje się wyrazistość rysunku, w mniejszych zaś w tym samym czasie rysunek ściera się zupełnie.



M. Nonnenbruch. **Z kostyumowego balu.**

We Francyi, od czasu wprowadzenia dzisiejszej jednostki monetarnej (1792 dla srebra, 1803 dla złota i 1852 dla bronzu) wybito ogółem pieniędzy za 14 miliardów i 180 milionów franków. Z ilości tej 8,871 milionów przypada na złoto, a 5,253 miliony na srebro. Rzecz naturalna, że niema tyle pieniędzy francuskich w obiegu. Pan de Toville przypuszcza, że połowę z tej ogólnej sumy przetopiono, zniszczono,



Polowanie.

zgubiono (np. w głębi morza) lub wywieziono z kraju bez możności zwrotu. Wywóz monety złotej bywa zazwyczaj chwilowy; zresztą na miejsce wywiezionej przybywa do kraju moneta obca, belgijska, grecka, szwajcarska, włoska i inne.

Niepodobna obliczyć dokładnie, ile pieniędzy znajduje się w poszczególnych krajach. Według rachunku przypuszczalnego, kapitał w monecie złotej wynosi we Francyi 7 miliardów 250 milionów franków. Pod tym względem kraj ten zajmuje pierwsze miejsce między innemi. Drugim z rzędu są Niemcy z 3-ma miliardami 125 milionami. A dalej kolejno idą: Stany Zjednoczone Ameryki północnej, mające do rozporządzenia 3 miliardy 90 milionów, następnie Anglia z 2,900 milionów i Rosya 2,400 milionów. Wszystkie inne kraje są pod tym względem znacznie uboższe. Gdyby pieniądze każdego oddzielnie kraju zebrano w jeden worek, to Francya mogłaby się poszczycić największemi rozmiarami.

Oprócz pieniędzy złotych, w każdym kraju kursuje mniejsza lub większa ilość pieniędzy srebrnych, niklowych, miedzianych i papierowych. Gdyby zliczono je wszystkie, a następnie liczbę tę podzielono przez ogólną liczbę ludności, to z tego rachunku teorytycznego każdy Francuz otrzymałby na swą osobę 180 franków, Amerykanin 117 fr., Anglik 113 fr. 75, Niemiec 85 fr. 50 i Rosyanin 42 fr. 50. Z tego też powodu w stosunku ilości pieniędzy, przypadającej na każdego obywatela z pośród pięciu najbogatszych krajów świata, naczelne miejsce znów zajmuje Francuz. Z tego to powodu Francya słusznie uchodzi za najbogatszą w zasoby pieniężne.

Gdyby pieniądz był istotnie miernikiem bogactwa, jak to dawniej sądzono, Francya mogłaby być uważaną za najbogatszy kraj na świecie. Tak jednak nie jest: bogactwem istotnem każdego narodu jest cały dobytek, wykonany pracą fizyczną lub umysłową. Ocenić dobytku tego dokładnie niepodobna, z tego też powodu niepodobna powiedzieć, który jest najbogatszy naród na świecie.

Słusznie zresztą powiedział jeden z myślicieli: „Szczęście nie zależy od tego, co posiadamy, ale od tego, czem umiemy się zadowolnić.“ Każdy z Francuzów wie bez obliczeń statystycznych, iż jakkolwiek łatwość wymiany dobytku, oraz kredyt, będący jedną z form tej wymiany, są we Francyi bardzo łatwemi, nie stanowią jednak istoty zadowalenia, jakie człowiek zyskuje tylko w pracy i spełnianiu swych obowiązków. Gdzie znajomość tych dwóch głównych zadań życia ludzkiego jest najbardziej rozpowszechnioną i najszerzej stosowaną, tam naród może nazywać się najbogatszym i jest nim istotnie. A tylko za takiem bogactwem w ślad idzie szczęście ludzkie.

Dziesięć rad dla cierpiących na płuca.

Około 180,000 ludzi umiera rocznie na suchoty w samych tylko Niemczech. W samem tylko Królestwie Polskiem, podług dra Dunina, mamy przypuszczalnie 150.000 suchotników; umiera zaś na gruźlicę rocznie 25.000 osób, a zatem na milion mieszkańców przypada przeszło 2.500 wypadków śmierci jedynie wskutek tej choroby. Dla skutecznego i trwałego zwalczania cierpień płucnych, zwłaszcza gruźlicy, jako choroby społeczno-narodowej, koniecznie potrzebne jest współdziałanie mądrego rządu, uzdolnionych lekarzy oraz oświeconego narodu. W celu wyrobienia pierwszego stopnia takiej oświaty w naszym narodzie podajemy tu następujących ważnych 10 rad:

1. Lubuj się zawsze i wszędzie w czystem, świeżem powietrzu, a unikaj

zepsutego powietrza. A zatem nie przesiaduj godzinami w lokalach, napełnionych dymem cygar, ale raczej odprawiaj „uczty powietrzne'', abyś mógł silnie oddychać i wyrzucać zarazki płucami, tak, jak młockarnia odrzuca plewy od ziarna. Największem socyalnem nieszczęściem jest powietrze szczelnie zamkniętych pomieszkań. Staraj się o dostateczne przewietrzenie (wentylacyę) pomieszkania, a mianowicie za pomocą przewiewu (przeciągu), t. j. otwieranie okien i drzwi; dalej przebywaj na powietrzu i na słońcu.

2. Nie pluj na podłogę.

3. Zamiast wódki, koniaku, piwa itp., pij dobrą, czystą wodę, kwas łdzieżny, soki owocowe lub mleko.

4. Wystrzegaj się nie tylko napojów spirytusowych, ale również pokarmów ostro przyprawionych, wzbudzających pragnienie.

5. Od palenia tytuniu powstrzymaj się najlepiej zupełnie.

6. Codziennie zmywaj wodą całe ciało, a co najmniej górną połowę ciała.

7. Unikaj wszelkiej kurzawy i dymu.

8. Nie wdychaj powietrza przez usta, lecz przez nos.

9. Wystrzegaj się wszelkich zbytnich wysiłków, tak cielesnych, jak duchowych, w szczególności zaś wysileń płciowych.

10. Nie bądź gniewliwym, ale staraj się być zawsze wesołym i pełnym wiary w lepszą przyszłość.

Rozmaitości.

Kawa bez kofeiny. W „La Nature'' opisuje Marceli Dubard, rektor Sorbony paryskiej, nowy gatunek kawy, z tego względu szczególny, że nie ma w nim kofeiny.

Znana jest powszechnie podniecająca własność kawy dzięki temu, że zawiera kofeinę, — alkaloid, który po odosobnieniu układa się w przeźroczyste białe kryształki.

W różnych gatunkach kawy kofeina zawiera się w rozmaitych ilościach: tak n. p. najbardziej rozpowszechniona w handlu kawa z plantacyi arabskich w każdym kilogramie towaru posiada 8 do 16 gramów kofeiny; jeszcze większy procent, bo aż 20 gramów na 1 klgr. zawiera kawa z krzewów rosnących w Kongo (Coffea Canaphora).

W roku 1885 Baillon opisał nowy gatunek krzewu kawowego z wysp na północ od Madagaskaru, zwany Coffea Humboldtiana. Gatunek ten zewnętrznie mało różnił się od krzewów kawowych Arabii i nawet uważano go jedynie za zwyczajną odmianę.

Dopiero w kilkanaście lat później w 1901 roku Gabryel Bertrand dokonał analizy ziarna i stwierdził, że jest ono zupełnie wolne od kofeiny, a zarazem całym szeregiem analiz dowiódł, że to nie zależy od składu chemicznego gruntu, na którym roślina wzrosła, gdyż krzewy kawy arabskiej w najrozmaitszych miejscach hodowane, zawsze zawierały w swych owocach przeciętną dla tego gatunku ilość kofeiny..

Przez kilka lat następnych nie słychać jakoś było o kawie bez kofeiny. Ale w tym właśnie okresie Bertrand na wyspie Bourbon (na wschód od Afryki) wynalazł krzew kawowy, którego ziarnka zawierały ledwie 0,7 grama kawy kofeiny na kilogram wagi kawy. Krzew ten noszący nazwę Coffea Mauritiana, niezmiernie jest rozpowszechniony w lasach rzeczonej wyspy.

Prowadząc dalsze poszukiwania, odkrył p. Bertrand przed kilkoma miesiącami w północnej częśli Madagaskaru około zatoki Diego-Suarez w dzikim stanie trzy nowe rodzaje krzewów kawowych: Coffea Callieni, Coffea Bonnieri, Coffea Mogeneti zupełnie pozbawione kofeiny. Nowe te odmiany pod względem typu botanicznego dosyć różnia się od innych gatunków kawy.

Na uwagę zasługuje okoliczność, że wszystkie te odmiany krzewu kawowego, nie posiadające w swych owocach kofeiny, rosną w dzikim stanie w ograniczonym tylko pasie terytoryalnym: na północy Madagaskaru i na pomniejszych wyspach sąsiednich.

Kawa bez kofeiny nie weszła jeszcze w użycie. Ale bezwarunkowo zyska sobie szerokie rozpowszechnienie z chwilą, gdy za pomocą prawidłowej kultury hodowlanej uda się ziarnka kawy pozbawić goryczki uniemożliwiającej narazie konsulcyę. Wówczas miłośnicy kawy będą mogli do woli raczyć się tym napojem bez szkody dla zdrowia.

* * *

Zapadająca się wyspa. Widowną niezwykłego zjawiska przyrody staje się Ustica, położona na północ od Palermo. Depesze doniosły, że mieszkańcy jej tłumnie opuszczają swe siedziby w obawie kataklizmu — od połowy marca zauważono na wyspie wstrząśnienia ziemi, którym towarzyszyły potężne grzmoty podziemne tak, że powstała obawa, iż wyspa może zupełnie zapaść się w morze. Większość mieszkańców wyspy, pośród których znajduje się kilkuset t. zw. „coatti'', t. j. skazanych na przymusowe osiedlenie przestępców, przewieziono okrętami królewskiej marynarki, oraz Tow. „Nawig. Gen.'' do Palermo. Miasteczko Ustica, leżące na wschodnim cyplu wyspy, tuż koło portu Cala di S. Maria, jest obecnie jak wymarłe: sklepy pozamykane, domy w większej części opustoszałe. — Pozostali chwilowo tylko urzędnicy, niewielki zastęp służby i pasterze trzody, oraz ci, którzy muszą pozałatwiać interesa lub pragną zabezpieczyć swe mienie na zagrożonej ziemi. Ale nawet i ci nie nocują już w swych domach, lecz w namiotach na brzegu morza lub w łodziach, gotowi każdej chwili do ucieczki przed potężnym żywiołem. Zagrożona zagładą wyspa leży samotnie na morzu Tyrrejskiem, w odległości 60 kil. na północ od Palermo. Powierzchnia jej wynosi zaledwie 9 kilometrów kwadratowych; jest ona wygasłym w czasach przedhistorycznych kraterem, którego najwyższy punkt, Punta di Maggiore, wznosi się 239 m. ponad zwierciadło morza. Jak wogóle wszystkie wulkaniczne formacye dawnych czasów, jest i gleba wyspy nader urodzajna. Rodzi się tam obficie wino, oliwa i zboże, a ludność wyspy wynosi według ostatnich obliczeń okrągło 2400 dusz. Pierwszymi mieszkańcami tej wyspy byli Fenicyanie; od nich przeszła do Rzymian. — W wiekach średnich była Ustica wskutek burzliwych czasów słabo zamieszkaną, a w roku 1762 została, wskutek napadów korsarzy maurytańskich, zupełnie wyludnioną. To samo dzieje się obecnie z powodu groźnych objawów siły wulkanicznej, której wyspa zawdzięcza swe powstanie.

* * *

Jak kret przepowiada pogodę. Od dawna zauważono, że stan pogody wpływa na zachowanie się kretów, co zresztą nikogo dziwić nie powinno, gdyż i inne zwierzęta, ptaki, a nawet człowiek w pewnych razach naprzód odczuwa zmianę pogody. U kreta jednak, według naturalistów, ma być ta zdolność w wysokim stopniu rozwinięta i stale się objawia w rozmaitem jego zachowaniu się. Kret przepowiadać może deszcz, burze, a nawet suszę podług reguły następującej: Gdy wyrzuca długie, powierzchowne korytarze, czyli, gdy tuż pod powierzchnią idzie, to oznacza wiatr; gdy przytem wyrzuca małe kupki ziemi, oznacza to wiatr i deszcz; gdy robi wiele dużych kretowisk, to będzie długotrwały albo też obfity ulewny deszcz; gdy w starych kretówkach na nowo ziemię wyrzuca, przepowiada burzę; gdy przytem zostawia dziury otwarte, to będzie burza z grzmotami; przed nadzwyczajnemi ulewami (oberwaniem chmury i t. p.) łazi pod samą powierzchnią wśród darni, jak gdyby w ziemi było mu niewygodnie, natomiast przed długotrwałą posuchą chowa się do głębszych warstw

ziemi. Czy wpływa na to stan wilgoci w powietrzu i elektryczności w ziemi, że krety na kilkadziesiąt godzin naprzód odczuwają zmiany pogody, trudno zbadać, ale wiadomość o tych spostrzeżeniach może niejednego z czytelników zaciekawi, a może się i przydać.

* * *

Piwo. Już Gallus i Ditmar wspominają, że Bolesław Chrobry pił chętnie piwo, co dało Syrokomli asumpt do skreślenia następującego wiersza:

„*Niemcy nam chcieli ukraść Kopernika*
Z przywłaszczonego odarto ich blasku
Chcieli nam dowieść, że piwo wynika
Z ich wynalazku.

Ale w Ditmara pismach zostawiona
Pamiątka stara, kronikarska żywa,
Bolesław Chrobry przyjmował Ottona
Kufelkiem piwa.“

Historycznie stwierdzonym jest faktem, że opactwo Benedyktyńskie w Tyńcu już w XII-ym wieku posiadało własny swój browar. Długosz powiada, że Konrad, ks. Cieszyński, żyjący w XIV-tym wieku, proboszcz wrocławski, zrezygnował z godności arcybiskupa w Salzburgu „albowiem nie było tam piwa pszenicznego, do którego z dzieciństwa przywykł“. Cech piwowarski już istniał w Krakowie w roku 1458-ym i piwowarzy mieli swoją basztę do obrony w razie oblężenia. — Taksa żywności w ratuszu krakowskim w roku 1573 stanowi, aby piwo warzono tylko z czystej pszenicy. Stąd poeta Miaskowski nazywa piwo napojem z „pszennej jagody“. Lecz w XVI wieku jęczmień wziął górę nad pszenicą. Prawo w roku 1685-ym przepisywało tylko, aby na 10 korcy jęczmienia obowiązkowo dodawano 2 korce czystej pszenicy. Różne już były smaki piwa, a wybrednym piwoszom przypomina książę naszych poetów, Jan Kochanowski.

„*Gniewam się na te pieszczone ziemiany,*
Co piwu radzi szukają przygany;
Nie pij, aż ci się pierwiej będzie chciało,
Tedyć się każde dobrem będzie zdało.

Właściciele piwiarni i handelków powinnyby ten czterowiersz umieścić nad bufetem ku pociesze pijących „ostatki“.

Humor i satyra.

Wyprawa do Alaski.

(Djalog matki z córką).

— Patrzajno mamo, co za nowina!
Co też w gazecie tu stoi...
— Stoi? w gazecie? Głupia dziewczyna,
Widzicie państwo no moi!

— Jak mamę kocham! — Jeżeli łaska,
Niech mama sama przeczyta:
Tam, w Ameryce, w Stanie Alasca,
Królową każda kobieta.

Wszakże wyraźnie całkiem tu pisze,
Że są tam złota kopacze:
Różni Polacy, Włosi, Ajrysze *),
A wszystko — chłopy wąsacze.

Sami mężczyźni, ci chciwcy złota,
Mnóstwo tam kwiatu młodzieży,
Lecz rzadka tam jest żeńska istota,
Proszę! Czy mama uwierzy?

Na tych pionierów 10 tysięcy,
Co kopią ziemię by krety,
Są tam wszystkiego, ni mniej ni więcej,
Jak cztery tylko kobiety.

— O!! Co ty mówisz, kochana córo?
Jeśli naprawdę — *tak stoi,*
Pakuj manatki, najbliższą furą
Jedziemy zaraz na kolej!...

Tam do Alaski! To mi kraj złoty,
Gdzie taka mężczyzn nawała...
Pewno i ja też, pełna tęsknoty
Tambym się na coś przydała...

* * *

Do rozwodu.

(Autentyczne).

Do sędziego pokoju w Paryżu przychodzi para małżeńska, która po dziesięcioletniem pożyciu chce się rozwieść. „Czy macie dzieci?“ — pyta sędzia.

„Tak jest — córkę i dwóch synów; to jest właśnie główny powód dla którego nie możemy się pogodzić, bo moja żona chce zatrzymać dwoje i ja także.“

„Dobrze — powiada sędzia — w takim razie poczekajcie na czwarte dziecko a wtedy ja was podzielę.“ — Małżeństwo zgodziło się na to i sędzia odtąd nic o nich nie słyszał. Ale po dwu latach, spotyka męża i pyta go co słychać. „Ach panie sędzio, mówi z żalem małżonek — z rozwodu znowu nic być nie może!“ — „Dlaczego?“ — „Bo żona moja powiła zamiast jednego — bliźnięta i teraz jest znowu pięcioro i znowu nie możemy się równo podzielić.“

* * *

Z cyklu „Miłość żydowska.“

Miłość a asekuracya.

— Rebekusiu ty słodki, ty czekoladowy anieli! Gdybyś ty wiedziała jak ja ciebie kocham?

— Nu? co byś miał z tego?

— Rebeko! Nie doprowadzaj mnie do myszygienstwa, bo ja sobie — broń Boże! — coś niedobrego zrobię!...

— Nu? Co ja bym miała z tego?

— Rebekunciunciu, przestań być tak zimna, przestań mie drażnić! Pokochaj mnie choć na pary mynuty a ja ciebi oddam wszystko: majątek, honor firmy, oddam ciebi nawet moje życie!...

— A na wieli ono jest sykirowane?

* * *

Mała trudność.

Ojciec. Panie! pan pocałował moją córkę. Czy wiesz pan co masz teraz uczynić jako gentleman?

— No?

Ojciec. Mnie prosić o jej rękę!

— Może pan ma i racyę, ale w takim razie muszę najpierw kilku innych ojców o ich córki poprosić!

* * *

Między małżeństwem.

Żona. — Nie wysłałeś mnie do wód, może byś mi kupił za to nowy kostyum.

Mąż. — O z chęcią, ale chyba kąpielowy. Gdy go weźmiesz, będzie ci się zdawało, żeś w kąpielach.

* * *

U doktora X.

— To jest poczekalnia?
— Tak.
— A tu obok?
— Także poczekalnia.
— Jakże — dwie?
— A tak!... Tam czeka pan doktor — i to godzinami nieraz na pacyentów!...

*) Irisch.

Zagadki.

I.

Powiadają, że żyd tylko pieczony jest dobry. Są jednak kobietki, ktore pieczone również są smaczne. Które?

II.

Którzy kandydaci bywają egzaminowani dopiero wtedy, gdy cel swój osiągneli?

III.

Kiedy się kosi siano?

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 22-go b. m.

Rozwiązanie zagadki z nr. 35-go:

1) Zającowi najbardziej dokuczają zęby, kiedy go pies gryzie.

2) Liter w abecadle jest 8: a, b, e, c, a, d, ł, o.

3) Przy obiedzie najpotrzebniejsze są usta.

Nikt dobrze nie rozwiązał.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Rzeź Pragi.

Powieść historyczna przez **Teodora Tomasza Jeża.**

6)

(Ciąg dalszy.)

Ileż to razy stary pan Solicki nie wychwalał przepisów koranu, pozwalających żony pod kluczem trzymać!... Wyznawał się otwartym chrystyanizmu przeciwnikiem, przeciwko któremu w Wolterze, takim modnym jeszcze z czasów stanisławowskiej epoki,czerpał argumenta. Zlał w jedno Mahometa i Woltera, a tylko z powodu żony, i nastawał na reformę zwyczajów i obyczajów, które jak twierdził zbyt są pobłażliwe dla kobiet i zbyt uciążliwe dla mężczyzn. Z naszej strony to dodamy,że miałby może racyę, gdyby zamiast mężczyzn, mówił starych mężów. Ale, chociaż on tego nie mówił, można jednakże było domyślać się. Rola starego męża, jaką grał na teatrze wielkiego świata, wielce go trapiła; — a zresztą był to człowiek, przeciwko któremu nic złego nie można było powiedzieć. Lepszych od niego nazywają dobrymi, gorszych, złymi: on więc trzymał środek pomiędzy względami — i byłby przeszedł przez świat niepostrzeżony, — byłby tylko śmiercią swoją uradował na chwilę swoich spadkobierców — gdyby nie żona, która: spadkobierców zatrwożyła, jego utrapiła, i w świecie zrobiła mu opinię, bez której mógł się obejść.

A ta żona... Ot, wiecie co, łaskawi czytelnicy, że ja na nią nie cisnę kamieniem potępienia. Ona była sobie lekkomyślną, ale dla tego, że jej od dzieciństwa świat z zabawnej tylko strony pokazano, z tej strony, z której się nad życiem nie myśli, tylko życia używa. Ona nie wyszła za mąż, ale zrobiła partyę, i była sama sobie konsekwentną, ciągnąć z tej partyi takie korzyści, jakie jej się wydawały najlepszemi, i jakie pociągnąć się dawały.

Od dzieciństwa ogłuszona i oślepiona, widziała wszystko tylko z wierzchu, nie zastanawiała się nigdy, ani nad światem, ani nad życiem, ani nad sobą, nie doznawała wrażeń innych, tylko przemijające, a uczucie kierowała — kaprysem. To znaczy: że przeżyła lat dwadzieścia parę, odbyła ceremoniał panieństwa i ceremoniał zaślubin i — ceremoniałami rozgarnione serce, nie miało czasu w niej się odezwać, a to dla tego, że może nie natrafiło na odpowiednie sobie serce.

Zaszła w niej jednakże niepospolita zmiana, gdy w szeregach wielkoświatowych lwów, w postaci lwa łaszącego się, stanął przed nią pan Michał.

Pan Michał odwrócił się od panny Antoniny, a zwrócił się do pani Solickiej. W odwróceniu się jego i zwróceniu było to, co powiada:

— Gdzie mnie lekceważą, tam ja się narzucać nie myślę... Co tracę w jednem miejscu, to odszukam w drugiem... Świat szeroki, a na świecie nie jedna tylko panna Antonina...

I stanął obok pani Solickiej, i nawet niby nie spoglądał w stronę hrabianki. Zachwycał się czarnemi oczami i kruczemi warkoczami, w jakie natura przyozdobiła młodą mężatkę.

A ta, z radośnem sercem przyjęła nowego hołdownika, z tem radośniejszem, że przechodził do niej z obozu hrabianki, z obozu, który w salonowej sferze rywalizował z obozem pani Solickiej: bo nad niemi odmienne sztandary i znamiona powiewały.

— Trudno mi panu wierzyć... — mówiła na pewnym wieczorze ta ostatnia do pana Michała. — Trudno mi uwierzyć, abyś pan mógł o hrabiance zapomnieć...

— Ale przestałeś pan kochać... — dokończyła pani Solicka, widząc, że po „ale'' Michał nie umiał znaleść wyrazu.

—Tak... przestałem... — rzekł Michał dobitnie.

— Jeżeli pan siebie sam nie łudzi, to można panu powinszować , ale nie można się dziwić... Zrzec się takiego skarbu, jak hrabianka, to więcej jak poświęcenie...

— A! — podchwycił pan Michał — tylko niech mnie pani na podnóżku poświęcenia nie stawia... Poświęcenie byłoby w ówczas dopiero, gdyby była bezinteresowność.... Zrzekłem się skarbu dla klejnotu cenniejszego... W tem bezinteresowności nie ma, a więc nie ma i poświęcenia...

Zamieniali ze sobą parę pobieżnych, ale wymownych spojrzeń, a pani Solicka rzekła:

— Jaki pan skromny!... — Nie podejrzywałam w panu tej cnoty...

— Bawicie się państwo w poufałość... — rzekł pan Solicki, zbliżając się i uśmiechając.

— W szarady i zagadki... — odparła pani — tylko odwrotnie: najprzód stawi się rozwiązanie, a potem zagadka...

Pan Solicki uśmiechnął się i dobył chustkę do nosa, dla kontenansu, bo nos jego był w takim stanie, że nie potrzebował żadnej troskliwości. Utarł go jednak i zapytał:

— Jakież rozwiązanie?...

— Poświęcenie i bezinteresowność... — odpowiedziała pani. — Chodzi o to, aby do nich dobrać szaradę lub zagadkę... Może nam w tem pomożesz mój drogi?...

— To trudno... — odparł mąż, zwracając mowę do pana Michała. — Nadzwyczajnie mam ciasną do wszelkiego rodzaju zagadek głowę... Żadnej jeszcze nie rozwiązałem...

— Hm!... — odparł Michał, a pani Solicka zachęcała męża:

— No! ale... sprobuj... Może ci się uda.

Powstał pan Solicki, pomyślał, popatrzał na młodą parę, z której jedno naiwnie w oczy mu patrzało, niby ożywione oczekiwaniem odpowiedzi, drugie o nic siebie nie dawało podejrzywać, — postał pan Solicki, pomyślał. i poszedł kończyć karty, a młoda para ciągnęła dalej przerwaną rozmowę.

Zdaleka spoglądały na nią oczy panny Antoniny. Hrabianka była smutną.

— Pani taka smutna... — mówił do niej Stanisław.

Panna Antonina nic nie odpowiedziała, tylko głową lekko wstrząsnęła, jakby na spędzenie z czoła smutku, i uśmiechnęła się.

— Ot, widzisz pan, że nie jestem smutną....

— Widzę maskę uśmiechu, za którym ukrywa się jakaś tajemnica...

— Tajemnica!... — zawołała panna Antonina, lekko zdziwiona. — Ach! prawda... tajemnica..... To nie ma sposobu ukryć się, że się ma tajemnicę?...

— Nie ma sposobu, ale nie ma i potrzeby... — odrzekł Stanisław. — Tajemnicą okrywa się tylko....

— Co?... zapytała hrabianka, widząc, że się Stanisław zaciął.

— Tylko.... występek.....

I dodał pospiesznie:

— A ja nie przypuszczam, abyś pani coś podobnego potrzebowała przed oczami świata zakrywać...

Panna Antonina lekko się zapłoniła i lekko westchnęła, a po chwilce milczenia, rzekła:

— Coś na to wygląda, jakbyś pan chciał, abym przed panem wygadała...

— Nie!... — podchwycił Stanisław, podnosząc dłoń na znak solennej prostelacyi. — Niech mnie od tego Pan Bóg broni!... nigdy nie byłem ciekawy...

—Nie o ciekawość, panie Stanisławie, chodzi... — przerwała panna — ale o to, że pan jesteś moim przyjacielem... Wszak tak?...

Stanisław pochylił głowę.

Panna dalej ciągnęła:

— A będąc moim przyjacielem i widząc mnie smutną, chciałeś przeniknąć przyczynę...

Chciał coś Stanisław powiedzieć, lecz panna Antonina nie przypuściła go do słowa:

— Takiem jest przyjaźni prawo, którego jej zaprzeczyć nie można... Rozumiem to, panie Stanisławie, i nie obraziłbym się, gdybyś pan mnie wręcz zapytał: jaką jest twoja tajemnica?... Wyznałabym ją bez wahania... Wyznałabym ją bez zapytania... Nie robię tego z tej jedynie przyczyny, iż wiem, że to nie lekko obarczać się cudzą tajemnicą...

Tu znów chciał coś Stanisław wtrącić, lecz znów mu panna Antonina przerwała:

— Jednakże uczynię panu jedno zapytanie, mojej tajemnicy się tyczące, którego ja sama dobrze sobie rozwiązać nie umiem: co pan myśli o poświęceniu?...

Stanisław potarł czoło dłonią, i odpowiedział:

— Niewyraźnie mi pani dałaś zapytanie... Nie wiem, jak pani na nie odpowiedzieć...

Panna Antonina uśmiechnęła się:

— Umyślnie — odrzekła — ogólnikowym zapytałam sposobem, dla tego, aby otrzymać ogólnikową odpowiedź, do której zastosowanie ja sama chcę już zrobić... Mogę jednakże inaczej pana zapytać: na czem, według zdania pańskiego, opierać się powinno poświęcenie?...

— Na bezinteresowności... — odparł Stanisław, bez namysłu.

Panna Antonina zamyśliła się.

— To, jeżeli dla kogoś, albo dla czegoś poświęcamy się... — rzekła po chwili — a poświęcając się, dogadzamy sobie, to w tem już jest interesowność, i nie ma poświęcenia...

— Otóż widzi pan... — podchwyciła panna, prawie wesoło — o to mi tylko chodziło... Potrzebowałam dla sumienia mego, abyś pan potwierdził to, czego się domyślałam... A, żeś pan potwierdził, przeto lepsze o własnej domyślności powzięłam wyobrażenie...

— Pani!... — przerwał Stanisław... — Pani mnie zanadto podwyższa, a siebie zanadto nisko stawia... Przekonany jestem, że i bezemnie pani o tem wiedziała...

— Wiedziałam, panie Stanisławie, ale nie dokładnie...

Jakiś ruch w salonie przerwał rozmowę i zbliżył obydwie pary, tak, że wszystkie cztery osoby mogły sobie wzajemnie w oczy spojrzeć.

W oczach jest wymowa, z którą trzeba się znać, to jest: pojąć ją może psycholog, dla którego tajemnice duszy ludzkiej tajemnicami nie są, który to nawet zbadał, jakim one wyrazem tryskają z oczu. Bo, że „oczy są duszy zwierciadłem'', to wielka i niezaprzeczona prawda. Nad oczami można panować, ale do tego osobnej potrzeba wprawy, i jeszcze nie każdy nabyć jej w stanie. Nasze obie pary nie miały tej wprawy, i dla tego psycholog-postrzegacz, wyczytał by ze wzroków następujące rzeczy:

Panna Antonina mówiła:

— Żal mi ciebie, Michale... Wszedłeś na drogę, na której ani iść z tobą, ani z której zawrócić ciebie nie mogę... Kocham ciebie, ale miłości nie chcę na pokalanie wydawać... Będę więc czekała, może doczekam się ciebie takim, że będę mogła w ręce twoje złożyć ten skarb, który w sercu dla ciebie noszę...

Pan Michał mówił:

— Hardaś, i ja hardy... Chcesz mnie nagiąć; ja się nagiąć nie dam... ale będę próbował, czy mi się nie uda nagiąć ciebie... Tyś kobieta. U was w sercu siedlisko wielkich namiętności, nad któremi, kto chce waszym być panem, potrzeba, aby umiał panować... Ty mnie kochasz, wiesz o tem... Ja ciebie kocham, ty wiesz o tem... Trzeba więc, żebyś i o tem wiedziała, że ja nie chcę być mężem pod pantoflem... Z tobą, co moją masz być żoną, nie chcę się bawić, ani w kłamane uczucia, ani w naciągane stosowanie się do twoich egzaltowanych o powinnościach męskich wyobrażeń... Znając się z tobą od dzieciństwa, niebym na tem nie zyskał, gdybym w oczach twoich chciał uchodzić za innego, jakim jestem... Mógłbym cię olśnić, ale źle bym na tem wyszedł... Wolę rozbudzić w twojem sercu zazdrość i zniewolić cię do uznania mnie...

Stanisław miał jedno tylko oko, i dla tego może niewyraźnie jego dusza w niem się odbijała. Dawało się jednakże dostrzedz, jakieś nieukontentowanie, jakiś niesmak, połączone z wewnętrznem zadowoleniem czy uznaniem, dawała się dostrzedz jakaś sprzeczność w myślach, coś takiego, jakby po potakiwaniu następowało przeczenie, a potem znów potakiwanie — jakby coś mu się podobało, coś znów obok niepodobało, i jakby jednocześnie o jednem i drugiem sądził.

Pani Solicka była najwyraźniejszą. Na jej wzroku malowało się wielkie zapytanie:

— Co to się mnie stało?... — mówiła. — Co się ze mną stało?... Niedawno byłam inną; w tej chwili jestem inną...

Zaszła w niej zmiana, z której przed czytelnikami nie robili sekretu. Pani Solicka pokochała.

Serce, nad którem ona dotychczas samowładnie panowała, zapanowało nad nią. Ta równowaga, jaka sama niejako w jej piersi się ułożyła, zwichnęła się na stronę uczucia. Młoda mężatka sama siebie poznać nie mogła, sama sobie się dziwowała, zupełnie tak, jakby, przypuśćmy, ktoś spojrzał w zwierciadło i w zwierciedle nie swoją, ale obcą jakąś twarz obaczył. Takie zjawiska nie zdarzają się, chyba w bajkach. To też przytaczam go tylko, jako przypuszczenie, dla dobitniejszego oddania zdziwienia, jakiemu uległa pani Solicka z powodu zaszłej z nią zmiany.

Kiedy i jak ta zmiana zaszła? jak się poczęła? jakim sposobem ziarno jej padło, zakiełkowało i wystrzeliło? — są to pytania ciekawe i tem ciekawsze, że rozwiązanie ich wymaga badania nad duszą kobiety; ale pozwolę sobie pominąć je i tylko w rezultacie podam goły fakt: że pani Solicka pokochała nie męża, ale pana Michała.

I pokochała nie żartem.

Kobietę, szczególnie mężatkę, a pomiędzy mężatkami szczególnie kokietkę, można poznać, kiedy miłość w jej duszę zapadnie. Czegoś jej raptem zabraknie. Czegoś szuka, za czemś goni; zmienia swoje postępowanie.

Pani Solicka do tego stopnia zmieniła swoje postępowanie, że pewnego poranku, czego przedtem nie bywało, zaanonsowała się u męża. Pan Solicki nie przewidując co go spotka, w pantoflach, szlafroku i szlafmycy, pił czekoladę z wanilą i szeroko otworzył oczy, kiedy mu lokaj oznajmił, że:

— Jaśnie wielmożna pani kazała zapytać jaśnie wielmożnego pana, czy może mu oddać dzień dobry....

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Adam Szymański.

Srul z Lubartowa.

Było to w roku... ale mniejsza o rok, dość, że było, a było w Jakucku w początku listopada, w kilka jakoś miesięcy po moim przyjeździe do stolicy mrozów.

Ciepłomierz wskazywał trzydzieści pięć stopni zimna. Ze strachem więc myślałem o przyszłym losie mego nosa i uszu, które, jako niedawno przywiezione z zachodu, dotąd zawsze dotkliwie dla mnie znaczyły swój protest cichy przeciw aklimatyzacyi przymusowej, a dziś właśnie miały być wystawione na przydłuższą próbę. Groziła mi ta próba, ponieważ parę dni temu w szpitalu miejscowym umarł jeden z członków naszej kolonii, Kurp, Piotr Bałdyga, i dziś rano mieliśmy oddać mu ostatnią przysługę: złożyć w ziemi sterane jego kości.

Czekałem tylko na jednego ze znajomych, który miał zawiadomić mnie o czasie pogrzebu; czekałem niedługo i, zabezpieczywszy najstaranniej nos i uszy, podążyłem za innymi ku szpitalowi.

Szpital był za miastem.

W podwórzu, trochę opodal od innych budynków, stała szopa niewielka — trupiarnia.

W tej to trupiarni leżało ciało Bałdygi. Otworzono drzwi — weszliśmy, i wnętrze na całej naszej garstce przykre wywarło wrażenie. Było nas z dziesięciu, może kilkunastu, i wszyscyśmy mimowoli spojrzeli po sobie: staliśmy wobec rzeczywistości zimnej i nagiej, nie okrytej żadnym łachmanem pozoru... W szopie, nie mającej ani stołu, ani stołka, nic, okrom ścian, ubielonych śnieżnym szronem, na podłodze, śniegiem zasypanej, leżał również ubielony, zawinięty w jakieś prześcieradło czy koszulę, ogromny, wąsaty trup. Był to Bałdyga.

Ciało zmarzło okropnie i aby łatwiej je było włożyć w przygotowaną już trumnę, przysunięto je do drzwi, ku światłu.

Nigdy nie zapomnę twarzy Bałdygi, którą ujrzałem teraz w świetle dziennem, oczyszczoną ze śniegu. Surowe oblicze nacechowane były dziwną jakąś grozą, a z szeroko otwartych oczu wielkie źrenice, zda się, z wymówką sterczały het daleko, ku mroźnemu, surowemu niebu.

— Zmarły był chłop zacny — opowiadał mi tymczasem jeden z sąsiadów, widząc wrażenie, jakie na mnie wywarł widok Bałdygi; — zawsze był zdrów i pracowity, więc zawsze przygarniał i przytulał koło siebie kogoś z biedniejszych; tylko że to i uparty był, jak Kurp, więc wierzył do końca, że wróci nad Narew. Widocznie jednak przed śmiercią zrozumiał, że tak nie będzie.

Włożono tymczasem skamieniałe zwłoki do trumny, postawiono na małe, jednokonne sanki jakuckie, i gdy krawcowa W., pełniąca w danym razie, jako praktyk religijnych świadoma, obowiązki księdza, zaintonowała donośnie: „Witaj Królowo nieba, w smutku i radości“, podtrzymując ją urywanemi głosami, ruszyliśmy ku cmentarzowi. Jesteśmy nareszcie na cmentarzu, rzucamy po grudce zmarzłej ziemi na trumnę. Kilkanaście wprawnych uderzeń rydlem... i po chwili tylko mała, świeżo usypana kupka ziemi świadczy o niedawnem jeszcze istnieniu Bałdygi na świecie. Świadczyć jednak będzie niedługo, kilka miesięcy zaledwie; nadejdzie wiosna, — ogrzana słońcem kupka mogilna roztaje, zrówna się z ziemią, porośnie trawą i zielskiem, — po roku, dwóch wymrą lub rozejdą się po świecie szerokim świadkowie pogrzebu, i choćby cię matka rodzona szukała, nie znajdzie już nigdzie na ziemi! Aleć i szukać tu nikt zmarłego nie będzie, i pies nawet o cię nie zapyta.

Wiedział o tem Bałdyga, wiedzieliśwy i my — i w milczeniu rozchodziliśmy się do domów.

* * *

Nazajutrz po pogrzebie mróz stężał jeszcze. Po drugiej stronie dość wązkiej ulicy, na której mieszkałem, nie było widać ani jednego budynku. Gęsta mgła śnieżnych kryształów, jak chmura, zawisła nad ziemią. Z poza mgławicy tej nie wyzierało już słońce. Ale, chociaż na ulicy żywej d[illegible]zy nie było, powietrze, niepomiernie od wielkiego zimna zgęszczone, donosiło ciągle do mych uszu to metaliczne dźwięki skrzypiącego śniegu, — to huk rozsadzanych w ścianach domów grubych bierwion lub pękającej szerokiemi szczelinami ziemi, — to podobny do jęku żałosny śpiew Jakuta. Widoczne zaczynały się owe mrozy jakuckie, wobec których bledną najokropniejsze zimna biegunowe, wobec których strach jakiś niewypowiedziany ogarnia człowieka, a każdy organizm żywy, czując swą niemoc zupełną, choć skupia się w sobie i kurczy, jak pies znędzniały, otoczony zgrają ciętych brytanów, wie dobrze, że to napróżno, że wróg nieubłagany prędzej czy później zwycięży.

I Bałdyga, jak na jawie, coraz częściej stawał przedemną. Od godziny siedziałem nad rozłożoną robotą. Robota jednak nie kleiła mi się jakoś, pióro samo wypadało z ręki, i myśl nieposłuszna wyrywała się daleko poza granice śnieżnej i mroźnej ziemi. Napróżnom odwoływał się do mego rozsądku, napróżnom powtarzał sobie poraz dziesiąty rady lekarza; dotąd trawiącej mnie od kilku tygodni chorobie stawiłem jaki taki opór, —dziś czułem się zupełnie obezwładniony, bezsilny. Tęsknota za krajem pożerała mnie, trapiła nielitościwie.

Tyle już razy nie mogłem oprzeć sięułudnym marzeniom! — czyżbym dziś mógł się ostać pokusie? I pokusa była silniejszą, i ja sam słabszy, niż zwykle.

Precz więc mrozy i śniegi! precz rzeczywistość jakucka! Rzuciłem pióro, i otoczony chmurami dymu tytoniowego, puściłem wodze rozgorączkowanej wyobraźni.

To też poniosła mnie swawola!...

Przez tajgi i stepy, góry i rzeki, przez carstwa i ziemie niezliczone pomknęła myśl lotna na daleki zachód, roztaczając przedemną czary prawdziwe, nędzy i złości ludzkiej pozbawione, piękna i harmonii pełne, moje niwy nadburzne. Usta me dziś nie opowiedzą, pióro opisać nie zdoła tych czarów!

Widziałem łany pozłociste, łąki szmaragdowe, las[illegible] starce, dawne dzieje mi szemrzące.

Słyszałem szum fal kłosistych, gwar bożych pieśniarzy skrzydlatych, rozhowor dębów olbrzymów, hardo wichrom urągających.

I napawałem się wonią tych lasów balsamicznych i tych pól kwiecistych, ubarwionych dziewiczą świeżością chabrów niebieskich, krasów wiosny — fiołkiem niewinnym.

...Każdy mój nerw czuł muskanie powietrza rodzinnego... Czułem ożywcze działanie promieni słonecznych, a choć na dworze mróz zgrzytał jeszcze wściekłej i coraz groźniej szczerzył do mnie na szybach swe zęby, krew jednak żywo zakrążyła w mych żyłach, zapałała głowa, i jak zaklęty, zapatrzony, zasłuchany, nie widziałem i nie słyszałem już nic wokoło siebie...

Nie widziałem i nie słyszałem, jak drzwi się otwarły i wszedł ktoś do mnie; nie spostrzegłem kłębów pary, buchających tu za każdem drzwi otwarciem w takiej ilości, że wchodzącego i nie dojrzysz odrazu; nie czułem zimna, które z jakąś bezczelną, rozmyślną natarczywością wrywa się tu do ludzkiej siedziby! nie widziałem i nie słyszałem nic, i dopiero gdym poczuł blisko siebie człowieka, wprzód, zanim go do[illegible], mimowoli rzuciłem mu zwykłe w Jakucku pytani[illegible]

— Toch nado? [1])

— To ja, proszę pana, z mieloczem torguju [2]) — brzmiała odpowiedź.

Podniosłem oczy. Nie wątpiłem, że przedemną, pomimo wpakowanego nań pszeróżnego ubrania, skór bydlęcych i jelenich, stał typowy, małomiasteczkowy żyd polski. Kto go widywał w Łosicach lub Sarnakach, ten pozna go nie tylko w jakuckich, lecz i w patagońskich skórach. Poznałem go przeto odrazu. A ponieważ, jak to rzekłem, i pytanie swe, niezupełnie jeszcze przytomny, rzuciłem mu prawie bezwiednie, więc żyd, stojący teraz przedemną, nie przerywał mych dumań zbyt brutalnie, nie był dla nich przeciwieństwem zbyt przykrem. Przeciwnie z pewną przyjemnością wpatrywałem się w znajome mi rysy, zjawienie się żyda w chwili, gdym myślą i sercem przeniósł się do ziemi rodzinnej, wydało mi się dość naturalnem, parę zaś słów polskich mile pogłaskały ucho. W pewnem tedy jeszcze zapomnieniu przyglądałem się mu przyjaźnie.

Żyd postał trochę, następnie odwrócił się, cofnął ku drzwiom i pośpiesznie zaczął ściągać z siebie przeróżną swą odzież.

Wtedy dopiero opamiętałem się i spostrzegłem, żem mu nic nie odpowiedział i że domyślny współziomek, wytłomaczywszy sobie najopaczniej moje milczenie, zechce mi rozłożyć swój towar. Pośpieszyłem wyprowadzić go z błędu.

— Bój się Boga, człowieku, co robisz?! — zawołałem żywo. Nic nie kupuję, nic mi nie potrzeba; nie rozbieraj się napróżno i ruszaj z Bogiem dalej!

Żyd przestał się rozbierać i, pomyśliwszy chwilkę, wlokąc za sobą na poły ściągniętą dochę [3]), zbliżył się do mnie i głosem urywanym, prędko i bezładnie tak mi prawić zaczął:

— To nic; ja wiem, że pan nic nie kupi. Widzi pan, ja tu dawno już jestem, bardzo dawno... Ja dotąd nie wiedziałem, że pan przyjechał. Pan z Warszawy przecie? Wczoraj mi dopiero powiedzieli, że pan tu już cztery miesiące przeszło. Co za szkoda, żem się tak późno dowiedział! Byłbym zaraz przyszedł. Dziś szukałem pana z godzinę; byłem aż na końcu miasta, a tu mróz taki, niech go djabli wezmą!... Niech pan pozwoli, ja długo przeszkadzać nie będę, kilka słówek tylko....

— Cóż ty chcesz odemnie?

— Ja tylko chciałbym pogadać trochę z panem.

Odpowiedź ta nie zdziwiła mnie wcale; ludzi rozmaitych, przychodzących jedynie po to, aby „pogadać trochę" z człowiekiem niedawno przybyłym z kraju, spotykałem już niemało; byli pomiędzy nimi i żydzi. Przychodzący interesowali się przedmiotami najróżnorodniejszymi: bywali i prości ciekawscy i gadulscy; bywali i ludzie, którzy o krewnych tylko pytali; bywali i politycy, pomiędzy którymi niejednemu już się zupełnie w głowie przewróciło. Wogóle jednak pomiędzy przychodzącymi polityka miała zawsze szczególny mir i poważanie. Nie zdziwiło mnie więc, powtarzam, żądanie nowego przybysza, i chociaż radbym był uwolnić mą chatę co prędzej od nieprzyjemnego zapachu źle zwykle wyprawianych bydlęcych skór dochy, poprosiłem go uprzejmie, aby się rozebrał i usiadł.

Żyd, widocznie ucieszony, po chwili siedział koło mnie, i teraz mogłem mu przyjrzeć się uważniej.

Wszystkie najordynarniejsze rysy plemienia żydowskiego, zdaje się, wcieliły się w siedzącą obok mnie postać: i gruby, pałkowaty, trochę na bok zakrzywiony nos, i przenikliwe, jastrzębie oczy, i broda klinowata barwy dobrze dojrzałego ogórka, i wreszcie czoło niskie, grubym włosem okolone — wszystko to posiadał mój gość; lecz, rzecz dziwna, wszystko to, razem wzięte, być może, skraszone wyrazem twarzy zmędzniałej, tchnącej jakąś szczerą otwartością i przyjaźnią, nie sprawiło na mnie w tej chwili złego wrażenia.

— Powiedzże mi, skąd jesteś, jak się nazywasz, co tu porabiasz i czego chcesz się dowiedzieć odemnie?

— Jestem, proszę pana, Srul z Lubartowa; może pan dobrodziej wie, to zara kiele Lublina; nu, bo u nas wszyscy myślą, że to tak bardzo daleko; dawniej i ja tak myślałem, ale teraz — dodał z przyciskiem — to my wiemy, że Lubartów od Lublina bardzo blisko, zara kiele niego.

— A dawno tu jesteś?

— Bardzo dawno, trzy lata bez mała.

— To jeszcze nie tak dawno przecie; są tacy, co po dwadzieścia lat przeszło tu mieszkają, a w drodze spotkałem staruszka z Wilna, co blisko 50 lat tu mieszka; ci rzeczywiście są dawno. Ale żyd mnie ofuknął:

Jak oni, to ja nie wiem; ja wiem, że jestem tu bardzo dawno.

— Zapewne sam tylko jesteś, jeżeli ci czas tak długim się wydaje?

— I z żonem i z dzieckiem z córkiem; miałem czworo dzieci, kiedy tu szedłem; ale to podróż taka, niech Bóg zachowa, szliśmy rok cały; pan nie wie, co to etapy?... Troje dzieci odrazu mi umarło, w jednym tygodniu, to jakby odrazu. Troje dzieci! łatwo powiedzieć... nawet pochować nie było gdzie, bo cmentarza naszego tam nie ma... Ja husyt jestem — dodał ciszej — pan wie, co to znaczy... zakonu pilnuję... i Bóg mnie tak karze.

I umilkł wzruszony.

— Mój kochany, w takiem położeniu trudno już o tem myśleć; wszystko to jedno przecie; ziemia boża wszędzie.

Starałem się go choć czemkolwiek pocieszyć, ale żyd skoczył, jak oparzony.

— Boża?! jaka boża?! co za boża?! co pan mówisz? To psia ziemia! Tfu! tfu! Boża ziemia? Nie mów pan, wstydź się pan! Boża ziemia, co nigdy nie rozmarza? To przeklęta ziemia! Bóg nie chce, żeby tu ludzie mieszkali; gdyby On chciał, nie byłaby taką. Przeklęta! podła! Tfu! tfu!

I zaczął pluć koło siebie i tupać nogami; z zaciśniętemi usty, skurczonymi palcami groził niewinnej ziemi jakuckiej, szeptał jakieś przekleństwa żydowskie, aż zmęczony wysiłkiem, upadł raczej, niż usiadł, na stołku koło mnie.

Wszyscy zesłani, bez względu na religię i narodowość, nie lubią Syberyi. Widocznie jednak fanatyczny chasyd nie umiał nienawidzieć połowicznie. Czekałem, aż się uspokoi. Wychowany w twardej szkole, żyd prędko przyszedł do siebie, prędko owładnął wzruszeniem, i gdym po chwili spojrzał mu w oczy pytająco, odpowiedział mi natychmiast.

— Niech pan daruje; ja z nikim o tem nie mówię, bo i z kim tu mówić?

— Alboż żydów tu mało?

— Czy to żydzi, panie? to już tacy, jak tutejsi... zakonu nikt nie pilnuje.

Bojąc się jednak nowego wybuchu, nie dałem mu już skończyć, — postanowiłem skrócić rozmowę i zapytałem wprost, o czem to on chciał ze mną pogadać.

— Chciałbym się dowiedzieć, co tam słychać, panie. Tyle lat tu jestem i jeszcze nigdy nie słyszałem, co się tam dzieje.

— Kiedy pytasz trochę dziwnie; nie mogę ci przecież opowiedzieć odrazu wszystkiego; nie wiem, co cię interesuje; polityka może?

Żyd milczał.

---

1) Co potrzeba?
2) Drobiazgami handluję.
3) Odzież wierzchnia zimowa.

Sądząc, że gość mój, jak i wielu innych, interesuje się polityką, choć nie rozumie samej nazwy przedmiotu, zacząłem stereotypową już dla mnie ze względu na wielokrotne powtarzanie opowieść o politycznem położeniu Europy, naszem i t. d. Ale Żyd zakręcił się niecierpliwie.

— Więc to cię nie interesuje? — zapytałem.

— Nigdy o tem nie myślałem — odparł otwarcie.

— A! teraz wiem, o co ci chodzi; pewnie chcesz wiedzieć, jak się żydom powodzi, jak handel idzie?

— Im się lepiej powodzi, jak mnie.

— Słusznie. W takim razie pewnie chcesz wiedzieć, czy życie u nas teraz drogie, jakie ceny na targach, po czemu mąka, mięso i t. d.

— Co mi z tego przyjdzie, kiedy tu nic dostać nie można choćby tam najtaniej było.

— Jeszcze słuszniej; ale ostatecznie o cóż u licha ci chodzi?

— Kiedy ja nie wiem proszę pana, jak to powiedzieć. Widzi pan, ja tak nieraz myślę, myślę, że aż Ryfka (to moja żona tak się nazywa) pyta się: „Srul, co tobie?" A co ja jej mam powiedzieć, kiedy ja sam nie wiem, co mi jest! Bo to może nawet i ludzie śmieliby się ze mnie — dodał, jakby badając, czy i ja zeń śmiać się nie będę.

Ale ja się nie śmiałem; byłem zaciekawiony: widocznie gniotło go coś, z czego sam sobie spsawy zdać nie umiał i wypowiedzenie czego w języku, którym władał nadzwyczaj słabo, było dlań jeszcze trudniejsze. Aby dopomódz mu, uspokoiłem go, żeby się nie spieszył, że robota moja nie pilna i nic na tem nie straci, jeżeli pogadamy z godzinę i t. d. Żyd podziękował mi wzrokiem i po krótkim namyśle rozpoczął rozmowę:

— Kiedy pan wyjechał z Warszawy?

— Podług ruskiego kalendarza w końcu kwietnia.

— A czy wtedy zimno tam było, czy ciepło?

— Ciepło zupełnie; jechałem z początku w letniem ubraniu.

— Nu, patrz pan! a tu mróz!

— Cóż to? zapomniałeś, czy co? przecież w kwietniu pola u nas zasiane, wszystkie drzewa zielone!

— Zielone — radość błysła w oczach Srula, — a tak, tak, zielone, a tu mróz!

Teraz już wiedziałem, o co mu chodzi, chcąc się jednak upewnić, milczałem. Żyd ożywił się widocznie.

— Nu! niech mi pan powie, czy jest u nas teraz.. tylko, ot widzisz pan, nie wiem już, jak się nazywa, już po polsku zapomniałem — tłómaczył się zawstydzony, jak gdyby umiał kiedy; — to jest białe takie, jak groch, koło domów w ogrodach latem, na takich wielkich kijach?....

— Fasola?

— A to właśnie! fasola, fasola — powtórzył sobie kilkakrotnie, jak gdyby chciał wrazić sobie to słowo na zawsze.

— Rozumie się, jest i dużo. A tu czyż niema?

— Tu! Bez całe trzy lata ani jednego ziarnka nie widziałem; tu groch taki, co u nas, z przeproszeniem tylko.... tylko...

— Świnie jedzą — podpowiedziałem.

— Nu tak! Tu na funty sprzedają, i to nie zawsze dostać można.

— Czy tak lubisz fasolę?

— Nie to, że lubię, ale to właśnie, ja sobie tak nieraz myślę o tem, bo to ładnie przecie, nieprzymierzając, jakby lasek rośnie wedle domu. Tu nic niema!

— A teraz — zaczął znowu, — teraz niech mi pan powie, czy w zimie są u nas jeszcze małe, ot takie — i na palcu pokazywał, — szare takie ptaki także zapomniałem, jak to się nazywa. Dawniej dużo ich było! Bywało, modlę się koło okna, a tego maleństwa jak mrowia się nazbiera. No, ale ktoby tam na nich patrzył? Wie pan co, nigdybym nie uwierzył, że o nich kiedy myśleć będę! Bo tu, tu wrony nawet na zimę uciekają, to maleństwo takie tem bardziej nie może wytrzymać. Ale u nas pewnie są jeszcze? Ny, panie, są?...

Ale teraz ja mu nie odpowiadałem. Nie wątpiłem dłużej, że żyd stary, chasyd fanatyczny, tęsknił za krajem tak samo, jak i ja, — że obaj byliśmy chorzy na jedną chorobę. Niespodziane takie znalezienie współtowarzysza cierpienia rozrzewniło mnie wielce, wziąłem go więc za rękę i sam z kolei zapytałem:

— Więc to o tem pogadać ze mną chciałeś? Więc ty nie myślisz o ludziach, o swej doli ciężkiej, o biedzie, która cię gniecie, lecz tęsknisz do słońca, powietrza ziemi rodzinnej?... Myślisz o polach, łąkach i lasach, o ich mieszkańcach bożych, których w życiu swem biednem nie miałeś nawet czasu poznać dobrze, i dziś, gdy obrazy miłe znikają z twej pamięci, boisz się pustki, która cię otoczy, sieroctwa wielkiego, które cię dotknie, gdy się zatrą drogie wspomnienia? Chcesz, żebym ci je przypomniał, odświeżył; chcesz abym ci opowiedział, jaką jest ziemia nasza ...

— O tak, panie! tak, panie! po to tu przyszedłem.....

— I ściskał mi ręce i śmiał się, jak dziecko, radośnie.

— Słuchajże, bracie!......

. . . .

I słuchał mnie Srul, cały w słuch zamieniony, z otwartemi usty, z wlepionym we mnie wzrokiem. Wzrokiem tym palił mnie i podniecał, wyrywał mi słowa, chwytał je spragniony i kładł głęboko na dnie swego serca gorącego.... kładł tam, nie wątpię, bo, gdym kończył swą opowieść: „O wej mir, o wej mir!" — zajęczał żyd boleśnie; zatrzęsła się broda ryża, i łzy duże, łzy czyste potoczyły się po znędzniałej twarzy... I długo szlochał chasyd stary, i ja płakałem z nim razem.

Dużo wody od tego czasu upłynęło w zimnej Lenie, i łez ludzkich niemało zapewne spłynęło po twarzach zbolałych. Dotąd jednak, choć to dawno już było, w ciszy nocnej, w czasie nocy bezsennej często staje mi przed oczyma posągowa, stygmatem bólu wielkiego ożywiona twarz Srula. I gdy wpatruję się dłużej w te widziadła nocne, nieraz, zda mi się, widzę, jak się poruszają drżące i blade wargi żyda, a głos cichy, rozpaczliwy szepcze koło mnie: „O Jehowo, czemuś taki niemiłosierny dla jednego z najwierniejszych Twych synów?.....

Czerwony znak.

1) Z włoskiego tłumaczył A. P.

ROZDZIAŁ I.

Pewnego burzliwego wieczora w listopadzie siedział doktor Hamilton w wygodnym fotelu przed kominkiem i czytał z zajęciem jakąś rozprawę medyczną. Nagle jednak zamknął książkę i podniósł głowę — ostry, przejmujący szelest przestraszył go niezmiernie. Ktoś rzucił kamieniem w okno jego pokoju, leżącego na parterze......

Był że to przypadek czy też żart którego z znajomych?

Hamilton wstał, zbliżył się do okna i mechanicznie spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Wskazówki stały na godzinie dziesiątej. Doktor podniósł cokolwiek żaluzyą i patrzał uważnie w ciemność, lecz nie zobaczył nic nadzwyczajnego. Tylko słabe światła w latarniach migotały raz po raz, rozświecając bardzo niedostatecznie gęstą, szarą mgłę.

Hamilton jednak nie wrócił już do kominka i do książki. Ciekawość jego była zanadto pobudzoną, aby mógł

czytać spokojnie, postanowił więc zbadać dokładniej tę sprawę. Nie namyślając się długo, zdjął kapelusz z gwoździa, wyszedł do sieni, otworzył ostrożnie drzwi i zamknąwszy je równie ostrożnie, przebiegł szybko mały ogródek, leżący pomiędzy domem i ulicą.

W tejże chwili ukazała się w mgle postać mężczyzny, zbliżającego się prędko ku niemu. Hamilton miał właśnie dosyć czasu, aby objąć spojrzeniem nieznajomego i poznać, że to był mężczyzna wysoki, okryty obszernym, luźnym płaszczem i mający na głowie miękki, okrągły kapelusz, nasunięty zupełnie na czoło. Nie zwalniając kroku i nie podnosząc głowy ani na chwilę, przeszedł nieznajomy koło Hamiltona, lecz w chwili, w której go mijał, rzekł głośno i wyraźnie jedno tylko słowo:

„Epsilon!"

Hamilton zrozumiał dokładnie tę literę greckiego alfabetu, bo nieznajomy mówił bardzo ostro i dobitnie, ale zanim zdołał zebrać myśli i prosić go o wytłumaczenie — już nieznajomego nie było na ulicy.

Hamilton stał i zamyślił się głęboko. Że to tajemnicze poselstwo stało w związku z owem rzuceniem kamienia w okno, o tem nie wątpił ani na chwilę, ale co to wszystko miało znaczyć? Zapewne zaszła tu pomyłka co do osoby i poseł uważał go za kogoś innego. Mimowoli spojrzał Hamilton na dom, w którym mieszkał i na sąsiednie domy i zauważył, że jedna z środkowych deseczek żaluzyi usunęła się tak, że widać było wązki pas światła z jego pokoju. Przy żaluzyi sąsiedniego domu była środkowa deseczka zupełnie tak samo usuniętą.

Doktor Hamilton był nadzwyczaj mądrym i bystrym człowiekiem, umiejącym szybko myśleć i kombinować, a nadto posiadał zdolności detektiwa policyi kryminalnej i chęć zgłębienia wszystkiego, co zakrawało na jakąś tajemniczość. Domyślił się więc też od razu, że to, co przy żaluzyi jego okna stało się przypadkiem, było przy oknie sąsiedniego domu umówionym znakiem. Mężczyzna w płaszczu omylił się — rzucił kamieniem w fałszywe okno i wypełnił dane mu polecenie pod fałszywym adresem. Niech słowo „Epsilon" znaczyło co chciało — lecz przeznaczonem nie było dla Hamiltona, tylko dla kogoś, mieszkającego w sąsiednim domu.

To było zupełnie jasne!

I widocznie zachodziła tu jakaś tajemnica, którą Hamilton zapragnął odkryć. Długo myślał nad tem, w jaki sposób zabrać się do dzieła i w końcu ułożył sobie plan, który natychmiast postanowił wykonać. Przypomniało mu się bowiem, że posiadał płaszcz zupełnie podobny do płaszcza nieznajomego i że nawet miał kapelusz, okrągły i miękki, mogący mu w danym razie zasłonić pół twarzy. Wrócił więc szybko do domu, wyszukał płaszcz, i gdy okryty nim stanął przed lustrem, ujrzał z radością, że wygląda zupełnie tak, jak ów nieznajomy. Potem naprawił żaluzyę, zmiął arkusz papieru tak, że utworzył z niego twardą kulkę, zgasił lampę i po raz drugi dzisiejszej nocy, wyszedł na ulicę.

Podczas kiedy okna jego pokoju zupełnie teraz były ciemne, przeciskał się przez usuniętą deseczkę żaluzyi okna sąsiedniego zawsze jeszcze ten sam wązki pas światła. Był to naturalnie znak umówiony!

Doktor Hamilton uczynił wszystko tak, jak poprzednio uczynił nieznajomy. Najpierw pobiegł szybko aż do drzwi domu sąsiedniego, rzucił kulkę papierową w okno, i zadowolony szelestem, jaki rzucenie to wywołało, udał się na róg najbliższej ulicy. Tam zaczekał tak długo, mniej więcej, jak poprzednio nieznajomy i wrócił znowu na dawniejsze miejsce. Teraz spostrzegł przed sąsiednim domem jakiegoś mężczyznę, i nie namyślając się wcale, zbliżył się do niego i szepnął:

„Epsilon!"

Serce biło mu gwałtownie, lecz głos nie drżał ani na chwilę. Gdy wyrzekł znaczące to słowo, odwrócił głowę i oddalił się spiesznie, a gdy był pewny, że sąsiad już go dojrzeć nie może, zdjął płaszcz, zmienił nieco kształt kapelusza i wrócił wolno aż do swego domu.

Na ulicy nie było nikogo, postanowił więc czekać — tajemnicza ta sprawa zajęła go tak, że za nic w świecie nie byłby się wyrzekł przyjemności śledzenia jej dalej. Gęsta mgła, wzmagająca się ciągle ułatwiała mu zadanie — niewidziany, mógł stać naprzeciwko drzwi sąsiedniego domu i obserwować je uważnie.

Nadzieja jego, że teraz musi się stać coś niezwykłego, nie zawiodła go wcale. Wąski pas światła w oknie znikł nagle, co było dowodem, że mieszkaniec pokoju zgasił lampę i miał zamiar wyjść, jako też i zaraz potem otworzono drzwi domu i mężczyzna, do którego się owe tajemnicze poselstwo odnosiło, wyszedł na ulicę. I chociaż Hamilton, nie mając odwagi okrycia się płaszczem, drżał z zimna, nie zawahał się przecież ani na chwilę i poszedł ostrożnie za swoim sąsiadem.

Mgła tymczasem stawała się coraz gęstszą i pomimo, że Hamilton; będąc urodzonym w Londynie, znał doskonale wszystkie ulice i uliczki, to teraz jednak musiał uważać bardzo dokładnie, aby nie stracić z oczu swego towarzysza i oryentować się co do miejscowości. Lecz po przejściu kilku ulic i po zwróceeniu się kilka razy na prawo i na lewo, nie wiedział już wcale, gdzie się znajduje i w jakim idzie kierunku. Zwrócił więc teraz całą uwagę na idącego przed nim mężczyznę i odetchnął lżej, gdy tenże w końcu stanął. Była to jakaś wąska, poboczna ulica, na której znajdowała się piwiarnia ostatniego rzędu — przez uchylone nieco drzwi słychać było piekielne istnie wrzaski, śpiewy i klątwy, a duszący odór wódki i piwa rozchodził się na wszystkie strony. Sąsiad Hamiltona stał chwilę przed tą piwiarnią, poczem zwrócił się na lewo i zniknął w ciemnem podwórzu, tuż obok piwiarni. Hamilton patrzał za nim, wytężał wzrok i słuch, lecz daremnie — nic już nie usłyszał i nic nie zobaczył. Głęboka cisza, jaka panowała w tem podwórku, niebezpieczna okolica i ciemność, wszystko to nie zachęcało go do dłuższego pobytu na tej ulicy, i rozsądek nakazywał mu wracać czemprędzej do domu.

Ale mgła utrudniała niezmiernie powrót. Hamilton chodził z jednej ulicy na drugą, błądził, szukał drogi i nie mógł w żaden sposób poznać, gdzie się znajduje. Nie spotykał też prawie nikogo, a tych kilku przechodni, których o drogę pytał, nie wiedziało również, gdzie się znajdują, i wszyscy błądzili, tak jak on sam. Po dwóch godzinach nareszcie rozpoznał ulicę, naktórą się właśnie zwrócił, i zmęczony śmiertelnie wrócił po północy do domu.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz rano siedział doktor Hamilton przy śniadaniu i czytał gazetę. Ale myśli jego błądziły daleko i podczas kiedy studyował na pozór uważnie dział polityczny, myślał rzeczywiście jedynie o tem, czy uda mu się kiedykolwiek odnaleść zgubiony ślad tajemnicy. Czasu do myślenia o tem miał aż nadto, bo poczekalnie młodych lekarzy nie bywają przepełnione pacyentami.

Nagle zadrżał i podniósł głowę. Na ulicy rozległ się turkot dorożki — jeszcze kilka sekund, a powóz zatrzymał się przed sąsiednim domem.

Hamilton zerwał się z krzesła i jednym skokiem stanął przy oknie. Z przybocznej kamienicy wyszedł jakiś wysoki mężczyzna, niosący mały skórzany kuferek i torbę podróżną. Nie ulegało wątpliwości, że to był ten sam człowiek, za którym szedł dziś w nocy aż do owej wstrętnej piwiarni!

Młody lekarz domyślił się natychmiast, że tajemnicze poselstwo zeszłego wieczora i wyjazd dzisiejszy stoją w styczności z sobą i zapragnął dowiedzieć się bliższych szczegółów o swoim sąsiedzie.

W tym celu więc zadzwonił na gospodynią, poprosił o zebranie z stołu resztek śniadania, i zaczął nieznacznie wypytywać o właściciela sąsiedniej kamienicy. Pani Brown, znająca nieomal wszystkich mieszkańców tej części miasta, była w swoim żywiole — o niczem bowiem nie lubiła rozmawiać tak, jak o bliższych i nic nie interesowało jej tak, jak sprawy domowe dalszych i bliższych znajomych.

Opowiedziała więc zaraz Hamiltonowi, że w dwóch pokojach na dole nie mieszka właściciel kamienicy, tylko jakiś cudzoziemiec, którego nazwiska nikt nie zna, lecz którego wszyscy zowią „panem Feliksem". Ów pan Feliks nie zajmuje się niczem, tylko żyje z pieniędzy — wyjeżdża często, na kilka dni, i nawet na dłużej i że wraca zawsze bardzo późnym wieczorem do domu.

— Nie jest on taki, jak pan, — mówiła z westchnieniem, — ale bo też takiego młodego człowieka jak pan, trudno znaleźć. Ani pan nie pije, ani gra w karty, ani wieczorem nie wychodzi, a pan Feliks! Hm! hm! Ale on płaci dobrze i dla tego tylko jeszcze mu jego gospodyni, pani Muggius, nie wypowiedziała miejsca!

To było wszystko, co pani Brown wiedziała o panu Feliksie.

Hamilton powiedział sobie, że chwilowo nic w tej sprawie uczynić nie może i że musi spokojnie odczekać powrotu pana Feeliksa. W następnych dniach były też myśli jego zajęte zupełnie czemś innem, otóż w Paryżu odkryto na jednem z przedmieść cały warsztat bomb dynamitowych i natychmiast uwięziono kilkanaście osób, podejrzanych o fabrykowanie ich. Wszystkie gazety rozpisywały się szeroko o szczegółach, tyczących tego aresztowania—nikt nie rozmawiał o czem innem, jak o tem i Hamilton również zajmował się żywo historyą bomb i tymi, którzy je fabrykowali.

Tym sposobem zapomniał prawie o tajemniczych wypadkach owej nocy, lecz nowy wypadek zwrócił znowu jego uwagę na tę sprawę. Pewnego wieczora zabłysło światło w oknie pokoju pana Feliksa!

Hamilton pragnął niezmiernie zobaczyć raz z bliska zagadkowego pana Feliksa, ale młody cudzoziemiec umiał tak zręcznie unikać spotkania się z nim, że o zawarciu choćiażby tylko powierzchownej znajomości ani mowy być nie mogło.

Pomimo to nie myślał Hamilton ustępować i wyrzekać się nadziei rozwiązania tej zagadki. Chodził codziennie wieczorem po ulicy, siedział, palił cygara, godzinami, w ogródku, graniczącym z ogródkiem sąsiedniego domu i był przekonany, że raz zobaczy znowu usuniętą deseczkę żaluzyi i wąski pas światła...

I nareszcie, po długiem oczekiwaniu, została cierpliwość jego wynagrodzoną. Pewnego wieczora, z uderzeniem godziny dziewiątej, gdy właśnie przeszedł na drugą stronę ulicy, zauważył, że ręka niewidzialnej osoby przesuwała deseczki żaluzyi. I po chwili usunięto jednę deseczkę zupełnie tak samo, jak wówczas, gdy chodziło o umówiony znak.

Hamilton miał już od dawna plan ułożony, i gdy ujrzał ów znak, nie stracił ani chwili czasu. Poszedł do swego mieszkania, zgasił lampę, okrył się płaszczem i ostrożnie otworzył okno tak, że mógł wygodnie patrzeć na ulicę. Potem usiadł i czekał. Na wieży kościelnej wydzwonił zegar kwadrans na dziesiątą — potem wpół — trzy kwadranse, w końcu ujrzał szybko zbliżającego się mężczyznę — w obszernym płaszczu i okrągłym, miękkim kapeluszu i przy blasku latarni poznał w nim tego, który wówczas o tej samej godzinie tutaj się znajdował. Zaraz potem usłyszał cichy szelest rzuconego w okno kawałka drzewa, i posłaniec oddalił się natychmiast, nie zatrzymując się ani sekundy w biegu. Po chwili znikł w cieniach nocy.

Głęboką ciszę przerwało teraz lekkie skrzypnięcie drzwi — pan Feliks wyszedł ostrożnie do ogródka, otaczającego dom od strony ulicy. Wtedy nieznajomy posłaniec wrócił, przeszedł z odwróconą twarzą koło Feliksa i wyrzekł dosyć głośno jedno słowo tylko. Słowa tego nie mógł Hamilton dosłyszeć, zrozumiał jednak tyle, że było dwusylabowem i kończyło się na „ta". Gdy posłaniec się oddalił, wszedł pan Feliks znowu do domu.

Dwie minuty później znajdował się Hamilton na ulicy i ukrywszy się w zagłębieniu przeciwległych drzwi, czekał, co dalej nastąpi.

I podczas kiedy stał nieruchomy, z gwałtownie bijącem sercem, przyszło mu na myśl, że dziś był piątek, i że właśnie przed dwoma tygodniami, a więc także w piątek, przyszedł po raz pierwszy ów tajemniczy posłaniec. W ciągu tygodnia nie widział umówionego znaku, więc też i wiadomości nikomu nie udzielano. Tymczasem w pokoju pana Feliksa zagaszono światło i zaraz potem wyszedł on sam na ulicę. Hamilton cieszył się, że dziś nie panowała taka mgła jak wówczas i że mógł iść za panem Feliksem po drugiej stronie ulicy, ale wkrótce przekonał się, że musi zmienić taktykę, weszli bowiem na plac, z którego rozchodziło się sześć ulic. Zanim jednak zdołał wykonać swój zamiar, zbliżyła się próżna dorożka, pan Feliks wskoczył do niej i odjechał. Innej dorożki nie było w bliskości — nie pozostało więc Hamiltonowi nic innego, jak wrócić z niczem do domu.

ROZDZIAŁ III.

Nazajutrz rozpisywały się wszystkie gazety wieczorne o straszliwem morderstwie, dokonanem w pobliżu dzielnicy Leicester. Ofiarą zbrodni był pewien Włoch, Alfredo Garcia, mieszkający z córką swoją także u pewnego Włocha, Paola Cevanci, handlarza starożytności. Cevanci był ogólnie szanowanym, cichym i skromnym człowiekiem, który od kilku lat już dzierżawił ten sklep i należące do niego mieszkanie, Garcia zaś i córka jego przybyli dopiero dzień przedtem do Londynu. Wybujała fantazya dziennikarzy stawiała tysiączne domysły, tyczące się owego morderstwa, rzeczywistością zaś było to, że banda zawodowych złodziei i zbrodniarzy włamała się w nocy do sklepu, szukając kosztowności i pieniędzy, których Cevanti zawsze dużo miał w domu. Domyślano się, że Garcia zbudzony szelestem, wstał i chciał spłoszyć złoczyńców, i że ci zabili go ze strachu, aby nie przywołał kogo innego jeszcze na pomoc. Byli jednak tacy, którzy twierdzili, że morderstwo to było krwawą zemstą, wywołaną miłością i zazdrością, a inni jeszcze dowodzili, że Garcia stał się ofiarą, albo włoskiej „mafji," albo innego tajemnego związku.

Hamilton czytał wszystkie sprawozdania o morderstwie tem z największem zajęciem, znał bowiem osibiście Cevancie'go. Znajomość ta została zawartą przy kupowaniu kilku starożytnych, małych, srebrnych posążków, które młodemu lekarzowi nadzwyczaj się podobały. Ponieważ zaś Hamilton, będący niegdyś dłuższy czas w Włoszech, znał doskonale język włoski, przeto Cevanci był dla niego uprzejmiejszym niż dla innych kupujących i znajomość ich zamieniła się nawet w pewien rodzaj przyjaźni, mianowicie, gdy Cevanci zachorował na influenzę i prosił Hamiltona, aby go leczył. To też teraz pomyślał Hamilton, że może być potrzebnym staremu Włochowi w smutnem położeniu, w jakiem się tenże znalazł z powodu morderstwa, popełnionego w jego domu. Rzucił więc gazetę, ubrał się szybko i pobiegł do swego dawniejszego pacyenta.

Gdy się zbliżył do ulicy, na której znajdował się sklep i mieszkanie Włocha, ujrzał kilkunastu policyantów,

usiłujących oddalić ciekawy tłum, zgromadzony przed domem Cevanci'ego. Jeden z urzędników stał przy drzwiach i do tego zwrócił się Hamilton.

— Jestem lekarzem i przyjacielem Cevanci'ego, — rzekł, i pragnąłbym się z nim widzieć.

— Nie ma go obecnie w domu, odpowiedział urzędnik, — poszedł znowu do biura policyi. Ale dziewczyna jest na górze. Mówiono mi, że bardzo jest piękna.

— Kto? Córka zamordowanego?

— Córka lub siostra, nie wiem tego dokładnie.

— Może będę się mógł przysłużyć jej czemkolwiek! Wolno mi zobaczyć tę biedną dziewczynę?

— Hm, nie wiem doprawdy! Gdybyś pan umiał po włosku... — zauważył policyant. — Tam jest właśnie nasz szef z doktorem. Poprzednio posłali po kogoś, umiejącego po włosku...

— Ależ ja doskonale władam językiem włoskim, — zawołał Hamilton. — Dla tego właśnie zaprzyjaźniłem się z Cevancim!

— No, w takim razie...

— A zresztą, jeżeli lekarz, znajdujący się tam, jest doktorem Dunningiem, to i on zna mnie bardzo dobrze! Zanieś mu pan moją kartę!

Tak, doktor Dunning jest tam z naszym inspektorem. Kartę pana zaniosę mu chętnie.

Policyant otworzył drzwi i wszedł do sklepu, a gdy powrócił po chwili, skinął na Hamiltona i wskazał mu ręką wejście do mieszkania Włocha. W sklepie znajdował się tylko inspektor policyi i doktor Dunning, dosyć jeszcze młody i przystojny mężczyzna.

Gdy Hamilton wszedł, zwrócił się inspektor zaraz do niego.

— Pan znasz Cevanciego? — zapytał.

— Tak, leczyłem go niedawno.

— Mówisz pan po włosku?

— Tak jest.

— Więc rozmów się pan z tą młodą dziewczyną na górze. Pan znasz doktora Dunninga?

— Tak, znamy się oddawna, — odezwał się teraz doktor Dunning. — Cieszę się, że pan przybyłeś, jestem bowiem w bardzo nieprzyjemnem położeniu. Nie mogę się rozmówić z ową młodą dziewczyną, a obawiam się mocno o nią, nie wiedziałem doprawdy, jak sobie poradzić.

— Idźmy zaraz do niej, — zawołał Hamilton, — chętnie panu służę jako tłomacz!

— Masz pan słuszność, idźmy, — rzekł Dunning. — Proszę kolegi!

Mówiąc to, poszedł naprzód i już stał na pierwszym stopniu schodów, gdy nagle obrócił się szybko.

— Nie chciałbyś kolego obejrzeć najpierw zamordowanego? — szepnął, wskazując na ciało, leżące na stole i okryte czarnem płótnem.

— Owszem, bardzo mnie to interesuje, — odparł Hamilton.

Dunning zbliżył się do stołu i zdjął płótno.

— Znakomicie zbudowany człowiek, — rzekł.

Ciało zamordowanego wywierało rzeczywiście wrażenie w kwiecie wieku Herkulesa. Rysy twarzy były klasycznie piękne i wyrażały wzniosły spokój i niezmierną łagodność. Rana, znajdująca się tuż pod sercem dowodziła, że ręka, która ją zadała, umiała doskonale władać morderczą bronią. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Przez chwilę patrzeli obydwaj lekarze w milczeniu na zmarłego.

— Dziwny znak — tatuowanie, — odezwał się nareszcie Dunning, wskazując na lewe ramię zamordowanego.

Hamilton pochylił się i ujrzał na żółto-białej skórze dziwny, jasno-czerwony znak, otoczony starannie wykonanem kołem.

— Nikt nie wie, co to znaczy, — mówił Dunning dalej. — Zdaje mi się, że to pierwsze znaczy A, a to tam wygląda, jak podkowa!

— Podkowa? Nie, nie, to znaczy omega! Alpha i omega, pierwsza i ostatnia litera greckiego alfabetu. Strzała leżąca w środku znaczy „aż do“, a więc od alphy aż do omegi. To co się pod tem znajduje, przedstawia albo sztylet albo krzyż, co kto chce, ale „od alphy aż do omegi“ jest zupełnie jasne i zrozumiałe.

— Od alphy aż do omegi! — szepnął Dunning zdumiony.

I podczas kiedy Dunning słowa te wymawiał, błysnęła w głowie Hamiltona nowa myśl — jeszcze jedna litera greckiego alfabetu!

— Epsilon!

Zagadkowe słowo, które szepnął ów tajemniczy posłaniec w czarnym płaszczu i okrągłym kapeluszu!

ROZDZIAŁ IV.

„Epsilon!“

Słowo to jak błyskawica rozświeciło na chwilę ciemności tajemniczej sprawy i jak błyskawica znikło. Lecz Hamilton stał jak osłupiały i dopiero głos Dunninga wyrwał go z zamyślenia.

— Chcesz pan teraz iść ze mną na górę? — zapytał Dunning.

— Dobrze!

Poczem nakrył ciało czarnem płótnem i milcząc, poszedł za swym kolegą.

— Biedna dziewczyna jest nawpół nieprzytomną, — odezwał się znowu Dunning, gdy stanęli na górze.

— Kto jest przy niej?

— Jakaś kobieta z sąsiedniej kamienicy, poczciwa i chętna, ale nie wiele może jej pomódz, bo nie umie ani słowa po włosku.

— Kiedy wróci Cevanci?

— Nie wiem, myślę jednak, że wnet. Wezwano go na policyę w celu spisania jego zeznania. Lecz i on nic nam pomódz nie może — młoda dziewczyna drży formalnie z przerażenia, gdy on wchodzi do pokoju.

— Jest to zupełnie naturalne, widok tego starego człowieka przypomina jej zawsze na nowo okropny wypadek, który wstrząsnął do głębi całą jej istotę.

Gdy Hamilton słowa te wymówił, dał się słyszeć z pokoju, przy którego drzwiach stali, głośny, przeraźliwy jęk. Obydwaj lekarze weszli po cichu i teraz ujrzał Hamilton siedzącą na kanapie młodą dziewczynę, z rozpaczliwie załamanemi rękami. Długie, czarne warkocze spadały w nieładzie na wąskie ramiona, a czarne, wielkie oczy, które z wyrazem niezmiernego smutku zwróciła na wchodzących, pełne były łez. Twarz dziewczęcia tak bardzo była piękną, że Hamilton patrzał na nią jak oczarowany i powiedział sobie w duszy, że nigdy jeszcze tak prześlicznej dziewczyny nie widział. Był to prawdziwy typ Włoszki, o klasycznych, miękkich rysach i bladoróżowej cerze, a oczy zdawały się być jeszcze większe i czarniejsze z powodu gorących, wypłakanych łez.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tanie opakowanie!

Wyborowy tytoń!

Tylko ręczna robota!

Wielki obrót!

Mały zysk!

powodują coraz większe rozpowszechnienie papierosów

„Dubec“

fabryki 350

M. Droste w Poznaniu.

Do Szanownych Właścicieli domów!

Nowe papowe dachy podwójne, także łupkowe pod **dwudziestoletnią** gwarancyą, daję za stare **DACHY CYNKOWE**

za które jeszcze dopłacam.

Także polecam się do wykonywania wszelkich **prac dekarskich, dachówką, łupkiem itd.** Wszelkie reparacye dachów wykonuję sumiennie i pod gwarancyą.

Kosztorysy i rewizye dachów bezpłatnie każdego czasu. Referencye z wykonanych prac na pałacach, kościołach itd. dostarczam każdej chwili.

J. Marciniak, mistrz dekarski. 474

Biuro Poznań, św. Marcin 14. **Telefon Nr. 716.**

Dobrze zaprowadzony hurtowny

skład piwa 506

z fabrykacyą wody selterskiej

oraz składem kolonialnym i delikatesów jest od zaraz do sprzedania. Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. **N. 506.**

Kupiec

34 lata liczący, z zawodu drogerzysta, a w ostatnim czasie pracował 4½ roku w jednej z większych instytucyi finansowych w Królestwie Polskiem w wydziale buch. oraz kasowym, mogący służyć dobremi świadectwami jakoteż poważnemi referencyami, szuka odpowiedniego miejsca za książkowego lub do prowadzenia jakiego przedsiębiorstwa w zakres kupiectwa w chodzącego. Łask. zgłoszenia sub **„Solidny“** do Administracyi „Pracy“ ul. Rycerska 38.

Pomocnik handlowy

szuka posady, którąby objąć mógł zaraz lub od **1-go 10.** Warunki skromne. O zgłoszenia prosi:

W. STROJNY.
POZNAŃ, Grobla 27 a.

Sprzedaż drzewa.

Z powodu przeprowadzki będzie wszelkie drzewo na opał jako też porządkowe w handlu drzewa przy Grobli nr. 5 za wszelką cenę wyprzedane. 519

Nowość! Nowość!

Flirt Solonowy 427

gra towarzyska. Cena 1,50, z przesyłką 1,70 M.

Noskiewicz M.

Rozmowa znaczkami listowemi,

książka dla zakochanych a szczególnie narzeczonych. Cena 25 fen. z przesyłką 30 fen.

Żuromski: **Prawo kobiety,**

niezbędny podręcznik dla każdego mężczyzny lub kobiety, mianowicie w kwestyach małżeńskich, spadkowych, majątkowych (wspólność majątkowa). Testament. Powody rozwodu. O majątku dzieci. Kobieta w przedsiębiorstwie kupieckim itd. Cena 1,50, z przesyłką 1,60 M.

Ożarowski:

Samouczek stenografii polskiej

niezbędny podręcznik dla każdego kupca, który chce w 5 lekcyach nauczyć się stenografii. Cena 1,10 M, z przesyłką 1,20 M.

Kuchnia polska, niezbędny podręcznik dla kucharzy i gospodyń wiejskich i miejskich. Cena 2 M., z przesyłką 2,10 M.

Powyższe książki i gry wysela na życzenie odwrotną pocztą przez zaliczkę pocztową lub za poprzedniem nadesł. pieniędzy także i w znaczkach pocztowych

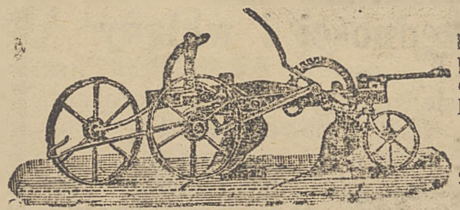
Bogdan Chrzanowski

Księgarnia i skład papieru
Poznań, ul. Wilhelmowska 17.



Plugi

dwu- i trzyskibowe patentu Schulz & Bethke **najnowszej konstrukcyi.** Każdy z tych pługów jest tak urządzony, iż w razie potrzeby można go użyć jako dwu- lub trzyskibowy. Dotychczas sprzedałem ich około 3800, **co najlepszem jest poleceniem.**



Patentowy pług „Fenix“ piętrowy samochód, do głębokiej orki. Bardzo rozpowszechniony zaleca się **lekkim chodem i szybkim a łatwym sposobem ustawiania głębokości orki.**

Główny reprezentant na W. Ks. Poznańskie

A. Bryliński

Poznań, Rycerska nr. 11a. — Telefon nr. 69.
Adres do listów: **A. Bryliński Poznań — Posen.**
Adres do telegramów: **A. Bryliński Posen.**
Skład machin i narzędzi rolniczych, krajowego i zagranicznego wyrobu.
Części zapasowe do pługów i rozmaitych machin.
Pracownia do napraw. 99

We wtorek, **dnia 18 września** o godz. 10 przed południem sprzedamy **w Ryczywole**

wiatrak z motorem

„Ergin“ o sile 16 koni z całemi zabudowaniami gospodarczemi, do tego około 3 morgi ogrodu przy domu i wiatraku i ca. 3 morgi łąki przy wpłacie 7000 mk. (526

Adres: **BANK PARCELACYJNY**
Poznań, ulica Wiktoryi 12.

W seminaryum dla wychowawczyń i bon jako i w szkółce freblowskiej rozpoczyna się zimowy kurs nauki 17 październ. Dzieci wstępować mogą z dniem każdym; zapewnia im się opiekę, naukę i stósowną do wieku rozrywkę. Po wychowawczynie i bony, Niemki i Polki zgłosić się można bezpłatnie za dołącz. znaczka poczt. na odpow. Cena tych osób od 180—500 mk. *Prospekta do seminaryum wysyłam na żądanie.* (517

WALERYA PUFFKE, przełożona zakładu, ul. Długa 4.

Adres telegramów: L. ZBORALSKI PLESCHEN.

Połączenie telefoniczne Nr. 25.

Ł. Zboralski

Pleszew — (Pleschen.)

Hurtowny handel win założony w roku 1853

poleca znane ze swej dobroci, renomowane

wina górnowęgierskie

z lat najlepszych, w różnych odcieniach, począwszy od Mk. 1,40 za litr w beczce aż do gatunków najszlachetniejszych.

Dla chorych i rekonwalescentów

stare wina węgierskie

w olbrzymim wyborze.

Cenniki oraz próbki win beczkowych na życzenie gratis i franko. 203

Podróżujących nie wysyłam, łaskawe zlecenia upraszam wprost listownie.

Adres listów: L. Zboralski, Pleszew-Pleschen.

Biuro prawnicze Jasielskiego

w Poznaniu

ul. Wodna l. 4, I p.

spisuje **kontrakty** (mianowicie z wymiarami), skargi, podania do wszelkich władz, **obrony** w sprawach karnych, informacye w sprawach proces, **reklamacye** co do podatków i wojskowości, testamenta, regul. hipot. i spadki i zaciąga pożyczki landszaftowe i bankowe. 73

Pracownia robót kościelnych

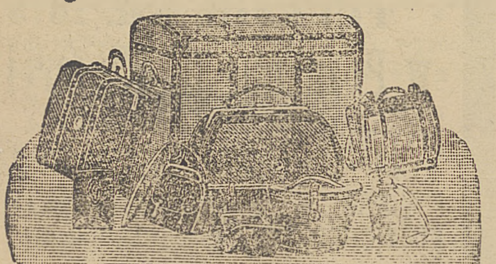
WANDY GDECZYK

w Gnieźnie 122

ulica Tumska nr. 10.

poleca się łaskawym względom Przewielebnego Duchowieństwa oraz Szanownej Publiczności. Wykonuje wszelkie prace jako to, kapy, ornaty, stuły, bursy, birety, wszelką bieliznę kościelną, chorągwie kościelne i dla towarzystw. Wszystko po bardzo przystępnej cenie, wykonanie artystyczne.

Fabryka kufrów i torb



93

poleca swe wyroby premiowane w Poznaniu i Lwowie

Kufry ręczne	**N. Wolniewicz,**	Torby szkólne
Kufry fałdowe	siodlarz kiesieniarz	Torby do podróży
Kufry męzkie		Torby fałdowe
Kufry damskie	**Bazar,**	Torby do pieniędzy
Kufry trzcinowe	**ulica Nowa 8.**	Torby do listów
Kufry do prób		Torby myśliwskie

szelki, portmonetki, necessery, siodła, trenzle, czapraki, koniki, piłki i poduszki skórzane.



Mydło liliowe

w kawałkach po 50 fen.

Woda liliowa

Eau de Lys de beauté

w butelkach po 1,50 mk.

wytwarzają piękną, delikatną cerę twarzy i rąk, piękny zawsze młodzieńczy wygląd, olśniewająco piękną płeć, usuwają wszelkie nieczystości skóry, jak piegi, węgry, wyrzuty, czerwoność. 252

W Poznaniu do nabycia w drogeryach pp. R. Barcikowskiego, J. Czepczyńskiego, Z. Rittera. W Jeżycach p. K. Buchowskiego, w Jarocinie p. W. Chylewskiego lub wprost w chemiczno-kosmetycznym laboratoryum K. Buchowskiego w Poznaniu.

Adres do zamówień:

K. Buchowski,

Chemisch-kosmetisches Laboratorium. Posen 72.

Kamienica

3 piętrowa **z wielkim składem** i obszernymi sklepami, położona przy głównej ożywionej ulicy blisko kolei i sądu w mieście Pr. Zach. Skład ten nadaje się do każdego interesu. 505

Właściciel dla choroby i podeszłego wieku ma zamiar zaraz sprzedać pod dogodnymi warunkami, wpłaty potrzeba około 6000 mk. Łask. oferty uprasza się pod **lit. B. L. 505** do ekspedycyi „Pracy“.

Mój

Zakład dentystyczny

znajduje się teraz 157

przy ul. Nowej nr. 7 I (Nowy dom bazarowy.)

J. GRYSZCZYNSKI.

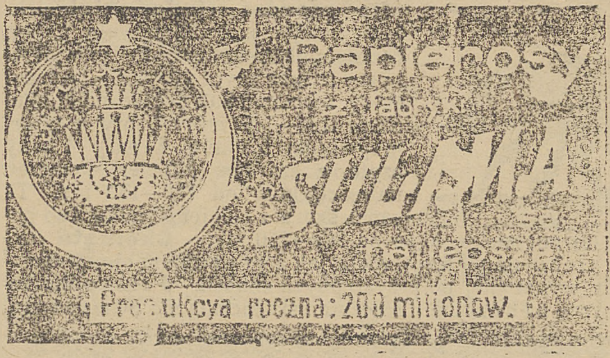
Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki, etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** 18 **Kąpiele elektryczne świetlane.**

Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka.

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński



Jedyna jeneralna agentura

i główny skład 425

S. Zychliński w Poznaniu

Cygara w największym wyborze.

Ważne!!

Kto chce założyć skład kolonialny, cygar i papierosów niech się ze zaufaniem uda do firmy hurtowej

Artur Gustowski 291

Opalenica.

Dom ten może udowodnić, że setki ma odbiorców po Księstwie i że konkuruje z najpierwszemi firmami tej branży. Na życzenie przyjeżdża zastępca firmy.

---

370 **Pająk**

pięcioramienny

gazowy, bronzowany, prawie nowy, jest **nadzwyczaj tanio do nabycia.** Bliższych szczegółów udzieli Administracya „Pracy“, Rycerska 38, I piętro.

Dla cierpiących na **żołądek, kiszki i t. p.**

Kakao owsiankowe

z solami odżywczemi.

Jest to znakomity napój tak dla dzieci jak dla dorosłych.

Przez lekarzy polecony zwłaszcza dla ozdrowieńców niedokrwistych, cierpiących na żołądek, dla nerwowych, dla karmiących matek itd.

Odżywka zapobiegająca krzywicy (angielskiej chorobie) błędnicy i cierpieniom skrofulicznym. Pożywniejsze, zdrowsze a tańsze od kawy lub chińskiej herbaty!

Ceny: Gatunek I „HYGIEIA“ funt 1,75 mk., pół funta 90 fen. Gatunek II „SAMSON“ funt 1,00 mk. pół funt. 55 fen. Próbki (ok. 200 gr.) za nadesłaniem 50 fen. wysyła franko: Firma „HYGIEIA“ (Czarnowski & Co.) Berlin N., Weissenburgerstr. 27. 389

B. Szulczewski,

ul. Wilhelmowska nr. 11.

Skład porcelany, fajansów, szkła.

Lampy naftowe, gazowe.
Oświetlenie spirytusowe.
Kompletne wyprawy.
Urządzania hotelowe.
Abażury — Przedmioty galanteryjne.
Pająki do kościołów.
Ampułki. 18

Specyalność: WYPRAWY.

W. JANASZEK, Poznań

ul. Jezuicka Nr. 1
(w narożniku Starego Rynku)

Magazyn wypraw.

Porcelana. Wielki wybór ozdobnych serwisów stołowych na 6, 12, 18 i więcej osób.

Serwisy do kawy.

Szkło kryształowe gładkie, rznięte, grawirowane.
Kieliszki, szklanki, salaterki, talerzyki karafki, zastawy etc.

Lampy gazowe 37
Lampy naftowe
Lampy spirytusowe.
Sprzęty kuchenne.

Emal. naczynia. — Stalowe i drewniane wyroby, szczotki, łóżka żelazne, umywalki, garnitury do mycia etc.

Stała wystawa. **12 okien wystawowych.**

Cennik na żądanie bezpłatnie.

Pierwszorzędny zakład dent styczny

M. Kaniasty

359

Poznań, plac Piotra 3, I. piętro.

Przyjmuje przed poł. od godz. 9-1
po poł. od godz. 3—6.

Sztuczne zęby, plomby i t. d.

po cenach nader przystępnych.
Praktykuje od roku 1890.



Noveferrol



(p. ces. urząd patent. nazw. odnow. D. R. W. Z. 60069.)
Najlepszy i najpewniejszy elixir na wzmocnienie **nerwów, żołądka** i całego **organizmu,** przysparzający osobom słabowitym krwi i wywołując wyśmienity apetyt i przez to czerstwą i zdrową cerę. 399

Częsci skład.: Extr. Matricar Ch. 0,4 Extr. Gonolob. Con. 20,0 H. 20 200.0 Liqu. Ferr. pept. 60,0 Tinct. aur. cmp. 20,0 Sir. sacch. 70,0 Spir. vini. 30,0 Tinct. Vanill. gtt. x.

But. 2,50 mk., przy 4 but. franco i pudło gratis.
Główny depót posiada:

H. Smyczyński, aptekarz
w Chełmnie (Culm-Ratsapotheke).

Polak,

były urzędnik sądowy, w sile wieku, zaopatrzony w najlepsze świadectwa, władający biegle językiem polskim i niemieckim, **który utracił stanowisko z powodu sprawy politycznej,** poszukuje posady pisarza, woźnego, kontrolera, zawiadowcy domu i t. p. w banku, fabryce, kantorze, w Poznaniu lub też na prowincyi. Oferty przyjmuje Ekspedycya „Pracy" pod znakiem **M. J. 500.**

Na sprzedaż

parcela przeszło 1 morgę wielka z domkiem i ogrodem, w którym doskonałe owocowe drzewa oraz

konsensem budowlanym

na 2—4 pokoi, tuż przy lesie i kolei pod Poznaniem za przystępną cenę.

Zgłoszenia pod Nr. 524 do ekspedycyi „Pracy".

Patenty

na wynalazki wyjednywa

Kazimierz Ossowski

Biuro patentowe!

PETERSBURG, Woznienskij prosp. 3.
BERLIN, Potsdamerstrasse 3. 26

„Talizman zdrowia i piękności" 80 fen. **Onanizm** (samogwałt) itp. 1,10 mk. Katech. zdrowotny dla małżeństwa 1 mk. Zwalczanie nerwowości 1,35 mk. Samopomoc w cierp. płciowych 1,85 mk. Życie płciowe i jego znaczenie 2,20 mk, Zielniczek lekarski (125 kol. obr.) 1,50 mk. Do nabycia w lepszych księgarniach lub wprost w eksp. „Przew. Zdrowia": *Czarnowski, Berlin N.*, Weissenburgerstrasse 27. 113

Jan Białkowski

201

mistrz blach. i dekarski

Pobiedziska (Pudewitz),
pokrywanie dachów metalem, łupkiem, papą pojedyńczą i podwójną s. p. polepianie starych uszkodzonych dachów przy długoletniej gwarancyi, smarowanie, reperacye tanie i skore. **Skład lamp, szkła, porcelany i sprzętów kuchennych.**

Baczność Rodacy! 510
Darmo i franko
wysyłam na żądanie nowo wydany katalog na książki powieściowe, do nabożeństwa, obrazy, powinszowania, pocztówki narodowe itd.
Bardzo korzystny zakup!
I. Mrówczyński, Rawicz Rawitsch (Pr. Posen).

„Gleba"

Bank rolniczy, Tow. akc.
Poznań, ul. Szkólna 11, — poleca

Węgle,
Saletrę chilijską na r. 1907, 1908, 1909,
Superfosfaty,
Żużle Thomasa, „Sternmarke,"
Kainit,
Wapno do budowli i na nawóz,
Rozmaite pasze,
Wszelkie potrzeby gospodarcze
w wyborowych gatunkach po cenach umiarkowanych. 348

Pranie bez mydła!!!



Kto się nie przekona o znakomitych skutkach **„Saponinu z koszulką"** sam sobie szkodzi ponieważ wydaje dużo pieniędzy na mydło i rozmaite szumnie zachwalane proszki, które tylko bieliźnie szkodzą a brudu nierozpuszczają. 487

„Saponin z koszulką" oczyszcza bieliznę **bez mydła i bez tarcia** tylko **przez gotowanie!** Pod gwarancyą **nieszkodliwy i bez chloru. „Saponin"** jest też dobrym środkiem do czyszczenia i mycia sprzętów domowych i kuchennych. Tylko prawdziwy w paczkach po **25 fen.** ze znaczkiem koszulką. Do nabycia w wszystkich drogeryach i składach kolonialnych, a gdzie niema na składzie wysyła się wprost z fabryki 8 paczek za 2,00 mk. franko i inclusiwe za zaliczką.

Chemiczna fabryka **„Saponia" C. Nagórski,** Starogard (Pr. Stargard.)

Przedsiębiorstwo
miernicze i melioracyjne

Pankalla & Krenz

Poznań, ul. Wiktoryi 2.

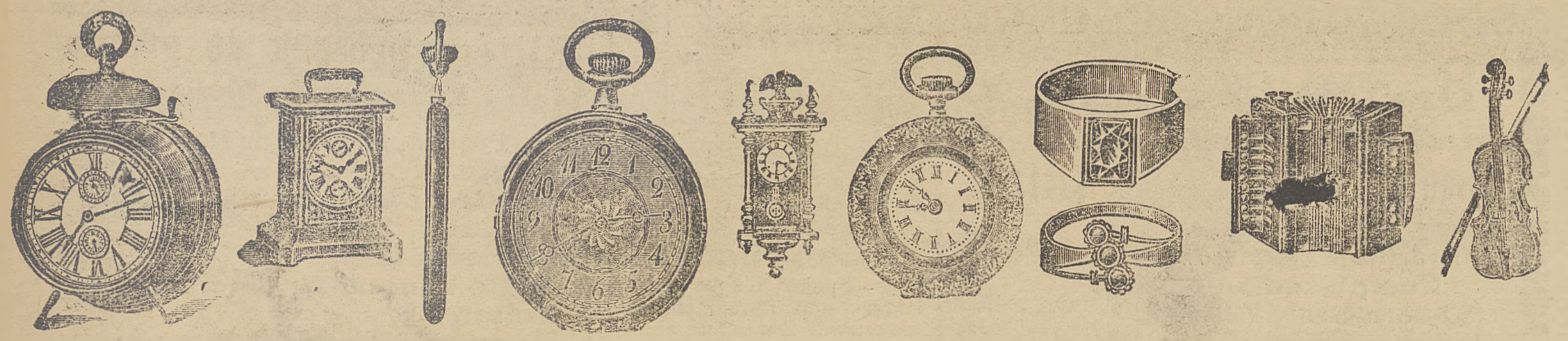
wykonuje wszelkie roboty w zakres miernictwa i melioracyi wchodzące po najniższych cenach, a mianowicie:

1. Roboty drenarskie,

wykonanie projektów do zawiązania spółek drenarskich, ulepszenia łąk przez osuszanie i nawadnianie, 40

2. Pomiary

przez mierników zaprzysiężonych jako to: parcelowanie większych i mniejszych majątków gospodarstw, regulacye granic, pomiary gruntów miejskich i podział na place budowlane itd.



Zegarki z 5-letnią piśmienną gwarancyą Ia. pierwszy gatunek.

NIKLOWE męzkie kluczykowe . mk. 5,40
POSREBRZANE z 2 złoconymi brzegami . . . . . „ 5,90
NIKLOWE kluczyk. 6 kamieni Ia. „ 8,00
NOWOSREBRNE kluczyk. 2 złoc. brzegi 6 kamieni prima . . „ 7,75
CZYSTO SREBRNE 2 złoc. brzegi kluczyk. lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki o 6 kamieniach znane z dobrego chodzenia . . . . . mk. 10,00
Te same o 10 kamieniach . . „ 12,00
CZYSTO SREBRNE kluczykowe lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki, 10 kamieni, złocone wskazówki i brzegi, znane z dobrego chodzenia
z wizerunkiem **MATKI BOSKIEJ** mk. 12,00
znacznie lepsze z Matką Boską . „ 14,00
a najlepsze z Matką Boską . . „ 16,00
CZYSTO SREBRNE damskie 6 kamieni . . . . . . „ 8,50
dto. 10 kamieni prima . . „ 12,00
CZYSTO ZŁOTE 7 karat damskie 10 kam. prima . . „ 16,00
dto. 10 kamieni Ia. prima . „ 18,00
dto. wspaniałe 10 kam. Ia. Ia. „ 22,00

Do zegarków z gwarancyą kapsułka lub etui darmo.

Sprzedaję taniej jak niejedna fabryka.

Jedyne największe, najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupna

a szczególniej dla sprzedających z drugiej ręki.

CENY HURTOWNO FABRYCZNE.

Wszelkie moje zegarki z oznaczeniem **5-LETNIEJ GWARANCYI**, są starannie obciągnięte i na minutę uregulowane.

OBAWY NIE MA ŻADNEJ, bo to, co by się podobać nie miało, lub istotnie nieodpowiedniem w tej cenie było, **PRZYJMUJĘ Z POWROTEM I WRACAM PIENIĄDZE.**

Trzeba się koniecznie przekonać, a kto nie kupi, toć trudno, sam sobie szkodzi. Zamówienia i podziękowania codziennie nadchodzą.

Proszę napisz pan **PO CENNIK** circa 2000 ilustracyi, a chętnie każdemu **DARMO I FRANKO** wysełam. 200

M. Danecki

Miejska Górka

(Görchen Bezirk Posen.)

Zegarki bez gwarancyi II-gi gatunek.

NIKLOWE męzkie rem., 12 godz. chodzące . . . . . mk. 2,45
dto. 30 godzin chodzące . „ 2,95
dto. lepsze 30 godz. chodzące. „ 3,50
STALOWE czarne lepsze remont. 30 godzin chodzące . . „ 4,25
CZYSTO SREBRNE remont. tylko lepsze 6 kamieni . . „ 6,75
dto. kluczyk. I tylko lepsze 6 kamieni . . . . . „ 6,85
dto. damskie tylko lepsze 6 kam. „ 6,95
dto. Ia. tylko lepsze 10 kam. . „ 8,50
ZŁOTE damskie 7 karat. Ia. tylko lepsze 10 kamieni . . . „ 13,75
BUDZIKI głośno dzwoniące . „ 1,85
BUDZIKI z większym dzwonkiem „ 2,65
BUDZIKI z muzyką . . . „ 6,40
HARMONIKI 2 klucze 48 głosów „ 3,00
HARMONIKI 3 klucze 70 głosów „ 5,00
HARMONIKI 4 klucze 90 głosów „ 6,00
SKRZYPCE z smyczkiem dla dorosłych . . . . . „ 5,00
dto. lepsze dla dorosłych. . „ 7,00
dto. z silnym głosem . . „ 9,50
BRZYTWY jedynie dobre pod gwarancyą za każdą sztukę

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	276	3,75

już gotowe do użycia.

Biuro melioracyjne

Trawiński & Kucharski

Telefon 839. **Poznań,** Telefon 839

ul. Rycerska 26 (vis-à-vis zakładu wodoleczniczego Dr. Panieńskiego)

wykonuje **drenowania,** 129 **nawodnienie łąk systemem francuzkim** oraz innemi, odwodnienie łąk (murszów, torfów) **metodą prof. Fleischera** i sporządza projekta jeneralne i specyalne dla **spółek drenarskich i majoratów** pod kierownictwem **dyplom. inżynierów kultury rolnej.**

Filie: Warszawa, Zielna nr. 21. **Sieradz,** Kaliska 7, zastępca inżynier pan Madaliński.

Stanisław Augustyniak

Kościan,

ul. małej kolejki kościańsko-gostyńskiej 5. **Telefon Nr. 118.** 56

Handel drzewa budulcowego,

belek i kantówek, klocków, desek, łatów i t. d.

Deski w różnych grubościach $^{1}/_{2}$, $^{3}/_{4}$, $^{4}/_{4}$, $^{5}/_{4}$, $^{6}/_{4}$, 2, $2^{1}/_{2}$, 3 calowe.

Skład dzwon bukowych,

dzwona gięte do powozów, jesionowe, špic dębowych oraz bukowych klocków.

PAPY NA DACHY

w doborowym gatunku, po cenach bardzo **Hurtownie.** nizkich. **Detalicznie.**

ZAKŁAD dentystyczny.

Wprawiam i plombuję zęby

podług najnowszej metody. Operacye zębów bez bólu po przystępnych cenach. Wykonanie dokładne i artystyczne. 148

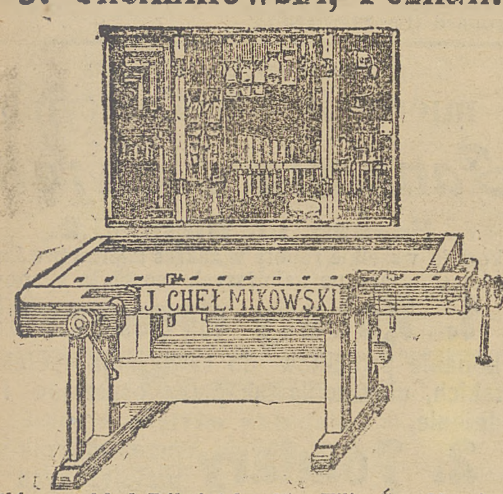
Przyjmuję od godz. 9 rano do 6 po południu.

Jadwiga Marszałek,

Poznań, św. Marcin 56

I. piętro.

J. Chełmikowski, Poznań.



Główny skład Półwiejska 35. Filia Św. Marcin 45.

Specyalny skład narzędzi dla stolarzy, cieśli garncarzy, sztukatorów.

Cennik darmo. 102

Adres: **J. Chełmikowski, Poznań (Posen).**

Dom Wysyłkowy

cygar i papierosów oraz instrumentów muzycznych.

Polecam cygara tylko najlepsze za 100 sztuk **3 mk.** począwszy i wyżej. Papierosy najlepszych a znanych, oraz mojej własnej fabrykacyi za 100 sztuk od **60 fen.** począwszy i wyżej.

Wszelkie instrumenta jak:

flety, klarnety, skrzypce, basy, mandoliny, gitary, harmoniki we wielkim wyborze, katarynki i samograjki, cytry akordowe od 9 mk. począwszy.

Polecam i wysyłam na zamówienia prosząc gorąco o pamięć. 110

ŁUCYAN PIOTROWSKI,

Gniezno ul. Wilhelmowska 2.

Na podarki ślubne

piękne

dobrze utrzymane

starożytne srebra

jako też i nowe

pierścienie, broszki

łańcuchy, zegarki

poleca 245

po nizkich cenach

D. Dybizbański

Huebnera Nast.

ul. Wiktoryi 10.

Zakupuje wszelka ilość brylantów i starych sreber.